

1

Jak daleko sięgam pamięcią, nie znosiłam tego miejsca. Przechodziłam obok wiele, wiele razy, bądź towarzysząc mamie, bądź z niewolnikami i tragarzami.

To nieczyste, złe miejsce.

Tutaj, po drugiej stronie potężnego muru, bluźniercy, oszuści i mordercy z Jerozolimy spotykają śmierć. Wyszuszone, brunatna ziemia wessała w siebie przez lata tyle krwi, że nic już nie chce na niej rosnąć. A nieco dalej płonie nieustannie podtrzymywany ogień. To w nim lądują nieczyste ciała, tam wrzuca się obcięte włosy nierządnic, pali ubrania i wszelką własność tych, którzy hańbią dzieci. Woń cierpkiego dymu w niektóre dni czuć aż w mieście, pod pięknymi arkadami, nawet przy nowym, wspaniałym pałacu Heroda.

Tego wyjątkowego dnia mamie i mnie towarzyszyli czterej strażnicy, dwie niewolnice i dwaj wynajęci woźnice. Kiedy znalazłyśmy się na dziedzińcu świątyni, po kobiecej stronie, mijający nas rabini kłaniali się uprzejmie. Zebrali się tam również rzemieślnicy i kupcy. Nawoływania stawały się coraz głośniejsze, ogłuszające. W głębi dziedzińca zgiełk ludzkich głosów był jeszcze większy. Zgromadziło się mnóstwo lichwiarzy, piekarzy, krawców, złotników i kuglarzy najrozmaitszego rodzaju. Tutaj można kupić wszystko: najmocniejsza gorczyca leżała na tym samym stole co szla-

chętnie kamienie. Kosztowne buty ze skóry hien wyłożono obok stołu handlarza z pachnącymi przyprawami i towarami aż z Chin. A nieco dalej pyszniła się pieczona szarańcza, mój największy przysmak w czasie, kiedy byłam mała.

Podziwialiśmy piękne wzorzyste materiały, ale ukrywałyśmy twarze pod chustkami na widok jaśniejących w słońcu zwojów białego płótna przeznaczonego dla zmarłych. Ludzie kiwali nam głowami i kłaniali się nisko, kiedy posuwałyśmy się wolno naprzód. Może ktoś nawet pomyślał, że żona i młodsza córka kupca Zachariasza powinny były oszczędzić sobie przeciskania się w tłumie akurat dzisiejszego dnia...

Ale właśnie dzisiaj można było kupić tyle różnych rzeczy, a mama Anafina nie należy do takich, co to najważniejsze dla domu decyzje spychają na innych. Właśnie wydostałyśmy się za bramę, gdy lektyka została gwałtownie odwrócona. Mama krzyknęła na niewolników, pełen godności uśmiech pojawił się na jej twarzy, kiedy pospiesznie odwzajemniła pozdrowienie jednego z najpotężniejszych lichwiarzy w mieście, prowadzącego kantor tuż przy bramie.

Teraz mimo wszystko moja piękna mama wyglądała na zmęczoną i przygnębioną. Na jej twarzy pojawiły się smugi kurzu, domyślałam się, że pod zasłoną, na czole, perli się pot. Jęknęła cicho.

- Aaaach, trafiłyśmy na kaźń! Cieszę się, że Tabitha nie musi tego oglądać!

Kiwałam głową. Oczywiście, że to bardzo dobrze, my jednak chyba będziemy musiały. Oczekiwano, że wszyscy obecni pociągną za oddziałem żołnierzy, kapłanów i tłumem wrzeszczącej gawiedzi. Tak, to bardzo dobrze, że Tabitha tego uniknie. Ale ja, niestety,

muszę walczyć z ogarniającymi mnie mdłościami.

Lęk. Krew pulsująca w całym ciele, obrzydzenie na myśl, że trzeba patrzeć, jak człowiek umiera w taki okrutny sposób.

Człowiek?

Nie, to istota nieczysta. Kapłani bardzo uważają, jeśli chodzi o karę śmierci. Król Herod nie pozwala im sądzić, jak chcą. Tylko w niektórych przypadkach grzesznicy mogą być pojmani i straceni bez interwencji żołnierzy rzymskich. I tylko wtedy, gdy popełniono przestępstwo przeciw prawom Boga, nie cesarza.

Tak jak teraz.

Kobieta, którą wlekli między sobą, szczyrzyła się paskudnie w moją stronę. Nie miała jednej wargi. Włosy zostały obcięte, a głęboka rana przy uchu świadczyła, że nie uczyniła tego zdecydowana ręka.

Szła o własnych siłach, potykała się i zataczała, próbowała osłaniać ciało resztkami podartych szat. Suknia była pewnie kiedyś szara lub jasnobrązowa, teraz pokrywał ją brud.

Tłum podążający za kobietą i strażnikami świątyni wył i wrzeszczał.

- Mamo, proszę cię... nie mogłybyśmy zawrócić? - szepnęłam.

Ona czule położyła rękę na mojej dłoni.

- Nie wypada, Rebeko, przecież wiesz! To mogłoby być źle zrozumiane, moje dziecko. Pamiętaj, wszyscy znają żonę i córkę Zachariasza. Znają też lektykę. Musimy zostać.

Sama o tym wiedziałam. Nie mogłam nawet odwrócić głowy ani przymknąć oczu, żeby nie widzieć dokonujących się potworności. Mój ojciec był jednym z najbardziej szanowanych Żydów w Jerozolimie.

Wszyscy wiedzieli, że jego mądrość i jego rady często mają wpływ na decyzje kapłanów właśnie w takich sprawach. Że on nigdy by się nie znalazł w gronie tych, którzy zawiedli. Że wśród starszych jego głos brzmiał z tą samą mocą co głos Pana Zastępów! Przywoływał do porządku rzymskich królów i cesarzy, żeby nie wiem jacy byli potężni. Mój wspaniały ojciec bowiem czynił to w taki sposób, że nie odważyliby się go powiesić ani ukrzyżować tak, jak to czynili z wieloma „nieposłusznymi” Żydami.

Wszyscy wiedzieli, że Zachariaszowe poglądy są nawet przez kapłanów uważane za coś zbliżonego do sądu Salomona. Córka chroniona przez takiego ojca naprawdę nie ma się czego lękać. I małżonka także nie. Dopóki nie naruszają żadnej z reguł Prawa. Dopóki nikt nie będzie miał nic do zarzucenia ich postępowaniu...

Czułam, że całe moje ciało sztywnieje. Mimo upału przenikał mnie dziwny chłód, jakbym nosiła w żołądku bryłę lodu. Zauważyłam, że twarz matki napina się coraz bardziej pod białą zasłoną z lnu.

Biedna, biedna mama... tego dnia naprawdę miała dość spraw! W domu czeka tysiąc obowiązków i wcale nie są to obowiązki, które jakakolwiek matka wypełnia z lekkim sercem, myślałam. Smutek mnie ogarnął na myśl o tym wszystkim, co dzieje się w domu.

Nie mogłyśmy jednak pospiesznie ruszyć w stronę naszego miasta.

Zostałyśmy zatrzymane spojrzzeniami tłumy.

Podobnie jak nierządnicą, którą teraz przywiązano do dużego drewnianego słupa.

Podeszło do niej dwóch mężczyzn z solidnymi biczeniami, unosili je na przemian, to jeden, to drugi. Nie przestali, dopóki plecy skazanej nie zamieniły się

w jedną otwartą ranę. Byli jednak ostrożni, nie chcieli bić tak mocno, by ofiara zmarła.

Tłum stanął półkolem i od pierwszych ciosów okrzykami zachęcał oprawców.

W pewnej chwili kobieta uniosła zaciśniętą pięść i przekląła ich wszystkich, a swego zmarłego męża nazwała śmieciem. Okrzyki tłumu brzmiały teraz jak jednostajna, przejmująca, krwiożercza pieśń. Najgłośniej darły się kobiety, niektóre przyszły z maleńkimi dziećmi, większość, pochodząca z nizin społecznych, nie potrafiła nad sobą panować:

- Uwolnijcie nas od tego gnoju! Niech płonie w wiekuistej męce! Hańba! Hańba!

Mężczyźni, zwłaszcza ci w kapłańskich szatach, nie krzyczeli aż tak głośno. Stali z ponurymi twarzami, przymkniętymi oczyma i bardzo uważali, by nie nastąpić na tę samą ziemię, której nieczysta dotknęła swoimi bosymi stopami.

Mamrotali modlitwy, by ochronić tłum i siebie samych przed złymi demonami, które z pewnością zaczną się lada moment wydostawać przez skrwawione usta nierządniczy.

Ona sama po jakichś dziesięciu ciosach przestała krzyżeć. Opadła na kolana, ale podtrzymywały ją mocne sznury. Głowa zwisała na piersiach jak u oskubanego ptaka, coś się dziwnie bieliło między kępkami włosów, które jeszcze zachowała.

- Rozciągnijcie ją! Rozciągnijcie! Rozszarpcie na strzępy i niech psy ogryzają jej kości!

Ponad zgiełkiem rozległ się wysoki głos kobiecy, pełen nienawiści i obrzydzenia.

- To matka zamordowanego - szeptano wokół lektyki.

Krzyki tłumu *zlewały* się w jedno, mimo to słychać było stanowcze i wyraźne słowa:

- Na koło z nią! Albo na krzyż! Żadne kamienie, łamać kołem lub ukrzyżować!

Żołnierze rozstawieni z tyłu, w swoich błyszczących rzymskich hełmach, kolczugach i kamizelkach ze skóry, nie poruszali się. Była to widać dla nich jedna z tych spraw, z którymi Żydzi sami mogą się uporać, przynajmniej dopóki nie dochodzi do zamieszek ani wystąpienia przeciwko władzy. Dla pewności jednak tu byli, trzymali ręce na rękojęściach mieczy i nie przestawali wpatrywać się w niespokojny tłum. Widzieli już setki takich kaźni. Mimo to, kiedy ludzie zaczęli się domagać koła lub krzyża, dostrzegałam w ich poza tym nieruchomych twarzach coś, co przypominało szok.

Ja także byłam zaszokowana.

Rozdarcie ciała, czy to przez łamanie kołem, czy przez ukrzyżowanie, nie było zwykłą karą dla skazanych na śmierć kobiet.

Zaraz jednak mężczyźni w centrum kręgu zaczęli się pochylać po kamienie przygotowane na kilku kupkach. Z trudem, małymi haustami, chwytałam powietrze, odczuwałam ból kobiety tak, jakby to mnie bolało. Dlatego wątpiałam w nauki, jakie mi wpajano:

Pan jest surowy, ale sprawiedliwy. Ta morderczyni bowiem, tak samo jak wszyscy inni wierzący, poznała Prawo Pana, ale je zlekceważyła. A Prawo mówi jasno: Nie pozwolicie żyć między wami czarownicom i kobietom nierządny. Nie pozwolicie też żyć tym, które podobnie, jak skazana, zamordują swego męża! Bo gdyby się pozwoliło, to łaska Pana Zastępów mogłaby się odwrócić od całego ludu wybranego, od ludu Izraela, który przez stulecia musiał cierpieć za wszystkie swoje za-

niedbania i lekkomyślność. Jeśli się nie usunie takich nieczystości, to żaden ofiarny baranek nie złagodzi gniewu Pana. A kolejny potop będzie o wiele gorszy!

Grad niedużych kamieni sypał się na kobietę.

Uwolniły ją z więzów, a może sznury pękły?

W każdym razie skazana upadła.

Próbowała się osłaniać, ale jedna ręka zwisała bezwładnie, widocznie podczas chłosty wybito jej staw barkowy.

Wydaje mi się, że krzyczała, stała z szeroko otwartymi ustami, przewracając oczyma. Ale wrzask tłumu zagłuszał wszelkie inne dźwięki, więc nie jestem pewna.

Większość kamieni trafiała ją w piersi i brzuch. Kobieta leżała na boku, skulona niczym noworodek. Bezwładna ręka znajdowała się pod nią, a zdrową próbowała osłaniać brzuch. Pięść była mocno zaciśnięta.

Przewrócili ją na plecy.

Mężczyźni z kamieniami podeszli bliżej i jeden trafił ją tuż pod uchem. Szczeka została zwichnięta, w ciszy, jaka nagle zaległa, wyraźnie słyszałam trzask, kiedy kobieta próbowała ponownie otworzyć usta.

Kolejny kamień trafił ją pod oko i oślepił.

Parę mniejszych sprawiło, że krew pociekła ze skroni. Wkrótce kobieta przemieniła się w kupkę zakrwawionych szmat, strzępów skóry i poszarpanego mięsa. Ale wciąż jeszcze żyła, widziałam to...

...bo kiedy zaciśnięta pięść się otworzyła i wypadł z niej jakiś przedmiot, to zmasakrowane ciało zadrżało. Ręka starała się po omacku odnaleźć to, co wyglądało na ciemną monetę. Nie znalazła jej jednak na strąconej ziemi i opadła z powrotem na plecy.

Mężczyźni stali z nowymi kamieniami w rękach, gotowi.

Tłum już nie ryczał.

Ludzie sprawiali wrażenie zdumionych, że w tym skrwawionym, brudnym zewłoku, który niedawno był kobiecym ciałem, tli się jeszcze życie.

Spoglądali po sobie pospiesznie spod ciemnych nakryć głowy.

Wkrótce jednak kolejne ciężkie kamienie poleciały na miękkie ciało, tym razem większość rzucających celowała w głowę. Kamienie uderzały o siebie w locie, krzeszały skry, przez przypadek został trafiony jakiś mężczyzna.

Głowa kobiety była zmiążdżona.

I właśnie w tym momencie poczułam na ramieniu delikatne dotknięcie ręki matki.

- Panie, spójrz łaskawie na tę nędzną duszę - wyszeptała mama prawie niedosłyszalnie.

Spojrzałam w górę, bliska przerażenia. W głosie mamy Anafiny usłyszałam płacz. A przecież żadna prawowierna żydowska kobieta nie powinna płakać nad taką nierządnicą, która w najokrutniejszy sposób odebrała życie śpiącemu mężowi w ich własnym małżeńskim łożu...

Zaraz potem mama Anafina wydała ciche polecenie jednemu z niewolników. On nie był Żydem, mógł więc bez obawy zetknięcia się z nieczystością przejść przez zalaną krwią ziemię i zbliżyć się do zwłok kobiety.

Zdumiona patrzyłam, jak rozdrapywał piasek i w końcu znalazł to, co ukamienowana kobieta trzymała w dłoni niemal do śmierci. Teraz to także przypomina kamień, pomyślałam.

Mama powiedziała:

- Musimy wracać do domu. Mamy własne sprawy, kochana Rebeko...

W jej oczach widziałam łzy. Musiała płakać długo, bo na białym płótnie widniały ciemne plamy.

Ja byłam, rzecz jasna, dziewicą i nie musiałam nosić zasłony, moja twarz była otwarta na spojrzenia ludzi.

Ja nie mogłam pozwolić sobie na płacz.

Ani nad tą nieznajomą i zhańbioną kobietą, ani nad samą sobą, ani nad moją siostrą Tabithą.

2

W moich oczach Tabitha była najpiękniejszą istotą, jaką Pan stworzył na ziemi. Tamtej nocy płaczące kobiety rozczesywały jej włosy. Jej oczy, które patrzącemu na nią przywodziły na myśl głębokie tony skarżącego się fletu, były teraz zamknięte.

Ale ileż to przeżyłam poranków, kiedy budziły mnie roześmiane usta:

- Siostrzyczko Rebeko o lekkich dłoniach, trzeba wstawać!

Pracowite ręce Tabithy, które teraz leżały złożone na czystym, usztywnionym kawałku płótna... te ręce powinny żyć, poruszać się niczym skrzydła radosnego ptaka i unosić w górę śmiech Tabithy.

A policzki - teraz blade i wilgotne od połyskliwych pereł spadających z oczu mamy - te policzki powinny płonąć gorączkowo z tęsknoty, którą my, siostry, miałyśmy odwagę się dzielić jedynie podczas niebieskawych godzin nocnych.

Szeptem wypowiedane zwierzenia Tabithy po spotkaniach z ukochanym. Tajemne znaki na szyi i na rękach Tabithy w miejscach, gdzie ją całował i gdzie zostawiał pieczęci, dla których nie potrzebował ani pozwolenia ojca Zachariasza, ani błogosławieństwa rabinów. Tabitha, lekką stopą przebiegająca ogrody, gdy ja czuwałam na płaskim dachu i gruchałam niczym gołąb, jeśli zbliżał się ktoś niepowołany.

Ostre odpowiedzi Tabithy, również naśladujące krzyk skarżącego się ptaka, ale zawsze zawierające ten jakiś dziwny ton, od którego moje policzki zabarwiały rumieniec, a ciało ogarniał niepokój.

Moja siostra kochała mężczyznę.

Pozwalała się brać, pozwalała się oszałamiać. Tak jak Salomon napisał w swoich hymnach: *Jam miłego mego i ku mnie zwraca się jego pożądanie*. Bramy do jej ogrodu zostały delikatnie wyłamane.

Słowa świętej księgi są piękne i uroczyste. W mojej głowie jednak mieszają się z zakazaną pieśnią naszej matki, z historiami o dalekim bóstwie miłości, o którym w tym kraju żaden nawet najlepiej zorientowany człowiek nie słyszał. Tabitha chętnie je śpiewała w kąpieli, kiedy my, obie siostry, oczyszczałyśmy ciała przed szabasem albo kiedy goliłyśmy włosy z nóg i ramion, zawsze po zakończeniu nieczystych dni.

Teraz jednak nie śpiewała, moja kochana, starsza siostra Tabitha.

Leżała na swoim posłaniu, spokojna i milcząca. Nie uśmiechała się, nie płakała, nie obejmowała mojej głowy i nie tuliła jej do obnażonej piersi:

- Posłuchaj, siostrzyczko, posłuchaj, jak moje serce jeszcze do niego woła! Czy ty to słyszysz? Ono bije w takim rytmie, jakby wypowiadało jego imię: Ta-torc! Ta-torc...

Byłam pewna, że oczy znowu napełnią się łzami, łzami, które powinny towarzyszyć głębokim skargom i głośnym szlochom, jak nakazywał zwyczaj przy takim łożu jak to. Ale łzy się nie pojawiły, krzyki nie

rozległy. Mimo woli czułam, że radość rozrasta się w moim sercu: być może utraciłam siostrę, jak śpiewały płaczki i służące matki. To z pewnością prawda, że starsza córka Anafiny jest dla mnie stracona, jak też mały świat w domu Żyda i kupca Zachariasza. Jutro sześciu krzepkich niewolników wyniesie ją z bramy ojca po raz ostatni jako córkę.

Po prostu nie byłam w stanie spojrzeć prawdzie w oczy:

Jutro złote monety ślubnego diademu pokryją chłodne, blade czoło mojej siostry. Kobiety będą wtedy płakać jeszcze głośniej, a matka będzie szarpać na strzępy piękną, jedwabną szatę, by pokazać setkom widzów swój wielki ból. A ja nie będę już miała starszej siostry, do której łoża mogłabym się wślizgnąć w chłodne noce. Nikogo, w kogo mogłabym się wpatrywać o brzasku, trzymać za rękę i wędrować razem poprzez pieszczotliwą graniczną krainę między snem a jawą.

Głośno przełknęłam ślinę i wbiłam wzrok w ozdobę na szyi mojej siostry. Ukochany jej to dał, ozdoba była stara, pobłogosławiona biciem serca wielu dobrych kobiet. To świadczyło, że Tabitha należy do niego, nie jest już córką swego ojca ani siostrą swej siostry. Nie jest już nawet panią małego perskiego kotka imieniem I. Dla nas ona jest stracona, nie ma jej. A tęsknota za nią, jaką miałam przeżywać w nadchodzących dniach, już teraz wyżyłobiła głęboką, bolesną bruzdę w moim sercu.

Ale mogło być jeszcze gorzej.

Tabitha mogła być umrzeć!

Bo przecież, mimo wszystko, Tabitha ma jedynie wyjść za mąż...

W tym momencie, kiedy leżała bez ruchu, a ręce matki i służących ozdabiały jej włosy i twarz, ja wiedziałam,

że pod tą spokojną, niemal senną maską w głowie Tabithy myśli kłębią się niczym zwiastujący burzę wiatr na równinie. Myślała o nim. Ona już była u niego. Może wyobrażała sobie jego błyszczące, prawie czarne oczy, włosy obcięte tak krótko, że przypominał rzymskiego żołnierza. Przeniknął mnie gwałtowny dreszcz, co za głupie porównania. Nie, wybacz mi, Panie!

Tatorc nie jest jakimś zaprzańcem. Czy też podstępny, chciwym Żydem, który nie baczy ani na swoje dziedzictwo, ani na honor, nęcony doczesnym bogactwem spod znaku znienawidzonego cesarza. Może nie posunął się tak daleko jak sam Zachariasz, kupiec znany zarówno w małym Betlejem, jak i w Jerozolimie jako handlarz złotem, który przyjmuje jedynie greckie monety. On nie handluje z Rzymianami, nikt go nie zmusi, by pochylił głowę przed wizerunkiem cesarza.

Znak zwierzęcia! Ten przeklęty znak, widoczny na monetach pochodzących z Rzymu. Zachariasz nigdy by nie oddał córki kupcowi nie uznającemu tych samych co on zasad moralnych, żeby nie wiem jaki był urodziwy i bogaty.

Musiałam unieść dłoń i ukryć lekki uśmiech.

Był wystarczająco urodziwy, ten mój przyszły brat w prawie. Dla ojca jednak najważniejsze było chyba to, że należał do tego samego plemienia co my, zgodnie z tym, co Pan Zastępów nakazał Mojżeszowi: byśmy zawierali związki małżeńskie z osobami z plemienia przodków. Tatorc miał długie, szczupłe ręce i nogi, a kiedy przyjeżdżał konno, ubrany w swoją najpiękniejszą i najcieńszą koszulę, mięśnie barków rysowały się wyraźnie. Bardzo dobrze pojmowałam na pół zdławiony jęk Tabithy, gdy zobaczyła go wtedy na koniu. Czerwony blask wieczornego słońca za

jego plecami otaczał całą postać niebiańską aureolą, kiedy zbliżał się do nas aleją wysadzaną drzewami morwy.

Wprost ku sercu Tabithy.

Nawet jej nie dotknąwszy, wprawił jej ciało w drzenie. Wiele razy opierała się ciężko na moim ramieniu, kiedy mijałyśmy stół, przy którym na ławach mężczyźni otaczali naszego ojca i dyskutowali o cenach ambry, braku kwalifikacji nowego blacharza lub najbliższej podróży do Damaszku.

Tabitha kochała go tak bardzo! Wiedziałam, że w jej żyłach płynie rzeka tak potężna, iż ja sama odczuwam dudnienie w skroniach. Nic dziwnego! Byłyśmy przecież z tej samej krwi! Z tej samej cudownej mieszaniny krwi egipskiej niewolnicy Anafiny i znakomitego dziedzictwa żydowskiego kupca Zachariasza.

Jakie byłyśmy dzięki temu? Wiele się nad tym zastanawiałam. W ostatnich latach, odkąd stałam się dorosłą kobietą, grecki nauczyciel domowy tracił wiele czasu, by mi przedstawić, co wielcy mistrzowie pisali na temat więzów krwi.

Pogląd Pana na sprawy krwi był święty. Kiedy ludzie płodzą synów i córki, dokonuje się ten sam cud. A kiedy taki mądry człowiek jak Zachariasz wypełnia nakaz Boga i pojmuje za żonę taką kobietę jak Anafina... to jest to kierowanie losem człowieka i cud, przed którym nawet prorocy powinni chylić głowy, tak wtedy myślałam...

Jak dalece jednak czysta jest nasza krew?

Ile pozostało w niej egipskiego pogaństwa?

My, siostry, rozmawiałyśmy o tym, najchętniej bez zdradliwej oliwnej lampki ustawionej między nami i na długo potem, gdy dom pogrążył się we śnie. Pew-

nego razu Tabitha powiedziała, że wydaje jej się, iż potrafiłaby odczuwać ból Izidy. Że wielokrotnie widywała w snach tę zapomnianą egipską boginię. Dawną boginię matki, tę, którą Grecy uważali za świętą, której jednak żaden prawowierny Żyd nie nazwałby inaczej, jak myślą człowieka z *tehon* - otchłani!

Najgorsze, że zdarzało się, iż Tabitha nuciła zakazane pieśni. Pieśni, które nasza matka z błyszczącymi oczyma śpiewała nam, córkom, jako swego rodzaju zaślubinę za to, że odeszła od swoich bogów. I tłumaczyła nam, że ona sama została zbawiona przez naszego ojca. Dzięki jego cierpliwości i woli mogła być włączona do wielkiej gromady, która powstała z dwunastu plemion Pana. Matka uważała, że spłynęło na nią wielkie błogosławieństwo: dom, w którym nigdy nie brakowało oliwy do lamp, a garnki nigdy nie były puste, dom, w którym niewolnicy usługiwali jej i bez szemrania przyjmowali jej upomnienia.

Nie była już niewolnicą A, podporządkowaną łasce egipskich bogów. Była Żydówką Anafiną, małżonką Zachariasza, matką jego dwóch córek, a tym samym istotą wybraną dla wiecznej szczęśliwości.

Niektórzy kapłani z pewnością krzywili nosy, że mój ojciec pojął za żonę cudzoziemkę. Nie mam jednak wątpliwości, że on przypominał im, iż sam Abraham pojął Egipcjankę. I że żoną Mojżesza była Madianitka! Ba! Przecież nawet Rut, babka Dawida, urodziła się pod egipskim niebem.

Poza tym kapłani musieli zazdrościć ojcu jego żony. A ona - ona musiała się czuć wywyższona!

Zastanawiałam się, ale tak właśnie matka musiała myśleć. Tylko tym można wytłumaczyć owo niezwykle oddanie, jakie zawsze okazywała ojcu. Nie była jak in-

ne żony, pokorna, i nie chodziła ze zgiętym karkiem. Nie siedziała cicha i milcząca przy palenisku, jak się godzi małżonce, kiedy mąż i synowie się pozywiają. Rozmawiała z ojcem, śmiała się do niego. Głaskała jego długą brodę i przemawiała pieszczotliwymi słowami nawet w obecności służby. Było to jedyne naruszenie zwyczajów, jakie mój ojciec kiedykolwiek ścierpiał. Bo bardzo, bardzo kochał mamę.

Zamknęłam oczy i pozwoliłam myślom płynąć.

Śpiew wokół mnie umilkł, głos matki szeptem wypowiadał podziękowania dla wszystkich kobiet, które przyszły, by pomóc przygotować oblubienicę. One zaś zbierały swoje szkatułki i buteleczki z olejami, czarne węgielki i pachnące balsamy, życzyły spokoju i „niech Pan będzie z wami”, kłaniały się głęboko i wycofywały do kuchni, a potem do ogrodu.

Z frontowego dziedzińca słyszeć było dźwięki fletu i śmiechy mężczyzn.

Mój ojciec, Zachariasz, zaprosił na przyjęcie wszystkich wolnych mężczyzn z naszego małego miasteczka. Nawet garbarz i wytwórca miedzianej blachy przybyli dzisiejszego wieczoru, znaczniejsi goście pochylali głowy i z powagą podziwiali zasobność domu i bogate dary, jakimi ich przyjmowano: w ogrodach mego ojca wino i sok z granatów lały się strumieniami, przy takiej okazji goszczono równie szczerze bogatych, jak i biednych.

Młodszy mężczyźni zaczęli śpiewać hymny pochwalne na cześć córki gospodarza. Starsi zaś, pełni godności, zebrali się pod największym drzewem, by szukać modlitw w świętych księgach. Modlitw, które sprowadzą błogosławieństwo Pana na przyszłe małżeństwo.

Niektórzy otaczali Zachariasza i pochlebstwami starali się wydobyć z niego informacje na temat material-

nej strony tego związku: jak wielki jest posag Tabithy? Natomiast przybysze z obcych stron dziwili się i pytali: czy to prawda, co ludzie gadają, że mianowicie narzeczony jest wnukiem samego starego rabina Akvili? Tego, który wiele spraw przenika orlim wzrokiem?

To Zachariasz mógł, oczywiście, potwierdzić, ale wiele ponad to powiedzieć nie chciał, nie chciał nawet okazywać radości z tego, że Tabitha przeprowadzi się do wielkiego domu Akvili w Jerozolimie.

Mimo to zebrani kiwali głowami i znacząco szturchali jeden drugiego.

Z łatwością wyobrażałam sobie, jak szepczą: O, tak, Zachariasz znalazł świetną partię dla starszej córki. Ma on co prawda swoje brzemię do dźwignia, wstyd, że jest się ojcem samych córek, tylko w części da się pokryć wydaniem ich za mężczyzn równych lub nawet godniejszych od ojca.

Ale co prawda, to prawda, nasza dobra Tabitha prowadzić będzie życie niczym żona namiestnika! Ubierać się będzie w jedwabie i najdelikatniejsze płótna, złotymi sznurami splatać będzie włosy i pierścieniami ozdabiać palce rąk i nóg. Małżonek będzie jej kupował najkosztowniejsze olejki do namaszczenia skóry i uczyni ją najpiękniejszym kwiatem swego legendarnego ogrodu. Zaś ona, w tych warunkach, powinna urodzić mu wielu synów.

Tak, to był szczęśliwy wieczór dla ojca, ojca, na którego oto spłynęło błogosławieństwo i który miał żonę na tyle jeszcze młodą, by w jej łonie mogło wykiełkować ziarno życia - to mu z pewnością powtarzali goście, kiedy wino rozpłomieniało im wzrok.

Wkrótce też pewnie dostrzegli, że twarz Zachariasza sposępniała, ale przecież był gospodarzem tego

wieczoru i widzieli, że przepełnia go radość i duma. Dlatego pozwalali sobie na więcej i dlatego jego grzmiący głos słyszeć było niczym dalekie pomruki burzy w ciepłym, otoczonym cyprysami kręgu płonących pochodni.

Ja aż nazbyt dobrze znałam wstyd mego ojca. Życie bym dała za to, żeby któraś z nas, Tabitha albo ja, mogła być chłopcem.

Wtedy jednak patrzyłam, jak moja siostra podnosi się z posłania. Szaty z niej opadły, piękne ciało lśniło delikatnie, namaszczone czymś wilgotnym. Kobiety usunęły z jej skóry każdy najmniejszy nawet włos. Najpierw polały ją ciepłym, płynnym woskiem, po czym całe ciało zawinęły pasami z grubego płótna i gdy tylko wosk stężał, zerwały z niej to płótno gwałtownymi szarpnięciami. Skóra panny młodej była po tym zabiegu czerwona, podrażniona i obnażona, ale całkowicie gładka. Teraz dobre kobiety z ogrodów świątyni mogły uważnie zbadać każdy kawałek, miejsce przy miejscu, żeby sprawdzić, czy narzeczona nie ma tego rodzaju znamion, brodawek, plam ani stwardnień, jakie Pan nakazał traktować jako nieczyste. Wiele pańien młodych z takimi znamionami trzeba było doprowadzać przed oblicze kapłanów, by rozstrzygnęli, czy to wynik nieczystej choroby, czy też coś niegroźnego szpeci te ciała. Ale moja Tabitha była czysta, wiedziałam o tym z całą pewnością, miną jeszcze dwa szabasy, nim będzie miała swój czas, stanie się nieczysta. Natomiast małe znamię na lewym ramieniu każdy z łatwością mógł zobaczyć i nikt nie powinien wątpić, że ta plama w kształcie serduszka jest wrodzona. Taka przecież była delikatna i taka niepodobna do znamion trądu, jak to tylko możliwe.

Po oględzinach Tabitha została namaszczona mieszaniną miodu, migdałowego olejku i soku z drzewa balsa. Najstarsza z kobiet, Nahum, była akuszerką, poza tym zajmowała się przygotowywaniem rozmaitych maści. Kobiety wypiły za jej zdrowie, potem usta starszej się nie zamykały, kiedy, podchmielona winem, opowiadała o błogosławieństwach miłości. Szczególnie starannie namaszczała piersi Tabithy, potem szyję.

- Ta mieszanina, moje dziecko, ma słodki zapach oraz smak. Spójrz, wcieram ją mocno, tak głęboko w twoją skórę, że jeszcze w tydzień po ślubie pan młody poczuje słodycz na wargach, gdy tylko dotknie tych miejsc.

Oblubienica została dokładnie przygotowana do spędzenia ostatniej nocy pod ojcowskim dachem. Młodsze kobiety darły sobie włosy z głowy, rozpaczając nad losem czekającym tę dziewicę, i zanosiły modły do Pana, by okazał łaskę i zesłał na nią błogosławieństwo i by małżonek także okazał łaskę i łagodność. Tak nakazywał obyczaj. Ja jednak wiedziałam swoje: Tabitha wcale się nie obawia tego, co ma się stać, kiedy ona będzie już żoną, a on mężem.

Kobiety pojękiwały, wymieniały między sobą szelmowskie spojrzenia. Czas płakania minął.

Teraz nadeszła pora, by pić słodkie, ciepłe wino i pozwolić mówić doświadczonym kobietom. Nawet policzki mamy obeschły, uśmiechała się swoimi wąskimi, czerwonymi wargami. Jej nieco skośne oczy spoglądały spod czarnych włosów tak bujnych, że jedynie szeroka chusta mężatki była w stanie ukryć jej obce pochodzenie.

- Dzisiejszej nocy, moje drogie, wszystkie powinnyście być moimi siostrami. Żebym miała przy kim odpocząć i u kogo zasięgnąć rady w owej chwili, gdy mo-

ja starsza córka będzie wyprawiana w dalszą drogę - rzekła Anafina z uśmiechem.

W końcu odpowiednie modlitwy zostały odmówione, pogaszono świece.

I właśnie wtedy zobaczyłam to paskudztwo, jaszczurkę, która pełzła po ścianie, a potem wpadła do naczynia, gdzie wylano wodę po umyciu narzeczonej. Zadrżałam. Gdyby nieczyste stworzenie zjawiło się tu przed ceremonią, to... z pewnością spadłoby na Tabithę albo na którąś z kobiet... i wówczas małżeństwo mojej siostry zostałoby zgodnie z Prawem uznane za nieczyste!

Nie zdobyłam się na to, by powiedzieć komuś o nieczystym stworzeniu. Wychodziłam z pokoju jako ostatnia. Teraz miała się nim zająć młoda służąca odpowiedzialna za wylewanie wody z wanien i miednic. Z pewnością dziewczyna pozabiera szmatki nasyczone kosztownymi wonnościami i maściami, ukryje je pod swoją grubą, szorstką suknią, by później, w nocy, wtulić w nie nos i zasnąć w zapachu Raju. Ale czy nie zacznie krzyczeć na widok tego pełzającego paskudztwa? Czy nie wezwie mojej matki? Zdecydowałam się w jednej chwili, pospiesznie chwyciłam gada ręką owiniętą w płócienną szmatę i wymknęłam się na dwór, wypuściłam stworzenie w krzakach za domem, a płótno cisnęłam w ogień pałacy się jeszcze w jednej kuchni.

Na tyłach naszego prostokątnego domu znajdował się drugi ogród.

Nie taki urodzajny i wypielęgnowany jak ten od południa, w którym teraz trwało męskie przyjęcie. Tutaj nie rosły dumne pinie, przycinane i kształtowane przez pokolenia. Nie było też wspaniałych dywanów kwiatowych, które służące musiały podlewać, dźwigając ciężkie

wiadra wody, jedno za drugim, każdego dnia w porze suchej. Nie było też marmurowych rzeźb przywiezionych do domu z dalekich miejsc i kramów cudzoziemskich artystów. Ani szemrzącego sztucznego strumyka, w którym można by ochłodzić stopy lub dłonie w upalny dzień, ani chwiejących się palm, dających schronienie przed słońcem.

Znajdowały się tu natomiast niskie, gęste zarośla z gatunku dziko rosnących, które akurat w tym okresie rozsiewały nad czerwoną, spaloną słońcem ziemią pustyni Zif duszny zapach nektaru. I były tutaj drzewka pomarańczowe, pracowicie zasilające nasze gospodarstwo niedużymi, słodkimi owocami. Tutaj znajdował się ogród zielarski Anafiny oraz grządki porośłe niezwykle pachnącymi roślinami, których nasiona mama dostała od swego dawnego właściciela. Okazał on byłej niewolnicy tę niewiarygodną łaskę i na dziesiątą rocznicę jej uwolnienia przysłał prezenty.

Mama dbała o nie na pamiątkę tego, dla którego żywiła wielki szacunek i miłość. To on bowiem był jej panem, bardzo często jego karząca ręka spadała na plecy tej czy innej nieudolnej niewolnicy, o nią jednak dbał niczym o córkę.

Jej w końcu ofiarował wolność, kiedy spostrzegł, że pokochała żydowskiego chłopca z licznymi złotymi pierścieniami na palcach.

Ogród mojej mamy Anafiny był zbiorem cudownie pachnących roślin, chwiejnych stołków i wrzeszczących kur w klatkach, zawieszonych pod dachem. Sądżawka zarosła, ale w księżycową noc wyglądała pięknie. Nieustanne brzęczenie pszczoł w drewnianych ulach we wschodniej części ogrodu było najpiękniejszą muzyką, jaką wtedy znałam.

Twarze kobiet ożyły, nawet poważne i smutne oczy Tabithy pod umalowanymi na czarno rzęsami złagodniały pod wpływem żartów, a także chyba z ulgi, że ceremonia przygotowań do ślubu została na dzisiaj zakończona.

Może powinna była poprosić, by odprowadziły ją do sypialni, może powinna była zrobić tak, jak mówiły mądre kobiety: pogasić wszystkie lampy, uciszyć wszystkie głosy i pozwolić, by sam Pan przemawiał do dziewczycy w jej ostatnią czystą noc.

Ale tego obyczaj w naszym małym mieście, zwanym Betlejem, nie nakazywał.

Nie było to konieczne nawet wówczas, kiedy swoją córkę wydawał za mąż ktoś tak sprawiedliwy i surowy jak Zachariasz.

Moja droga matka Anafina kochała go również za to. Ona posiadała sztukę łagodzenia nastroju, gdy jego oczy stawały się wąskie, a słowa Tory spadały na głowy domowników niczym cięcia bicia.

Zdawałam sobie z tego sprawę i rozmyślałam o tym w czasie, gdy mama prowadziła swoją starszą córkę ku szerokiemu, wyścielonemu poduszkami pościelaniu na ławie pod ścianą. Otwarty dach dawał ochronę od deszczu i wiatru, nie powstrzymywał natomiast owadów, które już brzęczały wokół panny młodej. Przyciągał je ów zapach miodu, a może tylko słodki uśmiech czający się w kącikach warg Tabithy.

Ja uśmiechałam się także i usiadłam u stóp siostry.

Anafina stała przed nami wszystkim, szczupła i wyprostowana.

- Przyjaciółki, siostry, kobiety z łaski Pana! Proszę was, byście się dzisiejszej nocy radowały wraz z nami. Proszę was, byście piły pyszne wino, jadły owoce, które przed wami stawiam. Są tutaj migdały równie delikatne

i jasne jak dusza mojej córki. I chleb równie świeży i kuszący jak jej ciało dla nie mogącego spać małżonka...

Kobiety wybuchnęły śmiechem. Ja zadrżałam.

Anafina uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Jedna ze starszych kobiet już wychyliła puchar i oczekiwiała początku pochwał kobiecej urody, tych pochwał, jakie niegdyś król Salomon spisał dzięki łasce Pana.

Były to słowa najczystsze z tych, jakie kapłani odczytywali w świątyni.

To były słowa Pana, święte zdania przez Niego ułożone.

Ja jednak czułam, że zaczynają one we mnie żyć oddzielnym życiem, wciskały się w moje uszy, dalej do serca i razem z krwią przenikały całe ciało. Kobiety śmiały się nieustannie i jedna przez drugą wychwalały narzeczoną. Uroczyście słowa Salomona brzmiały niemal bezwstydnie. Córka pisarza recytowała cichym głosem z przymkniętymi oczyma:

Jak wstążeczka purpury wargi twe

i usta twe pełne wdzięku.

Jak okrawek granatu skroń twoja

za twoją zastoną.”

W tym momencie również Anafina się roześmiała i szturchnęła lekko Tabithę.

- Córko, co innego słyszałam z twoich ust, słowa, które raczej nie skłaniają do myślenia o purpurowych wstążeczkach, a bardziej o grubych konopnych sznurach.

Córka pisarza recytowała dalej z uśmiechem:

Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja,

*i nie ma w tobie skazy!**

* Pieśń nad pieśniami, 4,3. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV - przyp. tłum.

** Pieśń nad pieśniami, 4,7. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV - przyp. tłum.

Na te słowa moja siostra, Tabitha, rozjaśniła się i rzekła:

- To, oczywiście, już kiedyś słyszałam...

Kobiety śmiały się jeszcze głośniej, teraz już pewne swego:

- Opowiedz nam, opowiedz o swoim ukochanym! Chcemy się dowiedzieć jak najwięcej! Jakie są jego pocałunki? Czy wargi ma twarde czy delikatne i miękkie?

- I co z tamtym? Jest twarde czy miękkie, kiedy patrzysz mu w oczy?

Głośny śmiech. Coraz więcej wina. Anafina ucisza niespokojnie kobiety.

- Ciii! Zachariasz przyjmuje gości. Mężczyźni nie powinni słyszeć naszych bezwstydných śmiechów. Oni przecież uważają, że dzisiejszej nocy kobiety powinny płakać, jutro bowiem dziewica ma się stać barankiem ofiarnym...

- Ha, ha! O ile dobrze widziałam męża twojej córki, droga Anafino, to chyba nie może być mowy o żadnej ofierze! Na Pana Zastępów, to anioł z wyglądu, ale jego ciałem diabeł włada!

To Zaphora, żona siodlarza, ta miała gębę tak niewyparzoną, że nie tylko Anafina nadziwić się nie mogła, dlaczego własny mąż jej kiedyś nie uciszy.

- Dziewczyno, on zburzy twoje marzenia! Posiądzie cię tak, jak ogier bierze białą klacz, poczujesz, jak soki się burzą, moja mała!

Po czym demonstracyjnie wzięła z tacy bardzo dojrzałą śliwkę i rozgryzła ją powoli, potem długo oblizywała wargi, a złoty sok spływał na jej podwójny podbródek.

- Zaphora, nie bez powodu ludzie na ciebie gada-

ją! Twoja mowa jest po prostu nieprzystojna! Trzymaj lepiej ten swój paskudny język za zębami! To wieczór Tabithy, a ty jesteś gościem w domu Anafiny!

To powiedziała Hadassa, kobieta, która wyszła za mąż za Greka, ale nakłoniła go do przejścia na właściwą wiarę, odmówiła po prostu spotkania się z nim, jeśli natychmiast nie zapozna się z Bogiem Izraela. Hadassa umiała czytać i pisać, a języków znała tyle, że żadna z kobiet nie była nawet w stanie ich zliczyć. Ona też była ostra w mowie, ale łagodnego serca, użalała się nad każdym ślepym kociakiem i nad każdym kurczątkiem, wyrzuconym przez kapłanów z synagogi.

Przez moment poczułam się źle na myśl, że te dwie arcywrogo do siebie usposobione kobiety rzucają się sobie do oczu, jak to już robiły, spotykając się na rynku albo u studni. Pochyliłam się ku siostrze, zarzuciłam jej ręce na szyję i poprosiłam, by napiła się z mojego kielicha. Najlepiej bowiem było skierować ponownie uwagę kobiet na chwalenie oblubienicy, a potem odchrząknęłam i zaśpiewałam tak, jak zwykłam śpiewać jako mała dziewczynka, ku wielkiej radości mego ojca:

*Oczarowałaś me serce, siostro ma, oblubienico,
oczarowałaś me serce*

*jednym spojrzeniem twych oczu,
jednym paciorkiem twych naszyjników.*

(...)

*Ogrodem zamkniętym jesteś, siostro ma, oblubienico,
ogrodem zamkniętym, źródłem zapieczętowanym.**

* Pieśń nad pieśniami, 4,9 i 4,12. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV - przyp. tłum.

Kobiety klaskały i śmiały się, kiedy ja, odetchnąwszy głośno, umilkłam. Podczas gdy ja śpiewałam starą pieśń miłości, służące wyniosły tace i półmiski pełne gotowanej cielęciny i słodkich oliwek. Teraz podano smakowity mostek i gorące mięsne pasztety, pieczone nad ogniskiem pod dachem, gdzie szlachtowano zwierzęta i sprawiano mięso. Ja wolałabym raczej miseczkę mlecznej zupy, ale kuchnia mleczna była po wszystkich przygotowaniach zamknięta i nawet specjalne naczynia do mlecznych dań zostały pochowane.

Słone jedzenie wzmocniło kobiety, które zgodnie z obyczajem pościły cały dzień przed przygotowaniami oblubienicy.

- Jedzcie, jedzcie, drogie przyjaciółki. To ostatni chleb, jaki moja ukochana siostra Tabitha upiekła w domu swego ojca. Jest z najdelikatniejszej złocistej pszenicy! Wina też na pewno nikt nieczysty nie dotykał! Jedzcie zatem i pijcie!

Musiałam jeszcze bardziej przytulić się do siostry, poczuć jej rozkosznie pachnące ciało. Dzieliłyśmy się kawałkiem chleba, jedna drugiej wkładała do ust małe kęsy, popijałyśmy drobnymi łyčzkami z tego samego kielicha.

Na szczęście teraz rozmowy przy stole prowadzono szeptem. Z ogrodu mężczyzn dochodziły podniesione głosy. Nagle od strony drewnianych uli doleciał do stołu kobiet cichy chrzęst.

Ciało Tabithy przeniknął dreszcz. Ja usłyszałam tamten odgłos w tej samej sekundzie, co ona.

Czyżby oblubieniec mimo wszystko przybył?

Czyżby nawet dziś wieczorem nie był w stanie trzymać się z daleka od naszego domu?

Rzecz jasna, uśmiechnęłam się lekko, ale nie chcia-

łam patrzeć na siostrę, by jej nie zdradzić. Zamiast tego ziewnęłam dyskretnie, zakrywając usta ręką:

- Myślę, że spełnię życzenie mojej siostry, jeśli udam się już na spoczynek. Dziękuję wam i spokojnej nocy!

Siostra posłała mi pospieszne spojrzenie, zdawało mi się, że słyszę bicie jej serca, dlatego podniosłam się natychmiast, ujęłam ją za rękę i powiedziałam:

- Drodzy goście, czcigodna matko, siostro! Musicie mi wszystkie wybaczyć, ale z trudem już patrzę na oczy. A jutro muszę wcześniej wstać, by ciebie, najdroższa Tabitho, obudzić ziarnami zbóż i wodą z miodem!

Ucałowałam ją czule w oba policzki i jeszcze raz uściskałam.

Wiedziałam, że tamten dźwięk wydawała z siebie harfa posłańca. Tabitha miała rację: Tatorc również tego wieczoru pokonał konno długą drogę, choć przecież już jutrzejszego popołudnia miał ją wprowadzić do swego domu!

Tak jest, już wkrótce mogłam usłyszeć, że Tabitha oddycha w innym rytmie, zdawało się, że jej dłonie są pełne niepokoju, z wycięcia sukni wydobywał się drażniący zapach piżma. Ja sama wstrzymałam oddech, wsłuchana w tony strunowego instrumentu. To grał niewolnik. Zawsze niewolnik. Ten, który stał na wzniesieniu niedaleko domu naszego ojca, ten, którego sygnał wywabiał Tabithę nocą z domu, kazał jej przechodzić przez wąską bramę ogrodu i biec do cyprysowego zagajnika. Na miękką, porośniętą trawą polankę, na której moja siostra odnalazła swój raj, tak jak mi to potem szeptem opowiadała...

A więc opuściłyśmy nućące, na pół pijane kobiety. Noc nie była ciepła ani nawet letnia, panował rzeński chłód.

Tabitha pospiesznie okryła ciało i głowę brązową

peleryną z kapturem i wsunęła stopy w sandały służącej. Nikt nie mógł przecież na jej własnym pięknym obuwiu znaleźć resztek ziemi czy oślego nawozu.

Potem uściskała mnie, wsunęła poduszki pod kołdrę i położyła swój czepek w miejscu, gdzie powinien spoczywać jej policzek, na poduszce, niedaleko mojej twarzy.

Ja rozebrałam się błyskawicznie, szybko odmówiłam pacierze, nie zastanawiając się, co w ogóle mówię, i udawałam, że już śpię.

Moja siostra wymknęła się na dach, wiedziałam, że schodzi po wąskiej drabinie do tylnego ogrodu. Nawet ptaki w klatkach były po jej stronie, bo nigdy nie powiadomiły gdakaniem ani krzykiem o tych jej nocnych wyprawach.

Ja kuliłam się na posłaniu, próbowałam nasłuchiwać nucenia w ogrodzie kuchennym albo rozróżniać męskie głosy z gościnnego pokoju. Ale teraz wszystko ucichło, tylko cyprysy śpiewały swoją wieczną, monotonną pieśń, której zazwyczaj nie zauważałam.

Harfa umilkła także.

Moja siostra zdążyła już dojść do celu. Z pewnością zostanie tam aż do zmiany trzecich straży. Tabitha nie będzie wiele spać dzisiejszej nocy, choć przecież najbliższe trzy dni będą chyba najdłuższymi dniami jej życia i być może najbardziej męczącymi.

Zadrzałam na myśl o tych wszystkich trójkach.

Trzecia nocna straż, trzy dni. Trzy siostry, z których dwie jeszcze żyją i mogą kochać.

Tylko jedna z nich poznała tajemnicę miłości, ale w głębi duszy obiecywałam sobie, że pewnego dnia, już niedługo, moje modlitwy też zostaną wysłuchane.

I ja będę kochać.

Spalał mnie ogień, który mój ojciec z pewnością na-

zwałby grzesznym, a nad którym panowania nauczyły mnie ręce mojej siostry.

O, Strażnicy Niebios, gdybyście tak powstrzymali mnie tamtej nocy! Gdybyście tak zesłali na mnie sen, bym nigdy nie opuszczała sypialnej komnaty!

Ale nie miałam tyle szczęścia. Wstałam z pośłania, niepokój trawiący ciało nie dawał się zagłuszyć. Pomyślałam, że niepostrzeżenie wymknę się na dół schodami od północnej strony. Wiedziałam, że mleczna kuchnia jest wymyta i zamknięta, ale tak strasznie pragnęłam kubka chłodnego napoju. Może sądziłam, że to pomoże mi zasnąć? Jakbym nie wiedziała, że zimne mleko może spowodować jedynie rozstrój żołądka.

Właśnie w chwili, kiedy niczym złodziej skradałam się wokół domu, dotarły do mnie te głosy: szepczące, zagłuszane szelestem sztywnych czepków. Ciche, niskie skrzeczenie wydobywające się z gardła Zapphory nigdy chyba nie było bardziej podłe.

- Patrzenie, siedzi tam i pławi się w całym swoim bogactwie, ta egipska niewolnica! Jakby ta jej zarozumiała dziewczyna była lepsza od innych córek. Nędzna niewolnica, akurat odpowiednia para dla takiego rozpustnika...

Druga kobieta uciszała Zapphorę, ale nie udało jej się zmusić akuszerki do milczenia.

Zresztą i tak było za późno.

Nie mogłam zamknąć uszu, nie mogłam słów tej pijanej kobiety określić mianem potwornego kłamstwa.

- Czy wiesz, co się stało z córką Kaify? Z tą, która w ubiegłym miesiącu w hańbie urodziła przedwcześnie dziecko?

Burknięcie tej drugiej było potwierdzeniem.

Głos Zapphory, zachrypły ze złości:

- Prawie nikt nie wie, kim był ojciec. Dziewczyna wy-

znała tylko, że została zgwałcona i że nie zna napastnika. Ale kiedy bóle ją chwyciły, wykrzyczała wszystko.

Usłyszałam, że druga kobieta szepcze zrozpaczona:

- Zamilknij nareszcie, Zapphoro! Nie wolno ci rozpowiadać tego, co słyszysz z ust rodzącej!

Ordynarny śmiech, ostry zgrzyt, gdy srebrny puchar uderzył o kamienny mur. Prawdopodobnie Zapphoro potknęła się i machała rozpaczliwie grubymi rękami, by nie upaść. Słyszałam, że obie kobiety szły po kamieniach ku miejscu, gdzie ja, całkiem teraz pozbawiona woli, zastygłam z policzkiem przyklepionym do ściany domu.

Zaraz znajdą się twarzą w twarz ze mną.

Moje serce przestało bić.

Ale uszy, one, niestety, nie były martwe.

Słowa Zapphory cięły niczym topór, zostawiały w mojej głowie głębokie rany.

- Ludzie gadają, że on już raz kupił sobie wolność. Podobno zapłacił ojcu panny tyle, że ten odesłał ją gdzieś i nie dochodził prawa.

- To tylko plotki, Zapphoro! Powinnaś się wstydzić, rzucać takie podejrzenia na męża Tabithy, a jednocześnie wlewać w siebie wino z jej panieńskiego dzbana!

Słyszałam upomnienie. Słyszałam, że obie kobiety zatrzymały się tuż za węglem. Były teraz tak blisko mnie, że gdybym wyciągnęła rękę, mogłabym ich dotknąć. Odór kwaśnego wina drażnił mój nos, kiedy Zapphorze się odbijało.

Mimo wszystko wyrzucała z siebie najważniejsze słowa:

- Tym razem też się nikt niczego nie dowie. Tatoro to przebiegły człowiek i zna tych, których warto znać. Ha, ha, gdyby tak Zachariasz wiedział, komu to sprzedaje własną córkę! Nędznemu uwodzicielowi kobiet,

mordercy, potworowi! A oni gadają o małżeństwie, którego można zazdrościć!

Upadłam na kolana, przywarłam do ściany, wdychałam zapach świeżej ziemi. W półmroku pnącza porastające ścianę zdawały się mieć długie szpony.

Nie pamiętam, jak zdołałam się podnieść i dotrzeć do swojej izdebki.

Tabitha, na szczęście, wróciła, zanim się rozwidniło. I nie domyślała się, że ja leżałam, nie śpiąc, przez całą tę długą noc, jak sparaliżowana bólem. Kiedy wślizgnęła się do mnie ubrana jedynie w cieniutką koszulę, poczułam od niej jakiś nowy zapach.

Połaskotała delikatnie palcami mój policzek, a ja udałam, że ocknęłam się gwałtownie. W ciemności widziałam, że jej oczy lśnią niczym szlachetne kamienie.

- Rebeka, Rebeka! Tej nocy byłam w raju!

Odwróciłam się wolno ku niej. Drżałam.

- Co się stało, moja siostrze? - wykrztusiłam.

Wtedy ona położyła policzek na mojej piersi, ja zaś musiałam objąć ramionami jej barki. Odpoczywała przez chwilę, ale czułam, że jej wargi poruszają się w uśmiechu. Jej oddech był gorący niczym wiatr wiejący od pustyni.

- Nie chcesz opowiadać? Co ci mówił? Czy dostałaś znowu jakiś kosztowny, tajemny dar?

Uważałam, że udaję bardzo dobrze, a mój głos brzmi swobodnie i zwyczajnie.

Tabitha jęknęła.

Poczułam, że się porusza, że układa się na dość niewygodnym materacu, trochę zbyt twardym.

- Rebeko... wszystko, co słyszałaś na temat ogrodów miłości, o kochaniu i o zdolności mężczyzny pozbawienia kobiety zmysłów, to prawda!

I tu moja rozsądna siostra zachichotała.

- On... Ja... to po prostu niemożliwe, by szczęście mogło być aż tak wielkie! O, Rebeko, jestem stracona dla tego świata! Jestem jego niewolnicą, na zawsze! Kocham go i nigdy, przez całe moje życie, nie będę miała dość!

Długo milczałam, jakbym nie była w stanie odpowiedzieć.

Szczęście przenikało jej słowa, spływało z nich niczym żywica ze skaleczonego drzewa. I zaraz te słowa tężały w mojej głowie, jak to zwykła czynić żywica, w twarde, słodkie kulki.

- Dlaczego ty nic nie mówisz, siostrzyczko? Jesteś może zazdrosna? Jesteś?

Śmiała się i całowała moją szyję. Potem wzięła mnie za rękę.

Przesuwała ją powoli po swoim ciele - czułam jej piersi niczym jabłka granatu pod cieniutką tkaniną. Ona zaś szeptała słodkim głosem:

- Dzisiejszej nocy po raz pierwszy zasmakowałam mężczyzny, moja kochana siostrzyczko. I odkryłam, że nie tylko Gabriel strzeże drogi do niebios. Ta droga znajduje się w nas samych, możesz to pojąć? Możesz uwierzyć w to, co ci opowiadam, Rebeko, mały, wesoły ptaszku?

- Tak - wykrztusiłam ochryple.

Leżałam przez całą noc nie śpiąc, i poszukiwałam sposobu, w jaki mogłabym ujawnić jej okrutną prawdę. Długo starałam się to wszystko od siebie odepchnąć, przekonywałam sama siebie, że Zapphora z pewnością kłamała. Ale przecież wiedziałam, że to prawda, wiedziałam o tym, jeszcze zanim obie kobiety wyłoniły się zza węgła i zataczając się, przeszły obok, nie widząc mnie.

Wiedziałam, że to prawda, bowiem głos Zapphory był zły i przerażający tak, jak tylko przerażająca może być prawda.

A potem ożyły jakieś fragmenty wspomnień spod miejskiej studni: ciche, przestraszone szepty kobiet, jakie to straszny los spotkał córkę Kaify, młodą kobietę z Jerozolimy zaręczoną z synem rzymskiego prefekta.

To wszystko miało miejsce jakieś pół roku temu.

Mówiono, że nieszczęsna została umieszczona u pewnego starszego małżeństwa na przedmieściach Betlejem i że Zapphora została sownie wynagrodzona za to, by przybyć w dniu, gdy kobieta rodzić będzie owoc swej hańby. Wówczas Zapphora wysoko zadzierając nosa i trzymała język za zębami.

Obejmowałam siostrę i miałam nadzieję, że moje drżenie weźmie za wynik chłodu, a nie strachu.

Ale Tabitha głaskała mnie, szeptała czule, szczęście po prostu z niej spływało, miałam wrażenie, że się w nim utopię. Powoli utuliła moje drżenie, a jej cudowne zwierzenia dosłownie zamknęły mi usta.

Nie mogłam nic powiedzieć.

Jeśli te straszne rzeczy są prawdą, pozostawało mi tylko wierzyć, że oblubieniec Tabithy jej nic złego nie uczyni. I że jego straszne przestępstwa wobec innych kobiet nigdy nie wyjdą na jaw, że Tabitha się o nich nie dowie...

W jakiś sposób zapach balsamu otaczający jej ciało uspokoił mnie, sprawił, że się odprężyłam.

Tajemnice zawsze wyrządzają tylko szkody.

Zresztą kto by mi uwierzył?

Tabitha na pewno nie, ona była tak oszołomiona miłością i szczęściem, że chyba tylko demon mógłby jej to odebrać.

A mój ojciec?

Zapphora wszystkiego się wyprze. Tatorc, rzecz jasna, również zaprzeczy oskarżeniom. A jeśli to prawda, że zapłacił rodzinie tamtej kobiety, to wszyscy staną po jego stronie. I co on sobie o mnie pomyśli? Na pewno zabroniłby mi wstępu do swego domu, a tym samym pozbawił kontaktu z Tabithą.

2 moją ukochaną Tabithą...

Często leżałyśmy, nic nie mówiąc, i głaskałyśmy nawzajem swoje piersi, brzuchy, uda i ramiona. Kreśliłyśmy na twarzach piękne wzory i rozkoszowałyśmy się, ssąc nawzajem swoje palce, jak nowo narodzone dzieci.

Przytulałyśmy się do siebie tak mocno, że nocne koszule lepiły się do ciała, i budziłyśmy się czule objęte ze smakiem potu tej drugiej na wargach.

Byłyśmy siostrami z serca i ducha.

Lecz także z ciała, kiedy drżałyśmy z radości lub lęku, mogło się wydawać, że jesteśmy dwiema częściami jednego organizmu.

Tabithą głaskała mnie niepewnie po brzuchu i tej nocy jej dotyk był zupełnie inny.

- Czy chcesz, bym ci pokazała, Rebeko, na co możesz się cieszyć?

W ciemnościach przytaknęłam. Wszystkie te ponure głosy w mojej głowie zostały zagłuszone słodkimi dotknięciami siostry.

I wierzę, że nikt nie słyszał moich jęków, moich zdławionych, cichych krzyków. Nikt oprócz Pana Zastępów, który - wiedziałam to już podczas niepojętych spazmów wstrząsających moim ciałem - pewnego dnia ukarze nas obie.

3

- Twoje sny - powiedziała mama. - Twoje sny to są myśli, które się gromadzi w naczyniu Izydy. W pucharze boga Słońca! Bogini zbiera je każdego ranka w swoim ogrodzie. Wie, że kładą się niczym rosa na uśpionych ludziach.

Kiedy mama pierwszy raz opowiadała o pucharze boga Słońca, zrozumiałam niewiele. A jeszcze mniej pojmowałam tego najważniejszego poranka, kiedy obudziłam się z echem jakiegoś koszmaru w głowie.

Tabitha spała spokojnie obok mnie, jedno moje ramię wciąż jeszcze znajdowało się pod jej głową. Lewa dłoń siostry spoczywała na moim brzuchu, niczym ptak w gnieździe.

Przeniknął mnie chłód!

Znowu te zimne nocne wiatry dały o sobie znać, zacisnęłam oczy w nadziei, że światło dnia przepędzi wszelkie zło.

To przecież dzień ślubu Tabithy.

Poprzez otwór okienny już do mnie docierały ostre pokrzykiwania stajennych. Nasze konie osiodłano, tylko tych czterech, które pożyczaliśmy z gospody, jeszcze nie przyprowadzono.

Dzisiaj również ktoś grał na flecie.

Głos mojej matki niósł się ponad gdakaniem kun

- Dajcie im parę garści dobrego ziarna! Niech i one wiedzą, że mamy święto!

Służąca posłuchała chyba z zadowoleniem. Podobnie zachowywali się wszyscy inni, którzy wynosili jeszcze rzeczy należące do wiana panny młodej, pyszne jedzenie, beczki z winem i tace pełne słodkiego orzechowego ciasta. Wszystko to powinno zostać ustawione na weselnych stołach w podobnym do pałacu domu oblubieńca. Ślub Tabithy oznaczał również dla naszego domu większe bogactwo. Bo, zgodnie z obyczajem, rodzina pana młodego przysłała nam znacznie kosztowniejsze dary niż te, które my daliśmy im.

Służąca ułożyła mój najpiękniejszy strój na szerokiej ławie przy drzwiach. Rozpoznałam głęboko czerwoną materię, którą ojciec kupił od perskiego poganiacza wielbłądów. Pod spodem miałam nosić delikatną, starą koszulę matki, tak cieniutką, że można było poprzez nią czytać. Miała kolor jasnoniebieski. „Jak Nil, kiedy się w nim przegląda niebo” - powiedziała kiedyś mama.

Ale najpiękniejsze ze wszystkiego było haftowane nakrycie głowy, na którym jedwabnym ściegiem przedstawiono gołąbkę z gałązką oliwną w dziobku. Litery nie były nasze, to greckie znaki, ale mój ojciec

na udach, zdawała się przenikać całe ciało. Pociłam się, jakbym przez całą noc wchłaniała w siebie oliwę, którą namaszczone skórę mojej siostry, i te wszystkie ciecze, którymi w jakiś niezwykły sposób była napełniona, -kiedy nad ranem wróciła do naszego łóżka.

Panie, bądź miłosierny...

Musiałam modlić się długo, aż do czasu, gdy smuga światła z otworu okiennego przesunęła się na podłodze od jednej nogi stołu do drugiej. Wtedy nie czułam się już taka rozdygotana i przestraszona. Zresztą wtedy też moja siostra przeciągnęła się rozkosznie i ziewnęła z uśmiechem zadowolenia.

- Och, błogosławiony dzień - wyszeptała i po omacku, nadal pogrążona we śnie, szukała tacy ze świeżymi winogronami, kłosami zbóż i figami, które, jak wiedziała, powinny stać przy łóżku oblubienicy w ostatni ranek, jaki spędza ona w domu swego ojca.

Wsunęła figę do ust i uśmiechnęła się do mnie.

- Będziesz mogła przyjść do mojego domu, najdroższa Rebeko. Możesz u mnie mieszkać podczas wszystkich czekających nas uroczystości, jeśli zechcesz! W dalszym ciągu możemy przeżywać takie wspólne noce, pamiętaj, że mój ukochany wiele podróżuje, takie ma zajęcie. I powinnaś wiedzieć, że on cię lubi, uważa, że jesteś miła, mądra i ładna, jak na młodszą siostrę - roześmiała się.

I całowała mnie raz po raz.

Mnie jednak jakieś dziwne uczucie, przeszywające chłodem, kazało stać bez ruchu, musiałam wyglądać niczym żona Lota, kiedy całą siłą woli powstrzymywałam łzy.

Wkładając koszulę, Tabitha nuciła jakąś pasterską pieśń. Wkrótce przyjdą kobiety, żeby zacząć ją ubie-

rac, najpierw jednak ona sama musi jeszcze włożyć na siebie szorstką suknię i pójść do ojca, złożyć mu ostatnie pokorne pozdrowienia jako jego córka.

Taki był zwyczaj, tak żyliśmy i tak należało postępować wówczas, kiedy miałam zaledwie siedemnaście zim i wszyscy nazywali mnie Rebeką. Tamtego dnia, kiedy wszystko przemieniło się w coś całkiem innego. Tamtego dnia, kiedy moja ukochana siostra Tabitha została zaprowadzona do domu oblubieńca, tamtego dnia, w którym szczęście miało zagościć w domu mego ojca.

Siedzieliśmy w zabudowanych wozach, dopóki śpiwy nie umilkły. Wzdłuż szerokiej drogi prowadzącej do domu narzeczonego ustawili się niewolnicy z pękami kwiatów i gałęzi w rękach. Rzucali je przed orszakiem oblubienicy - na powitanie i jako znak szacunku dla jej rodziny.

Żenić się miał wnuk wielkiego rabina, dlatego pół miasta postawiono na głowie. Ja najwyraźniej nie doceniłam wcześniej, jaka potężna jest nowa rodzina mojej siostry. Zaimponowało mi to, co widziałam, gdy przybyliśmy do wielkiego domu, mianowicie długie szeregi zwierząt ofiarnych wyprowadzanych poza obręb murów.

Woły, jagnięta, gazy, i pęki synogarlic niczym żywe bukiety... oczy zaczynały mi łzawić od gryzącego dymu docierającego aż tutaj ze świątyni. Jakaż byłam głupia, patrzyłam w piękne, połyskliwe oczy zwierząt i pragnęłam, by kapłani pozwolili im żyć.

Wkrótce jednak ofiarne zwierzęta razem z prowadzącymi je śpiewającymi niewolnikami zniknęły w świątyni. Pod wysokimi kolumnami domu czekała gromada odświętnie ubranych mężczyzn. Mój ojciec podszedł do nich, żeby się przywitać, po czym rozpoczęły się nie-

skończenie długie modlitwy i błogosławieństwa. My, kobiety, stałyśmy za pięknymi, tkanymi zasłonami i słuchałyśmy. Wiedziałyśmy bardzo dobrze, że ojciec obłubieńca miał na sobie uroczysty strój kapłański, niegdyś bowiem sam Pan polecił Aronowi tak

małżonki albo pojąć inną żonę czy też postawić ją przed sądem kapłanów, gdyby podejrzewał zdradę.

Tatorc patrzył na swoją oblubienicę błyszczącymi oczyma. Przed obliczem ojca czynił w powietrzu znaki i wypowiadał święte przysięgi. Jego twarz była jak odlana z brązu, twarda i jakby mieniąca się w słońcu. Myślałam sobie: On musi ją bardzo kochać! On nigdy nie będzie wobec niej zły lub nieustępliwy!

Sama Tabitha nie mówiła nic. Zdjęto z niej tylko płaszcz i dodatkowy welon, wszyscy zebrani jęknęli, kiedy ukazał się jej strój.

Pieniądze oblubieńca przyodziały ją w mieniący się, purpurowy jedwab, jakby przysypany szafirami i połyskliwymi, zielonkawymi szmaragdami. Na czole, oprócz ozdobnej obręczy swojej matki, nosiła szeroką, przetykaną srebrem wstążkę, upiętą niczym korona i podtrzymywaną zapinkami z najczystszej złota. Na jej widok pomyślałam o Kleopatrze z opowieści mamy, pospiesznie jednak pochyliłam głowę i odgoniłam od siebie wspomnienie pogańskiej królowej. Czy takie same myśli zanieczyściły głowę Tabithy, kiedy wkładano jej tę ozdobę?

Dostrzegłam, że jej stopy przystrajają łańcuszki i małe dzwoneczki, i zrozumiałam to, co musieli myśleć również inni goście weselni: że mianowicie kapłan zachował się zuchwale, przygotował oblubienicy swego syna strój wart, by nosił go sługa świątyni! Tym samym wywyższył córkę kupca Zachariasza, jeśli można tak powiedzieć, pod niebiosa...

Tatorc wpatrywał się w swoją oblubienicę tak długo, że bracia musieli szturchnąć go w bok. Potem wprowadzono kolejne zwierzęta ofiarne oraz wyniesiono stopy jedzenia przeznaczone dla Świętej Spiżarni.

W końcu muzykanci mogli zacząć grać, a wielki tłum powoli się poruszył. Przed wejściem do jednego z pałaców powitał nas kolejny orszak niewolników, a gdy wozy i lektyki minęły pałac, stwierdziłam, że nawet gwardia Heroda stoi na baczność i oddaje honory.

Jakiegoż to potężnego oblubieńca dostała moja siostra!

Poczułam w sercu coś na kształt zawiści. Narzeczonny siostry jest taki piękny. I pochodzi z takiego wspaniałego rodu! A jego głos, który słyszałam zaledwie jeden raz, był i łagodny, i silny zarazem, musiałam się uśmiechnąć na jego wspomnienie. Ponura tajemnica w moim sercu zaczynała blednąć. Tatorc promieniał jak anioł i w żadnej mierze nie przypominał tego diabła, którego w swoich plotkach próbowała stworzyć Zapphora.

Teraz okazało się, że jego bogactwo również jest bezmierne.

Tabitha zasługiwała na to wszystko. Nie było takiej radości ani takiego błogosławieństwa, które by się jej nie należało.

Mimo to siedziałam przy jej weselnym stole i jadłam wytwornie przygotowane potrawy, a równocześnie rzucałam ukradkowe spojrzenia ponad kwiatami rozdzielającymi stoły dla mężczyzn i dla kobiet. Tam, zaraz za wielkim bukietem niebieskich chryzantem, siedział brat mojego nowego szwagra. Był oczywiście podobny do Tatorca, choć ani taki wysoki, ani tak potężnej budowy. Najstarszy syn kapłana został również przeznaczony do stanu kapłańskiego, jak to zawsze bywa z pierwotnymi synami kapłanów. Być może chciałby wziąć sobie jeszcze jedną żonę, ale nie było w nim nic, co by mnie pociągało.

Nie, natomiast drugi w kolejności brat... ten, który

nosi piękne imię Jairus. Wiedziałam, że to oznacza: „Ten, który przynosi światło”. Miałam nadzieję, że w ciągu wieczoru uda mi się zbliżyć do niego tak, by chociaż dotknąć jego płaszcza, może nawet ręki, jeśli przypadkiem znajdziemy się obok siebie w tłumie, na przykład koło fontanny.

Jego ciemne oczy poruszały moje serce.

Śmiałam się tak ładnie, jak tylko potrafiłam, kiedy jego spojrzenie docierało do mnie ponad głowami wyginających się tancerek. Stół przeznaczony dla mężczyzn był częściowo ukryty za zasłoną z pnących roślin.

Jedzenie ciążyło mi w żołądku. W pewnym momencie usłyszałam głos mamy:

- Rebeko, ściągasz na siebie wstyd! On przecież należy do naszej rodziny, a ty patrzysz na niego, jak na jakiegoś... na jakiegoś...

Na szczęście mama zachichotała. Objęłam ją serdecznie. To przecież jej święto, największe, jakie może stać się udziałem kobiety, która nie urodziła synów. Powinnam więc zachowywać się tak pięknie, by ani ona, ani ojciec nie usłyszeli nigdy nic prócz pochwał swej młodszej córki.

Obiecywałam to wszystko, a tymczasem w mojej głowie aż huczało od trawiącego mnie niepokoju. Myślałam, z zarumienionymi policzkami, że wszystko to bierze się z tego drżenia, które wczorajszego wieczoru wzbudziły we mnie ręce Tabithy. Ale może ów niepokój zrodził się w tamtej chwili, kiedy zobaczyłam jaszczurkę w ślubnej kąpieli mojej siostry.

Musiałam z całych sił starać się zapomnieć te nieprawdopodobne słowa, które potem dotarły do moich uszu.

4

Straszne wydarzenia spadły na weselnych gości bez żadnego ostrzeżenia. Bo przecież oni nie widzieli jaszczurki. Ani nie słyszeli opowiadania pijanej akuszerki. Nie wiedzieli tego, co wiedziałam ja. A ponad okrzykami zaszokowanych ludzi głos Tabithy był najgłośniejszy i brzmiał najostrzej:

- Ja nic nie wiedziałam! Na Pana naszego i Boga, na wszystkich proroków, którzy przemawiają jego słowami, ja nic nie wiedziałam!!!

Wciąż jeszcze brzmi mi w uszach ten krzyk.

Ale obca kobieta, która wdarła się do ogrodu i zakłóciła uroczystość, nie przerywała oskarżeń:

- Tatorc i jego przyjaciele napadli na mnie na pastwiskach poza miastem. Wzywałam pomocy, ale nikt mnie nie słyszał. A teraz on siedzi tutaj jako oblubieniec, a mnie zamknięto w domu dla umyślowo chorych biedaków!

Jej głos był ochrypły niczym krzyk drapieżnego ptaka. Twarz miała okrągłą jak księżyc, obrzmiała, sprawiała wrażenie chorej z tymi rozpalonymi policzkami i tym wydatnym brzuchem pod szerokim płaszczem.

„Córka Kaify - szepnął ktoś. - Ta, która postradała zmysły”.

Kobieta wyciągnęła spod narzuconej na ramiona chustki jakiś tobołek.

- Ale patrzcie tutaj! Oto dowód! Patrz! To jest twój syn, ty oszuście, który okrywasz wstydem dom swego

ojca! To twój pierworodny, którego spłodziłeś w hańbie, dopuszczając się na mnie gwałtu!

Ktoś musiał ją uciszyć, powstrzymać, może nawet położyć jej rękę na ustach. W każdym razie wtrącili się jacyś mężczyźni i przywrócili spokój w pomieszczeniu. Muzykanci znowu zaczęli grać, ale twarz mojej matki zrobiła się blada, a Tabithy nie było na honorowym miejscu.

Niepokój wśród gości narastał nawet wtedy, kiedy służba wniosła kolejne dania i podejmowano przerwane rozmowy. Wokół naszego długiego stołu większość kobiet siedziała z pochylonymi głowami, ręce skubały gotowane mięso i słodzone owoce.

Na dziedzińcu domu weselnego rozległy się jakieś głosy, ktoś coś wołał do dopiero co tak rozbawionych ludzi. W kobiecej sali słychać było tylko urywki zdań.

Kto to jest ten, co wyszedł i przemawia?

Słyszałam, że ktoś wypowiedział pod nosem jego nazwisko. To także był kapłan, równy pozycją panu młodemu, to on teraz żądał, żeby gospodarz pozwolił mu mówić.

- To, cośmy tutaj usłyszeli z ust tej bezwstydnej kobiety... czy ktoś może potwierdzić jej historię?

Kiedy to do mnie dotarło, uczyniłam rzecz w innej sytuacji nie do pomyślenia: przeprosiłam, udałam, że nie czuję ręki mamy kurczowo się zaciskającej na moim ramieniu, wstałam od stołu, zasłoniłam twarz i ruszyłam w kierunku pokoju, w którym kobiety mogły odpoczywać.

Wyszłam na ulicę.

Przechyliłam się przez wąską balustradę i patrzyłam na zgromadzonych w dole mężczyzn. Wszyscy świątecznie ubrani, wszyscy nakryli głowy małymi, okrą-

głymi czapeczkami. Tłoczyli się wokół kobiety z dzieckiem, która teraz siedziała na ziemi, przyciskając do piersi swoje zawiniątko. Nie widziałam jej twarzy.

Rozpoznałam człowieka imieniem Mir, Egipcjanina, który niegdyś był przyjacielem mojego ojca, ale który potem wynajął się na służbę do cesarza i teraz dowodził znienawidzonymi rzymskimi oddziałami; wszędzie ich było pełno, niepokoiły dobrych ludzi.

Od tamtej pory nie był zapraszany do domu mego ojca.

Mir mówił teraz, że jego osobisty lekarz badał tę kobietę w dniu, kiedy na pół żywa została znaleziona na pastwiskach. Odniesiono ją do domu matki, a ona nie chciała powiedzieć, kim byli napastnicy, którzy ją zhańbili.

- Kiedy jednak dziecko przyszło na świat, okazało się, że nosi ono znak Tatorca - oznajmił Mir stanowczo.

I wtedy wszystko rozpętało się na dobre.

Nie mogłam z mojego miejsca zobaczyć, co to za znak. Wkrótce jednak usłyszałam, że w rodzinie Tatorca wszyscy mężczyźni rodzą się ze zrosniętymi dwoma palcami u nogi. Imienia Zapphory nie wspomniano, ale widocznie nie kłamała, mówiąc o roli, jaką odegrała podczas porodu zgwałconej córki Kaify.

Powinam była siłą zaprowadzić ją przed oblicze mego ojca jeszcze przed ślubem i zmusić, by opowiedziała o wszystkim!

Teraz było za późno.

Nigdy nie wyznałam matce, czego świadkiem byłam w dniu wesela, co się stało w kręgu mężczyzn na pokrytym marmurem podwórku. Ojciec też nie powiedział jej więcej, niż było konieczne: że chora umyślowo kobieta przyszła oskarżać Tatorca i z wściekłości, że nikt jej nie wierzy, rzuciła się i nadziała na jego miecz.

Ale to przecież Tatorc wyrwał miecz jednemu z niewolników. I zabił tę kobietę na oczach swoich weselnych gości, a potem chwycił również dziecko. Ktoś krzychał, że zły duch wydostał się z umierającej kobiety i opanował oblubieńca.

W końcu wtrącił się jego rodzony ojciec, wyszarpnął mu krzyczące dziecko i cisnął maleńkie ciało daleko od ogarniętego wściekłością syna. Ktoś zdołał złapać maleństwo i na szczęście nie roztrzaskało się o kamienne płyty.

I nagle chmura purpurowego jedwabiu i złota dopadła do obu zmagających się mężczyzn. Tabitha wbijała palce w ramię narzeczonego i przeraźliwie wyła. Tatorc objął ją, potem wziął na ręce i zaniósł z powrotem na jej miejsce pośród kobiet.

Mój ojciec, który przez cały czas siedział obok kapłana, był teraz szary na twarzy.

Po krótkiej naradzie kapłani i uczeni w Prawie ustalili, że nie należy przerywać uroczystości, ale że ze względu na bezpieczeństwo para młoda spędzi swoją pierwszą noc w zamknięciu. Po zakończeniu uroczystości rada zbierze się ponownie, by ustalić, jak należy tę trudną, a mówiąc wprost, skandaliczną sprawę rozwiązać.

Oczy mojej matki były suche, kiedy prostym wozem odwożono nas do naszego domu w Betlejem. W oddechu ojca wyczuwałam woń wstydu. W ciągu tego jednego dnia ojciec panny młodej stał się starym człowiekiem. Jego dom huczał od plotek, niepokój dręczył go nawet w świątyni. Jeszcze przed świtaniem wszyscy mieszkańcy Jerozolimy dowiedzieli się o tym, co się stało. I każdy chciał wiedzieć coś więcej. Długo jeszcze Jerozolima trząść się będzie od plotek i spekulacji: pomyśleć, że syn kapłana zhańbił córkę Kaify! To zrozumia-

łe, że ojciec zamknął ją w odosobnieniu i chciał ukryć całą sprawę, ale cóż to za nieszczęście, że jego umowa z Tatorkiem dotarła do uszu gawiedzi! I kto by pomyślał, że Egipcjanin Mir będzie świadczył na korzyść nieszczęsnej dziewczyny!

I kto by pomyślał, że Tatorc, ten wspaniały Tatorc w dzień własnego ślubu zostanie tak rozwścieczony, że popełni morderstwo!

Niektórzy będą gadać, że to boska sprawiedliwość, takie złe kobiety nie zasługują bowiem na to, by żyć. Na dodatek ona jest z krwi Kaify, a przecież wszyscy wiedzą, że ten człowiek traktuje Rzymian jak władców, odszczepieniec jeden!

Inni jednak, zwłaszcza w kobiecych komnatach, będą płakać nad strasznym losem kobiety i nazywać Tatorca bezbożnikiem, który hańbi i morduje dziewczyny.

Co mógł mieć na swoją obronę mój ojciec?

Co myślała moja matka?

Jaki los będzie sądzony Tatorcowi? I co się stanie z moją ukochaną siostrą?

Tyle palących pytań domagało się odpowiedzi, tyle słów cisnęło się na usta i zatrzymywało tam jak bystra woda rzeczna na bobrowej tamie. A zarazem umierałam ze strachu przed nadejściem chwili, w której spojrzenie ojca powie mi całą prawdę.

I być może wtedy ja się załamie, a potem wykrzyczę, że o wszystkim wiedziałam już w ostatni wieczór przed ślubem.

Że to wszystko moja wina, że moje tchórzostwo ściągnęło największy wstyd na rodzinę!

W drodze do domu jednak żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Owe straszne zdarzenia podczas uro-

czystości weselnej dosłownie zakneblowały nam usta, a moje serce przemieniły w boleśnie uwierającą kamienną bryłę.

Miało się ku zachodowi, bębenki i tamburyny wzywały nas na dalszą część weselnych obchodów. Zdołałam jedynie przez krótką chwilę porozmawiać z Tabithą. Ale zdążyła mi wiele opowiedzieć, jej słowa toczyły się niczym nasiona grochu z otwartego worka, gorączkowo starała się usprawiedliwiać swego ukochanego, nawet przede mną.

Chciała, by jej historia brzmiała pięknie, tyle razy przecież dzieliła się ze raną najbardziej nawet intymnymi przeżyciami.

Ja jednak mogłam jedynie ciężko przełykać ślinę, kiedy słowa siostry rysowały w moim umyśle obrazy.

- W tym wielkim pokoju łoże ustawiono na podwyższeniu, naprzeciwko ognia. Było bardzo gorąco, chociaż otwory między kolumnami dostarczały dostatecznie dużo powietrza. Czekająca na mnie młoda dziewczyna gotowa do pomocy i nie musiałam o nic jej prosić - szeptała Tabitha z roziskrzonym wzrokiem.

Mówiła jakby w stronę pokoju, jej twarz znajdowała się bardzo blisko mojej, a jednocześnie dziwnie daleko ode mnie.

- Dziewczyna bez słowa, kłaniając się tylko na powitanie, uwolniła mnie od ciężkiego ślubnego stroju. Rozpuściła moje włosy i podała mi wodę różaną z dodatkiem żywicy do płukania ust.

Próbowałam się uśmiechać, ale ona już na mnie nie patrzyła. Prawie obcym głosem ciągnęła swoją monotonną opowieść o świętej nocy, nocy poślubnej.

- Dalekie głosy fletów docierały aż tam, a w klatkach

pod dachem kolumnady śpiewały słowiki. Nawet nie przypuszczałam, że dane mi będzie przeżywać coś równie pięknego. W trzech siedmioramiennych kandelabrach płonęły świece. Ich zapach mieszał się z wonią kadzidła w naczyniu ustawionym w nogach łoża. Powinnaś była to widzieć, Rebeko! Podłogę przysypano świeżymi liśćmi eukaliptusa i drobno posiekaną skórką pomarańczową...

Szczęście mojej siostry - jakże bym mogła go z nią nie dzielić?

- Piękna lniana materia otaczała moje ciało niczym zasłona, koszula miała kunsztowne zaszewki i fałdki pod biustem i sięgała aż do stóp. Na palcach zbliżałam się do postania. O Boże, jakże ja tęskniłam!

Musiałam się dowiedzieć wszystkiego.

Tabitha nie oszczędziła mi najdrobniejszego szczegółu.

- Nareszcie on wszedł do pokoju. Ktoś ogolił mu brodę, długie włosy miał rozpuszczone, natarte oliwą i wośkiem mieniły się w blasku świec. Opadały aż na ramiona, na lnianą koszulę, uszytą prawdopodobnie z tego samego materiału co mój nocny strój. W pasie przewiązany był szarfą utkaną z najpiękniejszej wełnianej włóczki. Zawieszony na szyi ciężki łańcuch połyskiwał leciutko...

Przerwała na chwilę, wciągała powietrze. Spoglądała w moją stronę, ale ja odwróciłam oczy.

- Niósł przerzucone przez ramię białe prześcieradło.

Zrozumiałam, co Tabitha ma na myśli. Wszyscy przecież wiedzą, że kiedy w nocy małżeństwo zostanie dopełnione, białe prześcieradło powinno zostać przekazane ojcu oblubienicy. I gdyby się zdarzyło, że pan młody wniesie skargę, uzna, że panna młoda nie była dziewicą, to sędziowie będą mogli zażądać, by im przedstawiono dowód przechowywany w domu jej ojca.

- Ja stałam i czekałam, a on wolno się do mnie zbliżał. Odpiął pas, który wraz ze sztyletem opadł bezgłośnie na podłogę. Potem złoty łańcuch legł na grubym perskim dywanie. Tatorc uśmiechał się do mnie. Poczulałam, że moje ciało pokrywa gęsia skórka, jak w gorący dzień, kiedy chłodny wiatr pieści spocone ciało. I szeptał mi takie cudowne rzeczy... błagał mnie przy tym i płakał nad strasznymi oskarżeniami tej szalonej kobiety.

Musiałam znowu odwrócić głowę. Oczy Tabithy zrobiły się wilgotne. Z trudem przełykała ślinę. Ona przecież nie widziała na własne oczy tego, co się stało, słyszała tylko rozmaite wersje wypadków, powtarzane przez gości; każdy brał stronę tego, do kogo żywił większą sympatię.

- On nie musiał mnie błagać. Moje serce wie, jaka jest prawda. Zdajesz sobie sprawę, Rebeko, że nikt nigdy nie zdoła sprawić, bym się odwróciła od mego ukochanego Tatorca...

Nie mogłam już dłużej milczeć, musiałam ją zapytać:

- No i co on teraz mówi? W związku z twierdzeniami tej kobiety?

Tabitha najpierw zacisnęła wargi, aż stały się bardzo blade, a potem zaczęła wypluwać z siebie słowa. Było oczywiste, że została urażona. Ale jeszcze bardziej oczywiste było to, że wierzy słowom swego męża.

- On jej naprawdę nie zgwałcił, wczoraj był taki zrozpaczony, taki załamany, nigdy go jeszcze takim nie widziałam.

Ja kiwałam jedynie głową. Tabitha chyba nie dostrzegła mojego milczenia, nie widziała mojej bladej twarzy. Opowiadała dalej, wciąż w tym szczerym zaufaniu, łamiącym się ze wzruszenia głosem:

- Głaskałam go po piersi, po pozbawionych włosów, wrażliwych barkach, po ramionach, które nie mogły się uspokoić po tym, jak palcami przeczesywał moje włosy... Przywarłam wargami do jego szyi, kreśliłam wilgotne ścieżki w dół, do brzucha i dalej, do wonnego wieńca ciemnych, jedwabiących połyskliwych włosów. Ty przecież wiesz, siostrzyczko, że znam go dobrze. Mogę zamknąć oczy, nie dotykać go ani rękami, ani wargami, a wiedzieć dokładnie, jak wielkie jest jego pożądanie...

- Tabitha...

Rozpaczliwy jęk wyrwał się z mojego zaciśniętego gardła. Ona źle mnie zrozumiała i ciągnęła dalej tę swoją rozgorączkowaną opowieść.

- Ty też czujesz, że oblewa cię gorąco, siostrzyczko? Musisz dowiedzieć się wszystkiego. Tatorc jęczał i czule obejmował rękami moją głowę. Przyciskał kciuk do tego czułego miejsca na skroni, delikatnie, a zarazem z taką siłą, że szumiało mi w uszach. Przywarłam do jego ciała. Chciałam, by piersi i brzuch dotykały jego skóry... Wystarczyło, że jedno udo oparłam o jego udo, a on mógł znaleźć do mnie drogę. Och, co za uczucie! Ciesz się, siostrzyczko, że i twój dzień nie długo nadejdzie!

I wtedy ja przejrzałam gorączkowy rumieniec mojej siostry, patrzyłam na jej gestykulujące palce ozdobione ciężkimi pierścieniami z najczystszej złota. Przejrzałam też blask jej oczu, o którym wcześniej sądziłam, że odzwierciedla światło miłości.

Ona również starała się ukryć lęk!

Stała oto przede mną i kłamała!

Krzyknęłam przestraszona, rzuciłam się do niej i wargami zamknęłam jej usta.

Kiedy mi się wyrwała, zawołałam:

- Nie mów nic więcej, Tabitho! Nie chcę już słyszeć ani słowa!

Wstrząsnął mną płacz, nie mogłam się opanować, drapałam ją i szlochałam niczym zbite dziecko.

Tabitha patrzyła na mnie przerażona, kiedy bełkocząc, próbowałam jej wytłumaczyć, że miałam straszny sen, i że kobieta, która została zamordowana, za-truła mnie, że Tabitha wyszła za mąż za potwora, bo wszystko, o co oskarżają Tatorca, jest prawdą.

- Ja też się boję, kochana siostrzyczko! Ale wiem, że prawda na pewno zwycięży: to kłamstwa, te wszystkie pomówienia, i zdradziecki Egipcjanin odpowie za fałszywe zeznania. Tatorc nie ma się czego obawiać! Nawet ojciec tej szalonej dziewczyny potwierdził wczoraj wieczorem jego niewinność wobec ojca Tatorca...

- A co z dzieckiem? Z dzieckiem, które, jak ludzie powiadają, nosi znak Tatorca...

Tabitha z uśmiechem pokręciła głową.

- To wszystko kłamstwa. Dziecko nie jest jego.

Wiedziałam, że ona w to wierzy.

Dlatego milczałam.

Po raz drugi.

Tabitha przymknęła oczy. Już nie widziałam własnego odbicia w tych głębokich studniach.

Drugi dzień wesela wypełniony był takim przepychem, że zdawało się, iż wszyscy zapomnieli o postępku Tatorca. Prześcieradło przyjęto z aprobatą, nowożeńcy mogli po raz pierwszy stać obok siebie i witać gości. Chodzili pośród tłumu, trzymając się za ręce, i dziękowali pokornie za dary - złote monety, ciężkie łańcuchy i inne kosztowności.

Potem usiedli, obwieszani łańcuchami, i patrzyli rozradowani na rozpoczynające się tańce.

Bębenki, tamburyny i lśniące instrumenty dęte pobudzały i kobiety, i mężczyzn, by wielbić i wychwalać Pana.

Syta wszelakich łakoci, oszołomiona tańcem i śmiechem wyobrażałam sobie w drodze powrotnej do Betlejem, że wszystko jest znowu dobrze.

Mama podczas podróży też się czasami przelotnie uśmiechała, a jej ręka spoczywająca na moim ramieniu była ciepła i spokojna. Twarz ojca zdawała się nieprzenikniona. Odzyskała jednak normalną barwę, a wielkim wsparciem dla niego musiał być fakt, że rabbin sam z siebie usiadł obok niego przy stole.

Aż do chwili, gdy wysiedliśmy z wozu przed bramą naszego domu, nie zwróciłam uwagi na drobną sylwetkę, skuloną w cieniu cyprysa.

- Och, nie - jęknęła mama.

Ojciec z wolna odwrócił głowę.

Sekundy zdawały się trwać wiecznie. Głęboko wciągnęłam powietrze. Spojrzałam uważniej. Zamrugałam, nie chciałam na to patrzeć, ale przerażenie i tak narastało w moim sercu. I zanim ktokolwiek zdołał się odezwać, zrozumiałam, że to, co uważaliśmy za straszny skandal, jest czymś o wiele gorszym.

- Wiedziałaś o tym, kobieto?

Głos ojca brzmiał jak rozbity metalowy garnek pod uderzeniem kamienia.

Matka bez słowa skinęła głową.

Ojciec westchnął.

Postać przy bramie uniosła ku nam błyszczącą twarz.

Padło na nią światło księżycy i wtedy ją rozpoznaliśmy. W tej samej sekundzie zrozumiałam, jak się to

wszystko łączy w całość. Jak Tabitha skazała swego ojca, swoją matkę, mnie i cały nasz dom na straszną hańbę.

A samą siebie - na śmierć.

Łatwo sobie to wszystko wyobrazić teraz, po czasie. Wiele wspomnień z wesela siostry zatarło się w mojej pamięci i nigdy nie przestanę się zastanawiać nad tym, co się właściwie stało tego drugiego, okropnego wieczoru.

Kto zabił dziecko?

Kto usunął dowód przestępstwa Tatorca wobec tamtej obcej kobiety?

Moje serce nie chce, nie może, nie ma prawa uwierzyć, że uczyniła to moja ukochana Tabitha!

5

Egipcjanin Mir przychodził jako sympatyczny wujek do domu mego ojca, kiedy byłem małą dziewczynką. Mogłam mieć sześć lub siedem lat, gdy przestał przychodzić, a my dostałyśmy surowy zakaz wymieniać kiedykolwiek jego imienia.

Później zrozumiałam dlaczego.

On, który miał honorowy dług wobec domu mej matki, razem z nią przyjął błogosławieństwo i tym samym mógł być przyjmowany w rodzinie prawowiernego Żyda. Nie mógł z nami jadać, rzecz jasna, ani dotykać naszych narzędzi, pucharów do wina, sprzętów w naszej kuchni. Ale mógł siedzieć z naszym ojcem i rozmawiać, niemal całe noce potrafili roztrząsać sprawy publiczne, mówić o prorokach, o zależnościach, jakie niektórzy dostrzegali między pogańskimi bóstwami a wielką katastrofą, jaką Rzym ściągnął na wybrany lud Pana.

Mój ojciec rozmawiał o władzach okupacyjnych jedynie z ludźmi, do których miał pełne zaufanie. Nienawidził Rzymian z całego serca, pokornie jednak schylał przed nimi plecy, uważał bowiem, że to próba, którą Pan zesłał na swój lud. Mój ojciec był całkowicie pewien, że jeśli tylko lud okaże Panu więcej pokory i zerwie z grzesznym życiem, to łaska Pana znowu spłynie na ziemię i zostanie ona uwolniona od rzymskiej przemocy.

Czy Mir kiedykolwiek zwierzał się ojcu, co on sądzi na ten temat, nie wiem. Pamiętam jednak wyraż-

nie łzy matki w tym dniu, kiedy dotarła do nas wiadomość: Mir przeszedł na służbę do samego namiestnika kraju żydowskiego. Miało to jakiś związek z wykupem posiadłości jego rodziny w Egipcie.

Później nie widziałam go aż do dnia, gdy odbywało się święto obrzezania syna jednego z mniej zorientowanych w Piśmie żydowskiego handlarza bydła.

Gdy tylko mój ojciec go zobaczył, natychmiast opuściliśmy dom i już nigdy nikt z nas się tam nie pojawił, chociaż ów synek dostał na imię Zachariasz.

Mój ojciec nie znał litości, kiedy w grę wchodzić mogło naruszenie Prawa lub jeśli coś nieczystego groziło pokaleniem jego rodziny, interesów lub jego samego.

Myślałam sobie, że gdyby to ojciec zobaczył jaszczurkę, wesele z pewnością zostałoby odwołane. I nie mniej niż doba mycia i czyszczenia musiałaby minąć, by ponownie przygotować jego córkę do ślubu. Spaliłby wszystkie ubrania, wszystkie maści, ba, nawet ową kosztowną szatę przeznaczoną na uroczystość, naczynia, słoiczki i nawet skórzane pojemniki, w których przechowywaliśmy perfumowaną wodę...

Wszystko z pokoju, w którym zjawiło się to nieczyste stworzenie...

Pamiętam, jak ojciec własnoręcznie wyrzucał miski, talerze, noże, obrusy za drzwi mlecznej kuchni, kiedy jakaś nierozgarnięta służąca pomyliła garnki do gotowania mięsa i mleka.

W tej kuchni przygotowywano posiłki z mleka i masła, podczas gdy wszystko, co pochodziło z jadalnych zwierząt, przyrządzano w drugiej kuchni. Przesłanie Pana w tej sprawie jest tak jasne, że mój ojciec dostawał mdłości, widząc cudzoziemców i pogan jedzących mięso i popijających posiłek mlekiem ze stojących obok mi-

sek. Cudzoziemcy i poganie zresztą jedzą też mięso świń i rozmaitych szkodników, a także zwierzęta, które zostały rozszarpane, a nie zaszlachtowane zgodnie z poleceniami, które Pan nam dokładnie przekazał w Piśmie.

Mój ojciec nigdy nie kupował wina na targu.

Patrzył łaskawie na wędrownych żebraków i ludzi biednych, chętnie dawał im jedzenie. Składał ofiary w świątyni, częściej i bogatsze, niż prawo mu nakazywało. I bardzo się starał, by postępować sprawiedliwie zarówno wobec swoich klientów, szyprów, przyjaciół, jak i służby. Każdego niewolnika uwalniał po siedmiu latach, a ci z nich, którzy nie chcieli opuścić naszego domu, mogli dalej u nas żyć, pracując z własnej woli jako służący.

I to oni właśnie mówili o moim ojcu, że jest wzorem i ozdobą ludu Pana.

Ale teraz, z oczyma utkwionymi w przestraszone oblicze służącej, przypominał, moim zdaniem, demona.

- Niewolnico! Na co tu czekasz przed moim domem?

I to matka udzieliła mu odpowiedzi, której się obawiał najbardziej. Dygotała, kiedy nasz wóz zbliżał się do stajni i potem, kiedy staliśmy, wpatrując się w kobietę trzymającą zwłoki dziecka.

Matka oddychała, jakby chciała stłumić gwałtowny szloch. Natomiast ja odczuwałam dziwny spokój. Stało się najgorsze. Smutek przepełnił mnie całą i czułam się niemal silna na myśl o tym, co miało nastąpić.

Kobieta, która tamtego wieczoru siedziała pod naszą bramą, była służącą Mira. Trzymała w rękach prześcieradło czy coś w tym rodzaju i teraz rozwinęła to przed naszymi oczyma.

Oczy martwego niemowlęcia były zamknięte, widziałam to wyraźnie w blasku księżyca.

- To wasza córka kierowała nożem - powiedziała kobieta.

Wiedziała, że mogłaby zostać zabita za taką zuchwałość, ale dość pewnym głosem wyrecytowała drugą wiadomość:

- Mir, mój pan, prosi, by dług wdzięczności wobec ciebie, pani Anafino, mógł zostać spłacony dzisiaj. Prosi on, by pani poszła ze mną do jego domu. Tabitha może zostać uratowana. Kapłani nie mogą skazać kogoś, kto nie podlega Prawu, on sam zaś dysponuje pieczęcią namiestnika kraju.

Przerwała na chwilę, by starannie na powrót zawiązać zwłoki dziecka.

- Panie, ty możesz zachować ten nieszczęsny dowód. Jeśli pozwolisz małżonce i córkom iść ze mną...

Mój ojciec ryknął w odpowiedzi.

Może się rzucił na tę kobietę, nie wiem, ale przed oczami naszych świętecznie ubranych służących i niewolników rozegrał się okropny spektakl. Zamieszanie trwało długo, a skończyło się na tym, że moja matka zamknęła się w pokoju, który nazywała swoim, w małym piwnicznym pomieszczeniu, gdzie ściany nieustannie były mokre.

Nie wiem, czy ojciec zabrał nieżywe dziecko, czy je zakopał, a może przepędził tamtą kobietę, nie brudząc sobie rąk dotykiem tego okropieństwa. Wiem tylko, że służąca wróciła do Mira z wiadomością, iż mój ojciec wolałby raczej widzieć całą swoją rodzinę martwą niż pod bezbożnym władaniem Egipcjanina.

Ja sama zostałam umieszczona w pokoju, w którym dzieliłyśmy życie z Tabithą. Siedziałam tam przez dziesięć dni. Kiedy ponownie zobaczyłam matkę, jej włosy były płowe, pozbawione życia i przypominały

szarobury placek. Oczy zapadły się głęboko i zmętniały, ale były absolutnie suche.

Skóra ojca sprawiała wrażenie bardzo napiętej. I zrobiła się żółta.

Dom pogrążony był w głębokim cierpieniu.

Ból hańby.

Moje marzenia ponownie zostały rozbite, byłam coraz bardziej ogłupiała i wytracona z równowagi. Czy to moja siostra własnymi rękami zamordowała dziecko? Czy naprawdę ona stoi za tą zbrodnią, jak to twierdziła niewolnica Mira? Czy też może ta cała sprawa to okropna intryga usnuta przez męża, który pragnął uratować własną skórę? A może to wszystko kłamstwo, groźne kłamstwo, które Mir i niewolnica wymyślili, by się zemścić na moim ojcu, który kiedyś odepchnął starego przyjaciela?

Nikt z nas tego nie wiedział, i nie dowiedzieliśmy się w ciągu najbliższych strasznych dni. Ale później poznaliśmy wszystkie wydarzenia, które musiały postawić na głowie całą Jerozolimę.

Na rozkaz Mira zrehabilitowano zamordowaną kobietę, zwrócono jej cześć. Powołano na świadka greckiego lekarza, który ją badał zaraz po wypadku, on zaś nie ukrywał, że obrażenia jednoznacznie wskazywały, iż została zgwałcona. Inny mężczyzna przysięgał i zapewniał o jej czci; był wujem dziewczyny i opowiadał, że do owego nieszczęsnego dnia, kiedy pozwolono jej iść przez pola do kuzynki, nigdy sama nie opuszczała domu. Być może wyglądała jak dojrzała kobieta, ale w głębi duszy była jeszcze dzieckiem, płakał wuj.

Mir przedstawił dokument, który dowodził, że dziecko pokazano Tatorcowi zaraz po urodzeniu, ale że on zdołał się porozumieć z Kaifą i został uwolniony od wszelkiej odpowiedzialności.

Takie haniebne potraktowanie własnej córki i wyparcie się wnuka sprawiło, że ludzie zaczęli uważać Kafię za potwora niegodnego litości ani Boga, ani ludzi.

I list, ten straszny list, który Tabitha jeszcze podczas uroczystości weselnych próbowała wysłać do jednego z najbardziej zatwardziałych pogan w mieście...

Nie poprawiło sytuacji, gdy list został przedłożony w całej swojej strasznej treści. Znajdowała się w nim ni mniej, ni więcej tylko obietnica, że ów diabelski pomiot dostanie niewiarygodny majątek, jeśli sprawi, by mały chłopczyk podążył tam, gdzie znalazła się już jego matka...

Służąca, która biegła z listem ulicami Jerozolimy, została zatrzymana, zanim dotarła do domu nieczystego.

Ale dziecko...

Dziecko zniknęło tej samej nocy.

A pod murami miasta ktoś znalazł zwęglone resztki noworodka w ogniu, który płonął tam nieustannie, w którym tliły się śmieci, nieczystości i pozostałości świń zabijanych przez pogan.

Moja siostra bezpośrednio ze ślubnego łoża została odesłana do świątyni. Tam wydano na nią wyrok. Ludzie szemrali, że kara jest zbyt wielka, istnieje przecież wiele przykładów, że zabójcy i morderczynie korzystali z łaski.

A Tabitha zamordowała jedynie wołą, to nie ona trzymała nóż w ręce! Co zatem z tym nieznanym, który wbił nóż w małe ciało następnego nocy po tym, jak miecz Tatorca przebił jego matkę? Czy to słuszne, że Tabitha musi odpokutować za wszystko? Czy kapłani nie mogli uznać sprawy za świeckie przestępstwo, które powinno zostać ocenione przez rzymskich sędziów?

Ludzie nie przestawali o tym rozprawiać, ale nie minęło siedem dni, a przysłała ważna wiadomość: wyrok został uznany przez cesarza! Niektórzy gadali, że to rodzeni ojcowie skazanych zabiegali o surową karę. Inni sądzili, że Egipcjanin Mir zbyt energicznie korzystał ze swoich kontaktów i w konsekwencji nikt już nie mógł uratować Tabithy.

Moja siostra miała rozstać się z życiem razem ze swoim oblubieńcem, on przez powieszenie, ona przez ukamienowanie. Obie nasze rodziny miały zapłacić karę i złożyć takie ofiary, że nie wiedziałam, skąd ojciec mógłby wziąć tyle pieniędzy i nie pograżyć nas na zawsze w długach. W środku całego zamieszania i bólu złapałam się na tym, że myślę o absolutnie nieważnych sprawach. Jakbym nie była w stanie spojrzeć w oczy tej jednej jedynej prawdzie, która miała jakiegokolwiek znaczenie: że mianowicie moja siostra ma umrzeć za siedem dni.

A ja mogłam była temu zapobiec. Zapobiegłabym, gdybym poszła do ojca z tajemnicą Zapphory tamtego wieczoru przed weselem.

On, oczywiście, także mógłby uratować jej życie. Mógł być pozwolić jej pójść do Egipcjanina, pozwolić wrogowi Mirowi zabrać ją jak najdalej od władzy sędziów ze świątyni. Ale cena tego byłaby wysoka: Tabitha została by i tak skazana zgodnie z prawem Pana, została by potępiona, a jej dusza na wieki cierpiałaby męki piekielne.

Rozumiałam ojca.

Zachariasz sto razy bardziej wolał widzieć swą upadłą córkę martwą, ukamienowaną, bo dzięki temu on mógł płacić karę i składać ofiary i może przez to uprosić Pana o łaskę dla swej nieszczęsnej rodziny.

Rozumiałam to, ja także nie potrafiłam znieść my-

śli, że dusza Tabithy zostanie potępiona i że Pan nigdy nie pozwoli nam się spotkać w niebie.

Ale chciałam też powstrzymać kamienie, wszelkimi środkami, za każdą cenę! Padłabym na kolana przed samym diabłem, gdyby to mogło uratować Tabithę przed jej strasznym losem!

A mama... mama nie mogła zrobić nic innego, jak tylko posłuchać.

Jej ciche jęki docierały do mnie tego dnia, kiedy zostałam zaprowadzona do łaźni i oczyszczona z potu, łez, krzyku i odoru bezsenności.

Ten dzień, kiedy miałyśmy towarzyszyć ojcu do miejsca, które nazywaliśmy otchłanią, pamiętam jako jeden błysk, jeden długotrwały, rozdzierający ból w sercu. Mimo to miałam wrażenie, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu, że to czyjaś siostra umiera w najokrutniejszy sposób.

Moja matka musiała korzystać z pomocy dwóch niewolników, by trzymać się prosto. Ojciec zaś stał niczym góra Ararat, bez ruchu, pogrążony w wiekuistym milczeniu. Ja nie byłam w stanie znieść nawet dotknięcia starego, dobrego niewolnika Eurasa na ramieniu.

Oczy wszystkich skierowane były na nas.

Mężczyźni otaczający kręgiem drobną postać Tabithy przypominali sępy w tych swoich szerokich, ciemnych płaszcach.

Kobiety, które stały za nimi z zakrytymi głowami i rękami, przypominały mi gołębice, kiedy powiązane w pęczki niesione są na ofiarę.

Śmiejące się dzieci, pijani jak świnie mężczyźni, którzy wykrzykiwali obelżywe wyzwiska, kiedy moją siostrę prowadzono po suchym piasku...

Pamiętam ich wszystkich, ale tylko jako jedno stugłowe przekleństwo.

Kamienie leżały na niewielkich kupkach, ktoś musiał je zebrać i poukładać.

Może te ubogie, przeklęte bachory, które śmiały się, krzyczały i biegały koło drzewa hańby, na którym ciało mojej siostry będzie wisieć od ukamienowania do zachodu słońca.

Z kręgu mężczyzn wysunął się nasz ojciec. Jak przez mgłę widziałam kołyszącą się brodę, kiedy szedł zdecydowanym krokiem ku swojej starszej córce.

Mężczyźni cofnęli się natychmiast, gdy tylko on sięgnął po duży kamień.

Oczy Tabithy...

Pragnęłam zapomnieć ten wzrok, to ostatnie spojrzenie, jakie posłała ojcu w ostatniej chwili życia.

Było bowiem pełne miłości i zrozumienia.

Na szczęście mój ojciec był silnym człowiekiem i mimo braku wprawy we władaniu oszczepem, mieczem i siekierą, rzucał bardzo celnie. Już pierwszym kamieniem trafił ją w skroń i Tabitha upadła zakrwawiona na ziemię. Zaraz też inni byli gotowi i zanim zdążyłam głębiej odetchnąć, grad kamieni małych i większych zmienił głowę mojej siostry w jedną krwawiącą masę.

- Nie cierpiała długo - mówiły kobiety otaczające naszą matkę.

Moim zdaniem, to okropne, że zdarli jej skórę z głowy razem z włosami, a potem spalili w tym wiecznie tłącym się ogniu pod murem, z którego śmierdziało tłącymi się ubraniami zadżumionych, samobójców i wszelkimi nieczystościami.

Płakałam, choć oczy miałam suche i wstydziłam się

swoich głupich myśli: że jej włosy są zbyt piękne, zbyt czyste, że ktoś powinien zgasić ogień i ponownie przy-mocować jej do głowy zakrwawiony skalp...

Wkrótce jednak zrozumiałam, że dzięki temu wykupione zostało ciało Tabithy. Będziemy mogli je zabrać i pochować w miejscu, gdzie nie będą po nim deptać nieczyste nogi.

Pojęłam, że w ten sposób mój ojciec chciał okazać szacunek matce. W jej kraju bowiem nawet ciało naj-nędźniejszego niewolnika traktuje się po śmierci z re-spektem. W jej kraju nigdy by córka bogatego kupca nie została skazana na śmierć za rozpaczliwy postępek dokonany z miłości...

W jej kraju ludzie mają prawo kochać i cieszyć się płodnością nawet poza ramami, jakie wyznacza małżeń-stwo. Nikt nie musi tam umierać za to, że dał życie!

W jej kraju...

Tam, gdzie każdego ranka bóg Słońca napełnia ma-rzeniami puchar...

6

Jedna z niewolnic razem z mamą i ze mną przygotowała ciało Tabithy do grobu. Nieszczęsna kobieta nie mogła powstrzymać łez, ręce jej drżały, bała się i przez cały czas mamrotała pacierze, błagając o oczyszczenie. Nigdy prawo Mojżeszowe nie wydawało mi się bardziej niesłuszne: dlaczego ciało mojej siostry musi po śmierci być traktowane jak tusza zaszlachtowanej świni?

Ale tak to było. Kiedy już ją przygotowałyśmy, wszystkie nasze ubrania musiały zostać spalone, nasze ciała znowu porządnie wymyte, a i tak pozostałyśmy nieczyste do następnego dnia.

Rzecz jasna, nie mogliśmy jej pochować na terenie naszej posiadłości, zostałyby bowiem skażona ziemia w ogrodach, a cały dom zhańbiony. Mimo to ojciec znalazł rozwiązanie. Prosty wózek, kiwając się po wybojach, wywiózł zwłoki poza miasto, poza wysuszone wzgórza, do miejsca, gdzie rósł samotny cyprys.

Była to ziemia niczyja, ale dla ojca specjalne miejsce.

Ja wciąż przeżykałam tę dławiącą mnie w gardle gulę i opłakiwałam moją siostrę bez łez. Opłakiwałam też los ojca, który stał pod drzewem z zamkniętą twarzą i odmawiał modlitwy. Mama po prostu cicho jęczała, jak okaleczona owca albo jeszcze Tc ę Tj-1.293 Tw1o1.833 Tw

ziemia... zastanawiałam się, czy Tabitha będzie tu leżeć na wieki i nie rozłoży się.

Potem wróciliśmy do domu.

Matka i ja spędziłyśmy tę noc razem i wtedy został we mnie rozpalony gniew. Upór i to wszystko, czego potem nie wiedziałam - czy żałować, czy też błogosławić. Jeszcze słyszę kroki ojca nad nami, tę jego nieustanną wędrówkę, kostur pasterski, którym stukał o podłogę za każdym razem, gdy musiał zawrócić.

Ojciec cierpiał, pogrążony był w żałobie, ale ja czułam, że mój upór narasta i wkrótce stanie się silniejszy niż jego spojrzenie, silniejszy nawet niż przesłanie Pana i jego święta sprawiedliwość.

To nie była sprawiedliwość!

Tabitha nie powinna leżeć w grobie!

Ona powinna być piękna i pełna życia, powinna leżeć w ramionach swego ukochanego! Nie ma najmniejszego sensu w tym, co się stało, żadnego wyjaśnienia, na którym mogłabym oprzeć myśli i odnaleźć spokój.

Mama siedziała na poduszkach w pustym poza tym pokoju i kiwała się wolno. Zamknęła oczy, a usta miała takie wyschnięte, że przy każdym drgnieniu ukazywały się głębokie rany.

Nie płakała już więcej.

Wydawała z siebie tylko ten cichy, bolesny dźwięk, którego nigdy później nie miałam zapomnieć. Siedziałyśmy tam całą noc. Najpierw próbowałam ją obejmować, przekonywać, że Pan z pewnością okaże naszej Tabicie łaskę, mimo jej grzesznych postępków. Że przecież ona nie winna temu, co się stało, że musiała być szalona albo chora z bólu, gdy widziała, jak jej ukochany sam siebie skazuje na śmierć, zabijając tamtą kobietę.

Mama jednak jakby nie przyjmowała moich słów do

wiadomości, kiwała się wciąż w swoim rytmie i nawet jej skóra zdawała się obca i daleka. W końcu osunęłam się ciężko na podłogę obok niej.

Czy miałam się modlić? Miałam błagać Pana o pomoc dla matki? Ojciec z pewnością by nas usłyszał i przyszedł tutaj, by kazać nam milczeć. Nikt nieczysty nie powinien wypowiadać tych modlitw!

Słyszałam mój własny, świszczący oddech, napełniłam płuca powietrzem i użyłam ostatnich sił, by uczynić głos czułym i stanowczym, gdy mówiłam:

- Jutro, kochana mamó, kiedy słońce wzejdzie, będziemy mogły stąd wyjść, i wtedy pomodlimy się razem, prawda? Wtedy będziemy też mogły płakać, nie sądzisz?

Potrząsnęłam nią, zdaje się, zbyt mocno.

- Czyż nie będzie dobrze móc zapłakać? Och, mamó, mamó, moja kochana, musimy próbować wierzyć, że Tabitha jest otoczona miłością, że znajduje się w niebie u Pana razem ze swoim ukochanym. A my nigdy nie przestaniemy składać ofiar i modlić się za jej grzechy.

Pozbawiona wyrazu twarz matki nie powstrzymała mnie.

- Uratujemy ich oboje, mamó! Nigdy nie skończą się nasze modły!

Wtedy mama się podniosła, sztywna niczym figurka pogańskiego bóstwa.

Podeszła do drzwi. Nie były, rzecz jasna, zamknięte na zamek, nikomu nie przyszyłoby do głowy wychodzić z tego pokoju przed końcem czasu oczyszczania. Mama jednak położyła rękę na grubym rzemieniu, który utrzymywał drzwi przy framudze, i otworzyła je. Mając ciemność nocy za plecami, odwróciła się do mnie i powiedziała kilka dziwnych słów:

- Gdybym miała odejść, pozwól mojej duszy wró-

cić do mnie, gdziekolwiek będę się znajdować. Pozwól mi mieć moją Ba, moją duszę, odzyskać moje wnętrze, pozwól, by moje prawdziwe modlitwy znajdowały się tam, gdzie będzie moja dusza.

Uśmiechnęła się. Na moment błysnęły mi jej wciąż bardzo białe zęby.

- I strzeż, Niebiański Strażniku, mej duszy wszędzie, gdzie będzie wędrować. Jeśli miałaby mnie opuścić, pozwól, by moja Ba odnalazła moje ciało...

Wiedziałam, co to znaczy, i na moich nagich ramionach pojawiła się gęsia skórka.

- Mamo... mammo... nie...

Uśmiechnęłam się raz jeszcze i teraz dostrzegłam wilgoć w jej oczach. Potem zamknęła cicho drzwi, żądając ode mnie milczącej obietnicy.

Rzuciłam się na miękkie poduszki i okrycia, przewróciłam puchar z winem, szukałam go, pełzając po podłodze, znalazłam tylko skorupy.

Kroki matki były takie lekkie, że słyszałam ledwie dwa czy trzy skrzypnięcia na żwirowanej alejce po tamtej stronie bielonych wapnem ścian. I noc znowu stała się cicha, pogrążona we śnie i we własnych szelestach. Ja jednak czuwałam, z minuty na minutę strach we mnie narastał, poznawałam go coraz lepiej, wiedziałam, co się teraz dzieje za tym nowym, obcym spojrzeniem mojej matki. Ona modliła się do swego dawnego boga. Do boga Słońca z kraju, który niegdyś przetrzymywał Żydów w niewoli. Do boga naszych wrogów, wrogów naszego Pana...

Odrzuciła od siebie możliwość zbawienia wiecznego.

Mir jakby na nią czekał, stał ubrany w prosty, luźny kaftan tego rodzaju, jakich używano nad zarośniętą trzcinną zatoką. Miękki materiał spływał spod szerokiego, wysadzanego drogimi kamieniami pasa; na nadgarstkach Mir nosił grube bransolety. Włosy zaczesane do tyłu, przewiązane prostą skórzaną opaską ozdobioną nad czołem wizerunkami ptaków.

Ostrożnie ujął jej rękę akurat w momencie, kiedy zdawało jej się, że zaraz upadnie po tym biegu ciemnymi ścieżkami nocy. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, szary niewolniczy płaszcz ukrywał żonę Zachariasza przed spojrzeciami ludzi, a przy domu Mira też nikt nie zapytał, o co chodzi, kiedy wemknęła się wejściem dla służby i sama odnalazła drogę do sypialni gospodarza.

Nie myślała o tym wszystkim, dopóki nie poczuła uścisku jego mocnych ramion.

Minęło już ponad piętnaście lat, kiedy po raz ostatni tak ją obejmował.

Teraz poczuła, że serce wolno się uspokaja, gdy on przyciska ją mocno do siebie. Czuła, że wszystkie te straszne, rozwichrzone myśli, które dopuszczała do siebie i które zdawały się wbijać w nią szpony podczas długiej wędrówki, teraz zostały odgonione niczym stado wrzaskliwych wron.

On ją prosił, żeby przyszła. Ofiarowywał jej ucieczkę. Ona nie chciała uciekać, ale dzisiejszej nocy tylko jedno mogło uratować jej Ba przed rozdzieleniem z ciałem: jego dawne opowieści o błogosławieństwie boga Słońca, jego głęboki, niski głos przy jej uchu, podczas gdy on będzie wolniutko kochał jej ciało i da jej duszy nowe oparcie.

Mir nie zapytał, dlaczego nie przyprowadziła do niego córek, kiedy jeszcze był czas. Nie zapytał też, po co

przyszła dzisiaj i dlatego Rebekeę zostawiła w domu.

Delikatnie zdjął z jej ramion ciemny wełniany płaszcz, w którym wciąż trwał zapach stajni i nawozu. Potem rozwiązał wstążki jej grubej koszuli, tej, która miała zostać spalona po wschodzie słońca, ponieważ dopiero wtedy ona mogła być uważana za czystą po tym, jak dotykała sponiewieranych członków, o których nadal myślała jako o swojej córce.

Na moment przytknął policzek do materiału, wciągał jego zapach z zamkniętymi oczyma. Potem wsunął palce w jej włosy, przeczesał je, okrył nimi ramiona, na których przedtem spoczywał płaszcz. Włosy ledwo przesłaniały złocistą skórę na piersi. Ona zrzuciła z nóg sandały, także należące do niewolnicy, zniszczone i pozbawione jakiegokolwiek wartości.

- Chodź - powiedział cicho. - Powinnaś coś zjeść.

Prosty kawałek cienkiego płótna okrywał jej ciało, on odpiął swój piękny pas i zamocował go na jej biodrach. Spoczywał tam, przypominając jego dłonie obejmujące ją wiele lat temu...

Przy stoliku z marmuru i emaliowanej mozaiki Mir ustawił dwa krzesła z miękkimi poduszkami. Nie przy dwóch końcach, naprzeciwko, lecz obok, blisko siebie.

Ona położyła rękę na jego plecach, zwróciła ku niemu twarz. Lampka oliwna płonęła ledwie widocznym płomykiem, owady tańczyły w kręgu światła, niebezpiecznie blisko.

I on zaczął ją karmić kruchym, nasyconym masłem mięsem kurczęcia, przyprawionym szafranem i pieprzem; ona najpierw zawahała się na moment, potem jednak otworzyła usta i pozwoliła sobie wsunąć kęs.

Mir mył jej ręce, jeden palec po drugim, a kiedy raz spróbowała jedzenia z zapomnianych czasów, jakby

coś w niej wybuchło, sama zanurzała ręce w półmisku i wybierała smakowite kawałki, jeszcze i jeszcze...

Piła wino, którego żaden Żyd nawet by nie tknął.

Jadła potrawy, w których mieszano mięso cielęcą z krowim mlekiem.

Jedząc, patrzyła mu z uporem w oczy. On się uśmiechał, jego twarz była niczym maska sfinksa.

- Moja biedna, biedna Anafina... moja kochana A...

Pochyliła kark i pozwoliła, by jego łagodny oddech pieścił jej serce.

Wzięła owoc daktyla z tacy, zmiażdżyła go między wargami i dała Mirowi do zjedzenia.

On jęknął, widać było, że cierpi, czuła, że jego skóra płonie.

- Boże, o Boże, dlaczego te wszystkie lata... na Boga, cóż to za straszliwą nauzkę mi dałaś?

- Dzisiejszej nocy modliłam się do Ozyrysa - szepnęła w odpowiedzi.

Skinął głową, zdołał opanować strach.

- Czytałam z *Księgi umarłych*... stare pisma i modlitwy. Wiesz, Mir, ja tego nigdy nie zapomniałam.

On się uśmiechnął, niemal z dumą, ale w jego oczach był tylko smutek.

- Ja wiem, Anafino, córko królestwa Słońca. Ty nigdy byś nie mogła zapomnieć. Ja sam też nigdy, nigdy nie zapomniałem! Żałowałem, moja dusza się zmieniła, to ja skazałem cię na to wszystko...

- Nie, nie, nie. Ty mnie uratowałaś. Moje życie. Miłość... byłam taka młoda, niczego się nie bałam, ty zresztą także, mój kochany. Bez ciebie może byłby mi oszczędzony ten ból. Bo bez ciebie pewnie bym nie miała żadnych córek, nikogo, kogo można utracić... czy to jest lepsze?

Nie odpowiedział od razu. Pocałował ją tylko znowu i wpatrywał się w jej na wpół zamknięte oczy.

- Czy ty mi kiedyś wybaczysz?

Oparła głowę na jego ramieniu.

- Dałeś mi wolność, Mir. Dałeś mi Zachariasza, nową ojczyznę, rodzinę, wszelkie bogactwo, o jakim tylko niewolnica może marzyć... nigdy mnie nie proś o wybaczenie.

- Nawet po tej wielkiej stracie nie będziesz do mnie żywiła nienawiści?

Uniosła twarz i patrzyła na niego.

- Strata jest równie wielka dla ciebie, mój kochany. A ja wiem, że nie chciałeś, żeby taki los spotkał moją Tabithę. Ja wiem... co próbowałaś zrobić...

Przytulił ją mocno, bardzo mocno, kieliszki się poprzewracały, wino spływało na jej białą szatę niczym krew świeżo zabitej gołębiczy.

Zakręciło jej się w głowie, utraciła siły z powodu wielu nieprzespanych nocy, płaczu, tych nieznośnie długich dni po ślubie Tabithy. Miała wrażenie, że wszystkie jej życiowe zmartwienia przemieniały się w czarne nacieki na jej sercu, wielkie i bolesne, i teraz te nacieki łączą się, zlewają w jedno, otaczają serce grubym pancierzem.

Stwierdziła, że on ją podnosi, że niesie gdzieś, a po chwili kładzie na chłodnych, pokrytych jedwabiem poduszkach.

Że poplamiony winem materiał lepi się do ud i brzucha i że skóra w tych miejscach marznie.

Jego dłonie spoczęły na jej policzkach, po chwili gładziły wrażliwe miejsca za uszami, masowały leciutko, a ona miała wrażenie, że słowa, które prawie już zapomniała, spływają na nią, układają się na tym pancierzu, którym się otoczyła i którego nikt nie był w stanie jej pozbawić.

- O, moja jedyna... A. Gdybym tak mógł oddać swoje życie zamiast niej. Gdybym mógł odwrócić czas...

Z jej gardła wyrwał się szloch, głąskała jego policzki wilgotnymi od łez palcami.

- Tylko nie proś mnie o wybaczenie! Ty, który dałeś mi wszystko. Ty, który utraciłeś więcej niż ja.

Zamknął wargami jej usta.

- Ty, moja piękna, gdybyś tylko pozwoliła mi zabrać cię z powrotem... Nil wkrótce wyleje. Nil mógłby zmyć to wszystko z ciebie... z nas!

Chciała potrząsnąć głową, ale on trzymał ją nadal mocno.

Wtedy jakby się życie ocknęło w jej lędźwiach, przycisnęła do niego uda, przyciągnęła go do siebie, wbiła ostre paznokcie w skórę pod kaftanem, odnalazła małą bliznę na plecach, tę, którą wyczuwała palcami w najpiękniejszych chwilach swego życia.

Poczuła, że on na nią czekał przez te wszystkie lata i że ten długi okres nabrzmiewał w nim niczym wrzód. Ledwo go dotknęła, a wrzód jakby pękł i Mir wydał krótki krzyk.

Zagryzła wargi, uwolniła głowę z jego uścisku, przywarła do tej ciepłej, słonej wilgoci, która teraz łączyła ich ciała.

Powoli, pełna czułości, zdjęła z siebie ubranie.

Podążyła mu ustami, jego świszczący oddech przeszedł w jęk, pograżył się w uczuciach, których nie potrafiłby nazwać.

- Trzymaj mnie mocno - szeptała. - Nie puszczaj!

A on płakał, może z rozczarowania, a może z beznadziejnego, męskiego wstydu.

A może z żalu, pomyślała. Albo dlatego, że się ztracił. Szeptała do niego dawne pieszczotliwe słowa z rodza-

ju tych, które można wymawiać jedynie w ojczystym języku. Kiedy się już uspokoił, obejmował ją czule, a ona wiedziała, że zaraz, za chwilę, da jej to, po co tu przyszła.

Kiedy mama znowu poruszyła skórzanymi zawiasami, zamrugałam na widok szaroróżowego światła, które wpuściła do izby. Stwierdziłam, że do wschodu słońca jest jeszcze bardzo daleko, ale już wystarczająco jasno, bym natychmiast zwróciła uwagę na jej nową twarz.

Położyła się ostrożnie przy mnie i pocałowała mnie w policzek.

Nie miałam odwagi pytać, nie miałam odwagi myśleć, czułam tylko bezgraniczną ulgę z tego powodu, że jej niewybaczalny postępek nie został odkryty.

Mama oparła ciężkie ramię na moich plecach i wydała z siebie westchnienie, w którym wyczuwało się ulgę.

- Śpij, córeczko. Niedługo ranek. Ale ty śpij, obudzę cię na czas.

Przytuliłam się do niej. To rozkoszne uczucie. I nagle przeraziła mnie cisza w pokoju nad nami. Kroki ojca umilkły na chwilę przed jej powrotem.

Oddech matki prawie natychmiast stał się miarowy i spokojny.

To ja musiałam ją budzić, kiedy nadszedł czas ceremonii ofiarnej i modlitw, które w końcu miały nas uwolnić od nieczystości, zakończyć dni i noce w niej przeżyte.

Znowu mogłyśmy jadać razem z ojcem, kulić się pod jego spojrzeniami w czymś w rodzaju nierzeczywistej codzienności.

Nosiłyśmy wszystkie oznaki żałoby, ale poza ścianami tego pokoju nie miałyśmy prawa jej okazywać.

Tabitha nie żyje, nie ma jej. Wszystko, co po niej zostało w pamięci ludzi, to wstyd.

Kiedy jednak minął pierwszy dzień, a nikt z sąsiadów do nas nie zaszedł, zrozumieliśmy, że nic już nie będzie takie jak przedtem.

W porze obiadu przyszedł Sul, najstarszy z niewolników pracujących w stajni, żeby prosić o wolność. Ojciec natychmiast polecił, by przygotowano dwie owce, odpowiednią ilość ziarna oraz osła. W ten sposób wypełniał prawo. Takie to było dla niego proste.

Wieczorem zgłosiło się dwóch innych niewolników, którzy służyli u nas po siedem lat albo i więcej.

Ojciec uwolnił wszystkich, wyposażył ich w te same dary i modlił się za nich. Dał im zaświadczenia na piśmie, potwierdzające, że są wolnymi ludźmi i pełnoprawnymi Żydami.

Nocą słyszałam jego skargi.

Ale w pokoju mamy panowała absolutna cisza.

W ten to sposób dom powoli zamierał, a tymczasem znowu zbliżał się szabas. Jak ja sama przeżyłam te puste dni, nie pamiętam, ale z pewnością znajdowałam jakąś pociechę, napełniając razem ze służącymi koszyki grochem, oraz w tym, że ubrana w zniszczoną suknię myłam i czyściłam podłogę, ściany i sufit w naszym dawnym pokoju.

W skrzyni mojej siostry znalazłam mole.

Jej ubrania już teraz pachniały zapomnieniem.

Ale pod ścianą leżała używana nocna koszula. Znalazłam ją ukrytą w niszy, w której niegdyś znajdowało się lustro, w czasach kiedy pokój był przebieralnią mamy.

Kiedy czas już był wznosić w niebo szabasowe modlitwy, zobaczyłam, że ojciec kazał przygotować wóz do drogi. Mieliśmy jak zwykle pojechać do miasta, by tam uczestniczyć w modlitwach. Wyprawa zabierała tyle czasu, że zwykle wyruszaliśmy zaraz po południu,

teraz jednak było już późno, dotrzemy do miasta po ciemku, ale przecież modlitwy trwają do późna w noc.

Nie byłam zaskoczona, kiedy przybyliśmy do domu Artema, a żadne drzwi nie zostały otwarte. Dostrzegłam w twarzy ojca jakby nową falę żalu, ale nic poza tym. Poprosił służącego, który wyszedł do nas z krótką informacją, by przekazał gospodarzom pozdrowienia i życzenia łaski Pana dla tego domu.

Odmówić przyjęcia komuś, kto potrzebuje dachu nad głową, to oznacza zachować się po pogańsku. Zamknięcie drzwi w szabas przed dobrze sytuowanym kupcem i jego rodziną było więcej niż nieuprzejmością. A wysłać służącego, by odtrącić przyjaciela, to czysta zgroza.

Ojciec kazał wozom jechać dalej, mijaliśmy wykładane kamieniami ulice Jerozolimy, by dostać się do gospody, do której mieli wstęp jedynie należący do narodu wybranego. Ale kobieta, która przygotowywała tam jedzenie, wysłała swego najstarszego syna, by powiedział nam, że nie spodziewali się tak znakomitych gości, jak rodzina bogatego kupca, i nie będą mogli spełnić naszych niewątpliwie wysokich wymagań co do jakości i ilości jedzenia w szabasowy wieczór.

Staliśmy więc tam, pośrodku bieganiny, widzieliśmy, jak nierządnice i poganie wchodzą do małych, nieczystych domów, do których wejść może każdy, kto zechce.

Nie byłam głodna, chciało mi się tylko pić, wiedziałam jednak, że tej nocy nikt z naszych dawnych przyjaciół nie poda nam kubka wina.

Wyglądało na to, że ojciec też to w końcu zrozumiał. Zostawił powóz koło wynajmowanych stajni i rzucił pracującym tam chłopcom jakąś monetę. Potem ruszył w stronę świątyni, nie mówiąc ani słowem, co my miałybyśmy robić podczas jego nieobecności.

Mama siedziała w powozie, wkrótce nocny wiatr stał się chłodniejszy.

Ja także siedziałam.

Czekałyśmy.

Szabasowa noc jest bardzo długa.

Wtedy to ojciec po raz ostatni zabrał nas do Jerozolimy. Codziennie sam wyruszał do miasta, jeździł na najlepszym koniu, jedynym z pięknych wierzchowców, jakiego Rzymianie nam zostawili podczas ostatnich poborów.

Każdego dnia ojciec wracał, odrobinę wyżej unosząc głowę, a ja każdego wieczoru odnosiłam wrażenie, że kurczy się coraz bardziej, jakby się w siebie zapadał, aż po dwóch miesiącach skóra wisiała na nim niczym pusty worek.

W tym czasie obchodziliśmy Święto Paschy i pościliśmy jak zwykle. Kolejnych dwóch niewolników nas opuściło, zniknęły też złote tace z pokoju modlitw.

Nie docierały do nas nowiny, bo żadne sąsiadki już do naszego domu nie zachodziły.

Od brudnych dzieciaków z domu poganiacza osłów dowiadywałam się jakichś okruczeństw zdarzeń, wynikało z tego, że świat zmierza ku upadkowi. Wielkie przekleństwo spadło na lud i wybrani przez Boga drżą. Herod zarządził nowe oczyszczanie, tym razem dla złamania nieposłuszeństwa żydowskiego narodu. Co dziesiąty mężczyzna miał zostać zabity. Takie kary stosuje się w cesarskim wojsku, kiedy dywizja zdezerteruje lub wzniesi bunt...

Niektórzy powiadali, że to nowa kara Pana na niewierny lud, że spada ona dlatego, gdyż ofiary w ostatnich latach na świątynie nie były wystarczająco duże.

Inni mówili znowu, że to Herod obawia się buntu

i w ten sposób chce skierować myśli ludzi na inne sprawy.

Moim zdaniem to wszystko były bezsensowne historie dla straszenia ludzi, takie jak te, które matki opowiadają o pustynnych potworach swoim nieposłusznym dzieciom.

Zwróciłam jednak uwagę, że na drodze coraz częściej można widzieć rzymskich żołnierzy, idących dwójkami, na ogół dwie dwójki, nigdy więcej. Uzbrojeni w miecze, na głowach nosili hełmy błyszczące na tle pięknego krajobrazu jak zapowiedź nieszczęścia.

Widywano ich też w większych oddziałach na drodze między Jerozolimą a Hebronem, nieco dalej na południe, w Judei. Roili się tam niczym szkodniki nawet w najbardziej jałowych okolicach, ludzie mówili, że czegoś szukają.

Nie zastanawiałam się nad tym wiele, w każdym razie nie w tamtym czasie. Ale pewnego ranka zobaczyłam maszerujący oddział, a w człowieku, który jechał konno na jego czele, rozpoznałam Mira. Tego, który bywał gościem w naszym domu.

On mnie nie widział, ale ja śledziłam go wzrokiem, kiedy mnie mijał na koniu, a tuzin żołnierzy podążał za nim. Słyszałam, że zatrzymali się na naszym małym rynku. Ale odległość i drzewa oddzieliły mnie wówczas od tego, co zostało tam ogłoszone.

7

Noce bez Tabithy były niczym nie kończące się wędrówki po pustkowiach. Bez światła, bez towarzystwa. Bez tego ogrzewającego płaszcza, jakim była - teraz to pojęłam - jej miłość do mnie. To jedyna moja siostra. Ani jedna myśl w mojej głowie nie powstała samotnie, ona dzieliła ze mną wszystko! Ona się mną opiekowała w czasach, kiedy byłam małym dzieckiem, bo gdy ja się urodziłam, ona miała już osiem lat.

Kiedy moje ciało zaczęło się zmieniać, ona była dojrzalą kobietą. No i na koniec: ja byłam jeszcze nietkniętą dziewicą, a ona posmakowała już tej tajemnicy, którą ja mogłam poznać tylko za jej pośrednictwem. Pożądanie mężczyzny i dary, jakie on może dać kobiecie. Poprzez nią poznałam ich smak. I to przez nią dojrzewała moja własna tęsknota!

No a teraz jej nie ma!

I choć noce bez siostry były puste i pozbawione treści, to w snach zaczął do mnie przychodzić jej ukochany, by parzyć moje ciało językami ognia.

Tak, myślałam, że to Tatorc, sądzą, że właśnie jego twarz miał ten mężczyzna. Często budziłam się złana potem i zrozpaczona, ale z dziwnym uczuciem sytości w ciele. Miałam wrażenie, że piersi mi się powiększają, a gdzieś we wnętrzu mojej istoty znajdowały się żarłoczne usta, które nigdy nie miały dosyć.

Gdybym mogła o tym rozmawiać z matką, otrzy-

małabym pewnie rozsądną odpowiedź. Ona jednak z każdym dniem stawała się mniejsza i bledsza. Bałam się, że w końcu zniknie, rozplynie się w powietrzu. Tak, była na najlepszej drodze, by stać się niewidoczna. Przy posiłkach odpowiadała tylko na bezpośrednie pytania ojca. Jadła mało, popijała jedynie wodę z miodem, którą zawsze wolała od koziego mleka czy przyprawianego goździkami bulionu.

Widziałam, że ojciec jest zmartwiony.

Zauważyłam, że jego wyprawy do Jerozolimy są coraz częstsze. W jakiś czas później przestał też wracać do domu na noc i dlatego nic nie wiedział o dziwnych nocnych ceremoniach matki w głębi ogrodu, pod gęstymi drzewami.

Nie mam pojęcia, ile tygodni to trwało, ile razy odmienił się księżyc, wciąż trudno mi przypomnieć sobie coś więcej niż tylko oderwane fragmenty wydarzeń w tym ponurym czasie.

Dobrze jednak pamiętam noc, kiedy odkryłam, co matka czyni, nagle zobaczyłam ją w blasku księżyca, kompletnie nagą, tylko w wysadzanej kamieniami obręczy na głowie. Tej, którą Tabitha nosiła w dniu wesela, a potem myślałam, że oddano ją do świątyni na ofiarę razem z tyloma innymi kosztownościami.

Najwyraźniej matka się nią zajęła, prawdopodobnie ukryła ją gdzieś.

Klejnot mienił się w mdłym, niebieskawym świetle, promieniał niezwykłym blaskiem pośród zimnej nocy.

Ciało mojej matki było piękne, drobne piersi nigdy nie nabrały macierzyńskiego wyglądu, nie stały się ciężkie i obwisłe jak u większości kobiet.

Wyglądała bardzo młodo.

Ale nie tylko to.

Mama wyglądała jak zmartwychwstała Tabitha!

Chciałam podbiec, okryć ją kocem, zmusić, by weszła do domu, zanim ktoś spostrzeże, co się dzieje. Ale stałam jak wryta. Z trudem przełykałam ślinę i starałam się przekonać sama siebie, że to nie jest Tabitha.

Serce nie chciało przyjąć tego do wiadomości.

Stałam ukryta za grubym pniem drzewa i patrzyłam przez łązy na niezwykle spektakl.

To nie jest Tabitha, powtarzało moje serce.

To nasza matka, ta kobieta, która się pochyla nad stawem i polewa nagie ciało wodą, to matka. Szeptła modlitwy, smarowała się jakimś mazidłem z małego słoiczka. Rozpuściła długie włosy, spływały jej ciężką falą na ramiona i plecy. Światło księżyca ujawniało ich matowość i srebrne pasma, ale choć utraciły dawną barwę, wciąż były piękne.

Kości biodrowe rzucały głębokie cienie na skórę, a kiedy unosiła wysoko ręce, mogłabym policzyć zebra.

Była bardzo chudą boginką, wyschłą odnogą Nilu.

Słyszałam dźwięk jej słów, ale niewiele rozpoznałam.

Wiedziałam jedynie, że modli się do Izydy i Ozyrysa i że przesyła swoje prośby do tego magicznego naczynia, w którym zbierane są wszystkie sny i marzenia.

Do tego, które ona nazywa pucharem boga Słońca.

Widok matki mnie przerażał, a zarazem dawał nieoczekiwaną ulgę.

Nie była szalona. Nawet w blasku księżyca widać było, że nie jest.

Kiedy zbliżała się następna pełnia, nasz dom był zamknięty na głucho. Nikt już nas nie odwiedzał. Rzeźnik odmówił sprzedawania nam mięsa do domowego

użytku i ojciec sam musiał się tym zajmować, zabijając zwierzęta według dokładnie podanego przepisu. Jego zdolności w tym względzie były niemal przerażająco wielkie. Nie tylko mógł się równać z najlepszymi, kiedy jednym machnięciem noża przecinał gardło zwierzęcia. Nie tylko patrzyłam, jak zręcznie zbiera krew, lecz z podziwem śledziłam jego ruchy, gdy przytrzymywał zwierzę podczas tego ważnego procesu. Płukanie i solenie mięsa, by oczyścić je z resztek krwi, świadczyły, że mój ojciec przygotowuje jedzenie znacznie czystsze niż większość mężczyzn.

Woda pozostawała prawie niezabrudzona. Mięso było świętsze niż to, które otrzymywaliśmy dotychczas od rzeźnika.

I modlitwy... Pozostały te same, tylko może bardziej szczere, ponieważ mój ojciec znał większość swoich zwierząt po imieniu.

Tak więc jedzenie mieliśmy. Nikt nie głodował. Coraz rzadziej tylko na naszym stole pojawiały się świeże ryby, bo stary robotnik najemny Hirras zniknął nagle i nawet należnej zapłaty nie odebrał. To on miał zwyczaj wypływać od czasu do czasu na rzekę, gdzie lśniące ryby pozwalały się wyciągać wielką siecią na łąd.

Ze wszystkich wynajmowanych robotników pozostał tylko jeden. Po tym jak dwóch naszych niewolników, którzy odpracowali swoje, poprosiło, by pozwolono im wyjechać, ojciec pozostawił taki sam wybór pozostałym pięciu, jakich jeszcze posiadał. Trzej z nich wyjechali. Zostało dwóch.

Pewna starsza wdowa, która dbała o porządek w domu, zniknęła bez słowa. Człowiek, który pasał nasze owce, przyszedł powiedzieć, że, niestety, dłużej nie

może tego robić. Ojciec wynajął do tej pracy jednego z chłopców garbarza.

Wkrótce wyprowadziła się rodzina, która mieszkała na terenie naszej posiadłości, i z tego powodu opóźniły się zbiory oliwek. Moglibyśmy zebrać resztę plonów, w każdym razie na początku. Myślę jednak, że ojciec przeczuwał, iż kiedy nadejdzie czas kolejnych siewów, to nasze urodzajne pola i ogrody będą leżeć odłogiem. Grządki mojej matki z ziołami już leżały wyschłe i zaniedbane, choć można było jeszcze rozróżnić a to pachnącą miętę, a to kapary, anyż albo czosnek, jeśli się stało dość blisko.

To dręczyło ojca może jeszcze bardziej niż odwrócenie się od nas sąsiadów i przyjaciół.

Jego rodzina mieszkała daleko stąd, w Galilei, a mama nie miała przecież nikogo. Byliśmy sami, mieliśmy tylko siebie i to była wielka zmiana dla Zachariasza, który dotychczas był znanym kupcem i w każdy piątkowy ranek zapraszał do domu gromady znajomych, przyjaciół i współników w interesach.

A wszystko z powodu hańby Tabithy.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, czy on jej za to nienawidzi, czy tylko jej żałuje.

Coraz bardziej nieobecne oczy matki chyba nie czyniły mu żadnych wymówek. Ale czy rozumiał, co ja czuję? Czy się domyślał, że w głębi duszy uważam go za zabójcę Tabithy?

Czy wiedział, że w pełne rozpaczny noce mogłabym go bić, mordować, ranić tymi wszystkimi słowami, których nie wolno mi było wypowiadać w dzień?

Wierzyłam, że upływ czasu odmieni ból, złagodzi nienawiść. Że po święcie jesiennym wszystko będzie lepiej, że znowu będziemy mogli razem śpiewać. Że

szabasy znowu staną się rodzinnymi chwilami odpoczynku, gdy wszyscy razem z przyjaciółmi będziemy się zbierać, by wspólnie słać dobrego Pana.

Tak się jednak nie stało, bo kiedy minęły cztery miesiące od śmierci Tabithy, doszło do jeszcze jednego okropieństwa. Mój ojciec odkrył pogańskie ceremonie matki odprawiane nad sadzawką w ogrodzie.

Jak zwykle stałam ukryta za gęstymi drzewami i przyglądałam się jej. Wszystko wydawało mi się piękne jak zawsze, a noc była wyjątkowo ciepła. Mama powinna marznąć, powinna drżeć w strumieniu chłodnego powietrza z doliny, ale tej nocy jej ciało było chyba mniej napięte niż zwykle. Zrobiła się ostatnio jakby okrąglejsza, co dodawało jej urody. Włosy bardziej błyszczały, być może natarła je mieszanką oliwy, wosku i soku eukaliptusowego...?

Jej śpiew był tej nocy wyjątkowo głośny. Modlitwy niosły się wyraźne ponad zagajnikiem aż do domu.

Być może ojciec wrócił wcześniej czy też bardziej nieoczekiwanie? Może nawet widział, jak mama opuszcza swoje pokoje?

Zobaczyłam go, jak wychodzi z zarośli i pewnymi, długimi krokami zbliża się do sadzawki. Ojciec nie stał jak ja w ukryciu, wyszedł z cienia, znalazł się w kręgu mdłego światła nad sadzawką, po wewnętrznej stronie krzewów i pnączy, które jak ściana otaczały sadzawkę, ławki, mamę.

Potem stanął tuż za plecami mamy, może jakieś cztery, pięć kroków od niej. Z pewnością wyczuwał teraz jej zapach, jeśli się nie myliłam co do olejku eukaliptusowego.

Ona jednak go nie zauważała. Dalej nuciła, dalej układała kwiaty, zgarniała na kupki czerwoną ziemię, ustawiała naczynia ze świętą wodą na małym ołtarzy-

ku. Malowała na swoim ciele piękne wzory, nie wiem, henną czy sadzą, czy może ciemną gliną, wszystko miało jakąś szaroburą barwę na jej jasnej skórze w te rozświetlone blaskiem księżycy noce.

Ojciec czekał.

Czułam, że kolana się pode mną uginają, nie byłam w stanie oddychać. Miałam w głowie tylko jedną myśl: on ją teraz zabije!

Teraz sięgnie po kamień i...

Ale Zachariasz tego nie zrobił.

Po prostu czekał. Mama nie dostrzegła go aż do zakończenia ceremonii, gdy drżąca położyła się na ziemi z błogosławieństwem Izydy na wargach.

Wtedy on podszedł i odezwał się do niej po imieniu.

Mama otworzyła oczy, spojrzała na ojca. Czy mi się zdawało, czy naprawdę westchnęła? Nie wiem, byłam za daleko. Ale ja jęknęłam, głośno, przerażona, nie przejmowałam się już, że ojciec mnie też zauważył.

Chwycił mamę za rękę, która jednak była wiotka, jak martwa. Wtedy on zdjął z siebie piękny burnus i otulił nim mamę. Sam stał w szerokich spodniach i koszuli, po chwili podniósł mamę i przytulił.

Potem ruszył z nią przed siebie.

Niósł ją prosto do domu.

Ja ostrożnie podeszłam do kamiennej płyty i zebrałam jej rzeczy. Jedną po drugiej wrzucałam do sadzawki, w której też księżyc zdawał się tonąć. Świecił mi teraz prosto w oczy, to znaczy jego odbicie w wodzie, żółty blask mienił się mętnie, kładł się nad wodą, która ukryła twarz księżycy.

Dygotałam z zimna, ale nie miałam innego wyjścia. Wróciłam jednak do domu na czas, by jeszcze usłyszeć krzyki ojca.

Stał na otwartym dachu, a jego krzyk był straszny. Nawet nie przypuszczałam, że on może mieć w płucach aż tyle powietrza, nigdy przedtem nie zachowywał się gwałtownie. Jeśli wołał, to jego głos był doniosły. Jeśli wzywał Boga głośnymi modlitwami, to w uszach słuchaczy jego słowa brzmiały silnie i władczo.

Teraz jednak wrzeszczał. Ryczał!

A jego żalosna pieśń należała do starych, dobrze znanych.

Tej nocy zostało użyte każde słowo, mój ojciec bowiem stracił wszelką nadzieję i po raz pierwszy złorzeczył swemu losowi.

Oskarżał swego Pana.

Było mi go żal.

Kiedy jednak usłyszałam, co postanowił w związku z mamą, nie mogłam już odczuwać do niego niczego poza złością, może nawet nienawiścią...

Moja mama została zamknięta w nieczystych pokojach.

Nie miała stamtąd już nigdy wyjść.

Wyjaśnił mi to z pełnym żalu spokojem i suchymi oczyma. Słuchałam go i wiedziałam, że nigdy nie potrafię przełamać jego władzy.

- Twoją matkę opuścił rozsądek. Jej dusza znalazła się we władaniu ciemnych mocy. Jej ciało zostało zbrukane, a dusza rozszarpana przez diabelskie szpony. Stała się teraz groźną bronią Lucyfera, bronią skierowaną przeciwko naszemu Panu i przeciwko nam. Musimy się bronić. Ja muszę bronić was, którzy jeszcze mieszkacie w tym domu, i dbać, by ona nikogo nie skrzywdziła.

Potem westchnął, przeczesał palcami brodę.

- Rebeko, moja jedyna... ty jesteś wszystkim, co mi

jeszcze zostało jako znak od Pana, że mnie całkiem nie odepchnął. Ty, moja mała, ty, przy tobie mogę jeszcze żyć, wstawać każdego ranka i niczym Hiob przyjmować czekające mnie próby w zaufaniu do Pana.

Nie odpowiedziałam ani słowem.

Hiob utracił przecież wszystkie dzieci.

Nie trzeba być uczonym w piśmie, żeby to wiedzieć.

Ojciec wstał i powiedział mi, jakie będzie teraz moje życie.

Zostanę wydana za mąż tak szybko jak to możliwe, bo trzeba ratować ten dom. Ojciec już wysłał listy do wszystkich swoich współników w interesach w miasteczkach wzdłuż całego wybrzeża. Tam bowiem plotki na temat Tabithy może się jeszcze zanadto nie rozprzestrzeniły. Tam mieszkają przyjaciele, którzy wciąż jeszcze poczytają sobie za zaszczyt, jeśli ich syn lub brat będzie się mógł połączyć z młodszą córką Zachariasza. Poza tym ojciec znał zamożnego pisarza w Nikozji i gdyby była taka potrzeba, wyśle mnie nawet tak daleko.

- Zaopiekuję się tobą, uwolnię cię od tego domu żałoby. Uratuję twoją duszę, nie będziesz musiała oglądać ostatecznego upadku swojej matki.

Słuchałam sztywna i blada.

Wszystko we mnie wyło z przerażenia.

Nie!!! Ja chcę zostać przy mamie, tu gdzie spoczywa Tabitha...

Ale przecież nie mogłam mu tego powiedzieć. Nie mogłam wykrztusić ani słowa. Pochyliłam tylko głowę i próbowałam powstrzymać łzy. Dłoń mego ojca gładziła mnie ostrożnie po głowie.

- Rebeko, moja czysta. Jesteś jedyna... tylko ty mi jeszcze zostałeś. Tylko ty nie zostałeś zniszczona, rozszarpana na strzępy, zatruta...

Płakał.

Wtedy ja też mogłam się rozpłakać.

Najchętniej jednak bym go biła, szarpała, wbijała paznokcie w jego skórę. On nie powinien myśleć, że mu wybaczyłam. Że go nie obwiniam o to, co się stało!

Ojciec uśmiechał się blado, kiedy ujął moją brodę i przysunął ją ku sobie.

- Jedno chcę ci powiedzieć, córko... otóż gdyby jakiś mężczyzna chciał cię zhańbić, zwieść cię na manowce - to wtedy moja wściekłość nie będzie mieć granic.

Łapczywie wciągałam powietrze. Świat wokół mnie wirował.

Ojciec w zamyśleniu kiwał głową.

- Rebeko, moja ukochana córko. Taka śliczna, taka błogosławiona przez Pana... Zostałaś mi dana jako znak, teraz to rozumiem. Ty byłaś ostatnia, córka, która powinna była być synem. Mimo to jesteś mi droga, jesteś mi nieskończenie droga.

Wielu tych słów nie byłam w stanie słuchać.

Nigdy przedtem nie mówił, że jestem piękna czy wartościowa.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że to straty, jakie poniósł, były przyczyną tych wyznań. Bo co by się stało, gdyby Pan zaproponował mu powrót do dawnego życia za cenę złożenia mnie w ofierze? Wtedy z pewnością postąpiłby tak jak Abraham, przyłożyłby nóż do gardła własnego dziecka, by oddać cześć Panu. Nikt nie żywi większej miłości do córki.

- A teraz idź i pożegnaj się ze swoją matką. Błagała mnie o to, a ja przecież nie jestem całkiem pozbawiony litości. Ale, Rebeko, nie wsłuchuj się zbyt uważnie w jej słowa. Pamiętaj, że ten, który teraz przemawia przez jej usta, jest złym duchem!

Zostałam zaprowadzona do piwnicznego pomieszczenia.

Zobaczyłam siedzącą tam mamę, otoczoną wszystkimi swoimi rzeczami. Ojciec dał jej najlepsze materace, narzuty, meble z rzadkiego ciemnego drewna pochodzące z krajów na wschodzie.

Mama miała na sobie kosztowną szatę! Ledwo ją rozpoznałam, a to przecież był jej ślubny strój.

Ojciec odwrócił wzrok, jakby przeszył go ból na widok jej niezwykłej urody.

- Pożegnaj się - wykrztusił.

Podeszłam do matki, ale ona mnie chyba nie widziała. Przenikała mnie jakby wzrokiem, patrząc w ciemność poza kręgiem światła z lampki oliwnej.

Ujęłam jej rękę, była lodowato zimna.

Ucałowałam ją w oba policzki pokryte skórą przypominającą pergamin.

Ogarnął mnie straszny żal, rzuciłam się matce w ramiona jak małe dziecko, ale ona się nawet nie poruszyła, nie objęła mnie, ręce zwisały jej po bokach.

- Mamo, mateńko...

Nazywałam ją pieszczotliwie, imionami znanymi z dzieciństwa, żadna dorosła córka nie zwraca się tak do swojej matki.

Pozostawała wciąż tak samo daleko, ale wyczułam w niej jakby drgnienie.

Zaniosłam się płaczem.

Ona nie pozwalała się dotknąć, urazić...

I wtedy zrozumiałam, że ojciec miał rację.

Jej dusza opuściła ciało, matka stała się istotą bez duszy, woli, serca, uczuć. Anafina była jedynie ciałem.

Niewolnica została z matką, by się nią opiekować.

Ojciec i ja zjedliśmy razem posiłek. W milczeniu.

l'oti-m znowu nastąpiła noc i senne marzenia tłukły -iv w mojej głowie, dopóki się nie obudziłam bardzo późno następnego dnia. Na dłoniach miałam głębokie, krwawiące rany. Musiałam wbijać paznokcie we własne ciało, kiedy śniłam, że zabijam ojca.

- Rebeka! Rebeka... obudź się... ciii... zachowuj się cicho...

Usiadłam oszołomiona na posłaniu, dotykały mnie czyjeś ręce, rozpoznałam niewolnicę.

- Ona nie umarła, twoja matka żyje! Ona nie jest taką, jaką ją widziałeś ostatnio! Spójrz na to - napisała do ciebie list. Mówi, że powinnaś to natychmiast przeczytać, bo czas nadszedł szybciej, niż się obawiała.

Wzburzony głos niewolnicy i krople potu na jej czole przepełniły mnie lękiem. Popatrzyłam na to, co przyniosła.

Duży zwój pergaminu z pismem matki.

Niewolnica wycofała się, czekała przy drzwiach.

Rozwinęłam najpierw jeden zwój, potem drugi. W paczce znajdował się jeszcze jeden mniejszy, zapieczętowany rulon.

Niewolnica znowu zaczęła mówić:

- Ona powiedziała, że jeszcze dzisiejszej nocy powinnaś pobiec do człowieka, którego znasz pod imieniem Mir. Już tydzień temu prosiła mnie, bym przygotowała co trzeba. I wszystko czeka, musisz tylko dać znać, co zamierzasz, po przeczytaniu listu.

Oszołomiona kiwałam głową, jeszcze się nie otrząsnęłam ze snu, byłam jak zamroczona. Kiedy jednak przeczytałam pierwsze linijki, ocknęłam się.

„Jestem już martwa, córko, ale dojrzewa we mnie życie”.

- Nie!

Protest wyrwał mi się z gardła.

Niewolnica uciszała mnie, zaniepokojona rozglądała się wokół.

- Nie możesz pobudzić reszty domowników! Chyba zdajesz sobie sprawę, czym by to groziło nam obu! Na Boga, jeśli sama nie chcesz żyć, to pomyśl chociaż o mnie!

Pospiesznie wstałam i włożyłam ubranie, przygotowane przez niewolnicę.

- Więc zaraz jedziesz? Do niego? Z listami?

- Tak - odparłam bez zastanowienia. - Opuszczam dom. Skoro moja mama nie żyje, nie zostanę tu ani chwili dłużej. Pójdę do świątyni. Pójdę...

Niewolnica przerwała mi, czegoś takiego jeszcze nigdy nie przeżyłam. Umilkłam zaszokowana.

- Ona chce, żebyś zrobiła to dla niej. I niech Pan nie dopuści, żeby twój ojciec coś odkrył!

Niewolnica mimo woli zaszlochała, ale słowa nadal wypływały z jej ust. A przecież nigdy nie odważyła się odezwać, jeżeli jej nie pytano.

- Mam mu po prostu powiedzieć, że twoje nieczyste dni nastąpiły przed terminem i że przez jakiś czas nie będziesz mogła z nim rozmawiać. A kiedy wrócisz do domu, pójdziesz do komórki za izbą niewolnic. To będzie twoje nowe miejsce teraz, kiedy mama...

Kiwałam głową oszołomiona. Kobięcy pokój stał się jej ostatnim mieszkaniem, nigdy już stamtąd nie wyjdzie. Musiałam jednak zapytać:

- Więc ona nie umarła?

- Nie. Ale przeważnie jest taka, jaką ją ostatnio widziałas, mała Rebeko. Niektórzy powiedzieliby, że jest martwa.

Skinęłam głową, zwinęłam rulon i wsunęłam go pod

pas. Porządne buty z miękkiej cielęcej skóry na grubych podeszwach czekały gotowe do długiej wędrówki.

Mogłam ruszać.

- Pewien jeździec czeka na ciebie pod rozdwojonym cyprysem - powiedziała cicho. Natychmiast zrozumiałam, o jakim cyprysie mówi. Chodziło o stare, na pół martwe drzewo przy drodze do Betlejem, które było miejscem wypoczynku i spotkań oraz drogowskazem dla podróżnych.

I rzeczywiście, kiedy przyszłam, mój opiekun czekał.

Bez słowa pomógł mi usiąść przed sobą na koniu. Nie pomyślałam nawet, że to nieprzyzwoite tak siedzieć przed mężczyzną na jego koniu. Czułam oczywiście na plecach ciepło obcego, ale nie zastanawiałam się, że mogłoby to zanieczyścić moją krew. Wszystkie moje myśli były przy matce, przy liście, którego jeszcze nie zdążyłam przeczytać, i przy mężczyźnie, do którego matka mnie wysłała.

Mir, Egipcjanin.

Jej przyjaciel, jej pomocnik z dawnego życia. Ten, który ją kiedyś połączył z moim ojcem, Żydem, ten, który okazał jej dobroć.

I ten, który tamtego wieczoru przysłał pod naszą bramę niewolnicę ze straszliwą wiadomością.

Wtedy matka mu odmówiła, nie mogła zlekceważyć ojca. Gdybyśmy opuściły Zachariasza, gdyby mama zabrała nas do Mira, wtedy Tabitha zostałaby oszczędzona. Dlaczego matka tego nie zrobiła?

Domyśliłam się jednak, że teraz zdecydowała się przyjąć jego pomoc. Ze ten list, który miałam mu dostarczyć, jest tylko wymówką. Ona mnie do niego wysłała!

Serce tłuło mi się głośno w piersi.

A więc jestem na najlepszej drodze, by zostać oddana mężczyźnie.

Nie przez ojca, jak to powinno być, ale przez matkę.

Musiała znaleźć dla mnie męża dużo odpowiedniejszego niż ci, których mógł mi teraz znaleźć ojciec. Męża, do którego poprowadzi mnie Mir?

Czy mama wiedziała o planach ojca? Czy dotarło do niej, że wystawił mnie niczym towar na rynku, pošyłając wiadomość tym nielicznym współpracownikom, jacy mu jeszcze pozostali?

Czy się bała, że zechce mnie wziąć jedynie jakiś stary wdowiec lub ktoś, kto nie ma innej możliwości zdobycia żony? Jakiś jednoręki albo głuchy, albo taki, który utracił męskie siły?

Co ona powiedziała Mirowi?

A on, czy wie, co się ma stać?

Czułam, jak koń napina pod nami mięśnie. Ja sama nie byłam ciężka, a w ostatnich czasach jeszcze schudłam. Ale byłam wysoka, wyższa niż większość kobiet. Mniej więcej taka jak nasza matka, choć trochę niższa od Tabithy.

Mężczyzna, który siedział za mną, sprawiał wrażenie szczupłego, nawet bardzo, i mniej więcej mojego wzrostu. Trzymał mnie mocno udami, ja siedziałam bokiem i opierałam się o niego. Jedno jego ramię spoczywało na moich plecach, w talii; w obu rękach trzymał lejce i opierał je na moich kolanach.

W blasku gwiazd widziałam, że dłonie ma szczupłe i zręczne, o bardzo długich palcach.

Wkrótce dostrzegliśmy światła przed świątynią. Płonęły tam setki pochodni i chyba tyle samo oliwnych lampek. Reszta miasta spała, pogrążona w ciemnościach, do moich uszu docierały tylko z wiatrem dalekie poszczekiwanie psów i nieustanny śpiew szarańczy.

W końcu mój opiekun podjechał do wielkiego domu i okrążył go. W tylnej części podwórza znajdowały się stajnie, a sądząc po ilości i rozmiarach rur do wody, musiał tu mieszkać bardzo bogaty człowiek, który posiadał wiele koni. Nagle drgnęłam: w półmroku stali żołnierze w połyskliwych hełmach i przyglądali się nam. Wszyscy mieli oszczepy, niektórzy byli tak czarni na twarzach jak sadza lub węgiel. Rzymianie!

Dom Mira.

Mój jeździec ściągnął lejce i koń zwolnił kroku. Żołnierze wyciągnęli oszczepy. Nie wyglądali sympatycznie.

Kiedy jednak koń się zatrzymał, jeden z nich podskoczył i pomógł mi zsiąść. Na ręce miał rękawiczkę, co mnie bardzo zdziwiło. Nie powiedział ani słowa, gdy tylko odzyskałam równowagę, puścił mnie, po czym odprowadził konia. Mój towarzysz czekał, ale on też się nie odzywał. W końcu otworzyły się niewielkie, niskie drzwi. Strumień światła rozjaśnił dziedziniec, któryś koń zarżał spłoszony.

W drzwiach stanęła jakaś postać, wypełniając je całe, stała tam niczym czarny cień.

Najpierw wszedł ze mną na schody, a potem prowadził przez wiele wąskich korytarzy, w końcu dotarliśmy do drzwi tak pięknie zdobionych, że zrozumiałam, iż się nie mylę:

Znajdowałam się w domu Egipcjanina Mira.

Na drzwiach wymalowano wizerunki węży i kotów, na dodatek futryna ozdobiona była niebieskim szlakiem, przedstawiającym wijący się bluszcz. Nigdy przedtem w żadnym bogatym domu nie widziałam różowego sufitu.

Gospodarz niemal bezgłośnie otworzył malowane drzwi.

Potem zamknął je za nami.

Piękno pokoju sprawiło, że na chwilę zapomniałam o całym świecie. Zadrżałam bliska szoku a jednocześnie radości, widząc na ścianach obrazy przedstawiające postaci ludzi i zwierząt! Kwiaty, krajobrazy, nawet góry znajdowały się na tych malowidłach! Powinnam była się przerazić, powinnam natychmiast wyjść stąd z krzykiem. Pan bowiem zabronił ludziom tworzyć obrazy jego dzieł, prawo Mojżeszowe wyraźnie mówi, że to wielki grzech.

A więc obrazy wykonali poganie. Chyba nie znali zakazu Pana! I pewnie dlatego dostrzegałam w tym tak wiele piękna, ci bowiem, którzy malowali obrazy, nie zdawali sobie sprawy z tego, że grzeszą. Byli niczym dzieci...

Rozkoszowałam się po prostu widokiem. Wędrowałam wzdłuż ścian za moim gospodarzem i chłonęłam wzrokiem malowidła. W głębi pokoju znajdowały się kolejne drzwi. Byłam przygotowana na jeszcze piękniejsze obrazy, jeszcze więcej złota i wspanialsze kandelabry. Ale pokój był mały i kiepsko oświetlony. Wzdłuż jednej ściany wisiały ciężkie zasłony, pewnie dla ukrycia okien i przestronnych otworów między kolumnami, które mignęły mi po drodze tutaj. Na palenisku spokojnie płonął ogień.

Pośrodku pokoju stał duży stół, widziałam paterekę wypełnioną po brzegi owocami, a obok piękny dzban.

Wino.

Kiedy się w końcu opanowałam i napotkałam spojrzenie mojego gospodarza, on uśmiechnął się do mnie łagodnie i wypowiedział pierwsze słowa:

- Bądź pozdrowiona, córko Anafiny. Wiem, jaką odwagę okazałaś dzisiejszej nocy i jak bardzo musisz się teraz bać. Dlatego jeszcze raz ci dziękuję za tę odwagę

i za zaufanie, jakie mi okazałaś. Bądź tak dobra i usiądź. Zjedz sobie figę albo pomarańczę, a ja tymczasem opowiem ci trochę o tym, czego się pewnie i tak domyślasz.

Pochyliłam głowę, odwzajemniłam jego delikatny uśmiech. Nie bardzo wiedziałam, co o tym myśleć, on bowiem wcale nie sprawiał wrażenia zaskoczonego moim widokiem. Wróciłam więc do głównego powodu, dla którego się tu znalazłam.

- List - wyjąkałam. - To jest list od mojej matki...

Wziął ode mnie zwój i skinął głową.

- Wybacz mi, że go przeczytam, bądź tak miła.

Czytał szybko, widziałam, jak jego wzrok przesuwają się po papirusie.

W końcu westchnął.

- A ja byłem pewien, że... Nie, to błąd z mojej strony. Rebeko, musimy porozmawiać. Znasz treść tego listu, prawda?

- Nie.

Znowu westchnął.

- Ale ona ci opowiedziała... o mnie?

- Tak, oczywiście. I pamiętam cię z dzieciństwa. Byłeś dla nas bardzo miły. My byliśmy jeszcze małe. Bardzo miły.

Jego oczy były takie ciemne. Zaczęłam się teraz pocić, ogarnął mnie niepokój. Przecież to całkiem obcy mężczyzna. I co z tego, że go poznaję?

Szukałam w pamięci. Odnajdywałam obrazy jego postaci. Słabe. Niejasne.

Ale to ten sam człowiek, który niegdyś się śmiał i opowiadał wesołe historie małym dziewczynkom w ogrodzie naszego domu, gdzie spotykał się z ojcem, by dyskutować o inwestycjach, podróżach handlowych i nowinach przynoszonych przez karawany.

Tylko że teraz sprawiał zupełnie inne wrażenie.

I chociaż ja byłam bardzo młodą kobietą i głębokie bruzdy na jego czole powinny mi się wydawać mało pociągające, to uważałam, że przyjemnie jest na niego patrzeć.

A już kiedy otworzył usta i wymówił imię mojej matki, był po prostu piękny.

Czułam ucisk w gardle, bo zrozumiałam, że nareszcie znalazłam kogoś, kto naprawdę podziela mój ból z powodu straty matki.

- Moja biedna, kochana Anafina... ona prosi, bym cię porwał, zawiózł cię gdzieś daleko od niej. Prosi mnie, bym cię zabrał do Egiptu, kraju, którego pewnie nauczyłaś się lękać. Jak najdalej od niej...

Bez słowa kiwałam głową.

- Twoja mama pisze mi, że jej dni są już policzone. Że wkrótce, naprawdę niedługo bogowie wysłuchają jej modlitw. Że otrzymała znak. Wyraźniejszy niż inne. Że już niedługo będzie wolna.

Poczułam, że oczy napełniają mi się łzami.

- Ona jest bardzo chora, ale o tym pewnie wiesz.

Nie chciałam płakać, jeszcze nie teraz, przynajmniej dopóki mój niezwykły gospodarz nie skończy mówić. On odchrząknął i znowu popatrzył mi głęboko w oczy.

- Ona mnie prosi, bym cię zabrał z domu Zachariasza. Jako moją niewolnicę, jeśli zechcę! A najgorsze ze wszystkiego jest to, że ja chyba pojmuję, czego ona ode mnie oczekuje. Ty się domyślasz, Rebeko?

Nie odpowiedziałam, ale pomyślałam sobie:

Możesz mnie teraz wziąć, Mir. Bo Zachariasz nie może ci już zrobić krzywdy, nie ma takiej siły. Teraz potężni Żydzi już nie słuchają tego, co mówi Zachariasz. Oni go lekceważą. Jeszcze parę miesięcy temu

wszyscy prawowierni Żydzi oskarżyliby cię o to, że uprowadziłeś jego dziecko, a teraz, gdyby przyszło co do czego, wzruszyliby tylko ramionami. Możesz robić, co chcesz. Fakt, że służyysz Rzymianom, nie stanowi żadnej przeszkody dla tego, byś był zapraszany na uroczystości, w których uczestniczą również Żydzi.

Teraz możesz mnie wziąć, stary człowieku, przyjacielu mojej matki.

Ona oddała ci mnie jako niewolnicę, ale zrobiła to po to, by mnie uwolnić.

I ty o tym wiesz.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Chcę być twoją niewolnicą, jeśli to jest jedyny sposób.

Wtedy on otarł oczy.

- Chyba o to właśnie chodzi - powiedział cicho. - Ona pragnie tylko jednego. Chce, bym cię wziął do mojego domu, ochraniał cię.

- Chyba tak - potwierdziłam.

Ale twarz mężczyzny się zamknęła. Miął jeszcze w rękach jej list.

-Ja nie mogę tego zrobić. Twoja mama się myli. Tobie nic nie grozi. A te pogłoski czy co tam... ja wiem, że Żydzi się boją. Wiem, że rabini straszą ludzi. Ale mam dość władzy, Rebeko, dość władzy, by chronić wasz dom. Dom Zachariasza. Jeśli zechcę, rzecz jasna.

Znowu skinęłam głową, ale nie rozumiałam nic.

Mir ponownie usiadł.

- Słyszałaś różne historie, widziałaś, jak bardzo ludzie są przestraszeni. Widziałaś żołnierzy.

Umilkł, gdy jego wzrok padł na dzbanek z winem, na puste kieliszki, które wyglądały jak dwie kule zamarynżowanej zielonej wody, ustawione na srebrnych nóżkach.

- Ach, wino. Napijesz się ze mną, Rebeko?

Czy te kule zrobiono z nefrytu i wydrążono? Trudno powiedzieć. Wyglądały jak nierzeczywiste, kiedy Mir nalewał do nich wino, a ciemna ciecz mieniła się na ściankach.

Uniosłam kielich i zawahałam się.

Poczułam skurcz w sercu, jakby Mir częstował mnie trucizną. Ale ja chciałam umrzeć. Wypiłam więc.

Wino było słodkie, obce w smaku. Nie koszerne, nie czyste, nie uświęcone według Mojżeszowych reguł, reguł Pana.

Wypiłam solidny łyk. Przypominałam sobie, że w Prawie jest napisane coś o śmierci z pragnienia i że wtedy można pić cokolwiek, nie popełniając grzechu.

Wino piekło mnie w żołądku, napełniało moje usta smakiem, którym po prostu musiałam się rozkoszować.

Zrobiłam duży krok, przychodząc tutaj.

Być może nawet wykonałam go dawno temu.

Ale jedno było pewne: nie byłam już prawowierną, obdarzoną łaską córką Zachariasza, służebnicą Jehowy, wartościowym i czystym członkiem naszego świętego ludu. Nie byłam bliska śmierci z pragnienia. Ale piłam. Dla smaku i z lekceważenia Prawa.

Byłam niewolnicą Egipcjanina Mira, przepełniona napojem i słowami, za przyjęcie których Bóg Mojżesza z pewnością wkrótce mnie ukarze.

Upadłam równie nisko jak matka i jak Tabitha.

I uśmiechnęłam się do mojego gospodarza.

Bo przecież najbardziej ze wszystkiego chciałam być właśnie z nim, nawet gdyby miało mnie to kosztować zbawienie, życie i cześć. On patrzył na mnie się tak ciepło.

- Ty chyba zawsze to w sobie nosiłaś, prawda?

Przechyliłam głowę, żeby się zastanowić.

- Możliwe. Chyba nigdy nie byłam taka czysta, jak mój ojciec by sobie życzył.

Mir jęknął.

- Nie... nie to miałem na myśli. Ja, nie... porozmawiajmy raczej o życzeniu twojej matki. Pisze w swoim liście, że się boi. Boi się czegoś, co zaledwie przeczuwa. Mówi, że Izyda przesłała jej znak. Że stanie się coś strasznego. Że to jest znak, kiedy w świątyni pióra odpadają z gołębic, a kapłani się lękają, bo dym ofiarny ściele się na ziemi. Że Izrael znalazł się w niełasce.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pogłoski roznoszą się po kraju niczym ogień, Rebeko. I niektóre z nich są prawdziwe. Dzieje się coś dziwnego. Czasy są niezwykle. Prorocy mają rację, niezależnie od tego, do jakich bóstw się modlą.

Przytakiwałam bez słowa.

- W świątyniach i synagogach uczeni w piśmie szepczą, że w tych dniach spełnią się znaki dane od Pana. Że plagi, które spadają na kraj, są częścią tego. Że to, co czynią teraz moi żołnierze, jest spełnieniem dawnej przepowiedni. Izrael zostanie odkupiony, wkrótce przyjdzie nowy król.

- Głos proroków - powiedziałam.

- Tak. I wiesz co, Rebeko? Ja myślę, że może oni mają rację. Uważam, że to, co się teraz dzieje, jest zbyt straszne, by mogło być przypadkowe. Cesarz nie jest bogiem!

Gapiłam się na niego.

Oto siedzi tutaj rzymski oficer i bardzo brzydko się wyraża o swoim cesarzu, i to w obecności Żydówki!

- On nie jest bogiem - powtórzył Mir zmęczonym

głosem. - A mimo to jest panem życia i śmierci. Jest władny odbierać życie, niszczy wiele, wiele istnień.

Egipcjanin westchnął.

Potem wbił we mnie wzrok.

- Ty chyba nie wiesz zbyt wiele na temat, co się dzieje w kraju? Ty chyba nie wiesz, jaki strach przeżywają w tej chwili matki w Jerozolimie? Ani że cały lud Izraela jest wzburzony.

Siedziałam nieporuszona. On przecież widział, że nie wiem o niczym.

- Rebeko, ty żyjesz poza zasięgiem tych spraw. Widocznie w domu twego ojca nikt ostatnio głośno nie rozmawiał. Ale twoja matka najwyraźniej się dowiedziała. Dlatego ty jesteś tutaj. Ona się boi, że jutro, za miesiąc, kiedykolwiek, zagłada będzie kontynuowana.

- Zagłada?

Tak wolno potrząsnął głową, że mogłam śledzić każde drgnienie w jego twarzy.

- To jest szaleństwo. To straszne szaleństwo. Grzech większy, niż jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Gorsze niż to, co się dzieje z niewolnikami w Rzymie. Gorsze niż postępowanie Nabuchodonozora! Dużo, dużo gorsze niż palenie świątyń i niszczenie krajów na wschodzie.

- A co takiego się dzieje?

Niemal wykrzyczałam swoje pytanie.

On dolał wina, a potem powiedział twardo:

- Mordujemy synów Izraela, Rebeko. My, żołnierze rzymscy. Zabijamy ich, niszczymy jak szkodniki. Straszemy twój lud, cesarz bowiem nie może dłużej żyć w strachu przed buntem. Nie może żyć zagrożony waszą siłą, codziennymi demonstracjami, waszym oporem. Cesarz dłużej tego nie ścierpł.

- To nieprawda!

Mój krzyk znowu wypełnił mały pokój.

On przesłonił twarz rękami, ale jego głos był wyraźny, dobrze słyszalny.

- Strach pojawił się w poprzedni szabas. Niektórzy mówią, że to z powodu nieporozumienia. Inni twierdzą, że to wszystko ma miejsce w związku ze zbliżeniem się cesarza z jego prowincją, Egiptem. Ja nie wiem, chociaż sam jestem Egipcjaninem.

Otarł coś, co mogło być kroplą potu pod nosem.

- Najwyżsi rzymscy radcy przestraszyli cesarza albo może mu grożą. Ktoś mu wmówił, że Żydzi są teraz bardzo wrażliwi na ciosy, że powinno się ich złamać raz na zawsze. Żydzi bowiem czekają na nowego wielkiego wodza, więc niedługo mogłoby być za późno.

Milczałam.

Widocznie to było coś, co musiał opowiedzieć na swój sposób. Ale strach we mnie narastał, ponieważ ja też się bałam może bardziej niż on. W jego głosie brzmiało obrzydzenie, kiedy opowiadał o przestępstwach własnych oddziałów.

- Żołnierze zabijają niewinnych chłopców - oznajmił szeptem.

Ja ze świstem wciągałam powietrze.

- Synowie Izraela są zabierani matkom z rozkazu cesarza. Są wrywani z ich rąk. I zabijani na ich oczach. A twój lud, oni, którzy pamiętają, jak faraon chciał zgładzić Mojżesza, rozpoznają historię i przyjmują to jako znak, że tamte czasy wróciły. Że Jahwe raz jeszcze zesłał pasterza swoim zbłąkanym owcom.

Oczy egipskiego oficera były niczym dwa kawałki czarnego węgla na tacy pełnej żarzącego się ognia.

- Mówią, że on już się narodził, ten nowy Mojżesz! Nazywają go Mesjasz. Syn Boży.

Zadrżałam.

Po raz pierwszy ktoś w mojej obecności wymówił imię Pana. Boga. To, które nie powinno być wypowiedane przez ludzki język. Którego nikt z nas nie miał odwagi wyszeptać. I kiedy Mir to zrobił, zdawało mi się, jakby to imię spadło na ziemię. Po tysiackroć.

Szybko popiłam wina.

- Cesarz chce, żebyście w to wierzyli. Przynajmniej ja tak myślę. Bo to jest gra. Okrutna gra... część wojennego planu cesarza przeciwko narodowi żydowskiemu. Teraz wasi synowie zostaną zgładzeni, takie rozchodzą się pogłoski. Tym samym każdy dopiero co narodzony wielki przywódca zostanie zabity. Cesarz nie rozumie jednak, że jest też i druga strona tego medalu, że swoim postępowaniem umacnia w Żydach nadzieję, pragnienie buntu... i że ich w ten sposób nie złamie, jak zdają się sądzić cesarscy doradcy.

Byłam absolutnie wykończona, może to wino. Starłam się rozumieć, co Mir mówi.

- Twoja matka widocznie słyszała pogłoski. Lęka się więc o ciebie, o twoje życie.

- Oddała mnie tobie, więc chyba się mną zaopiekujesz?

- Tak. Ona o tym wie. Prosi mnie, bym cię zabrał do Egiptu. Ale pisze jednocześnie, że dałaby jej spokój myśl, że ty będziesz mogła umrzeć bez bólu. A na to ja nie mogę się zgodzić.

Próbowałam spojrzeć mu w oczy.

- Ja mam władzę, Rebeko. Wielką władzę. Twoja matka słusznie się obawia, straszne rzeczy dzieją się w tych dniach w żydowskich domach. Żołnierze szaleją. Rozkaz cesarza jest straszliwy: nowo narodzone dzieci są wrywane z matczynych ramion i mordowa-

ne. W niektórych okolicach nie ma już ani jednego chłopca. Ale córki... córki są bezpieczne.

Ogarnęły mnie mdłości. To nie może być prawda!
On uniósł ostrzegawczo dłoń.

- To wszystko skupia się tutaj, wokół Jerozolimy. Tutaj rozegra się ostateczny bój. Ale uwierz moim słowom: ja mam władzę. I mogę obiecać, że twojej rodzinie nie stanie się nic złego. Ty jesteś bezpieczna, Rebeko. Twoja matka również. Potrafię ochronić twego ojca i cały jego dom. Już o to zadbałem.

Siedziałam sztywna i starałam się zrozumieć.

Z wyrazem łagodnego smutku Mir rozpostarł list mamy. Ujął srebrne naczynie z czymś przypominającym płynną sadzę, pospiesznie zapisywał na arkuszu równe rzędkie.

- Piszę to do niej, ale musisz mi pomóc, przekonać ją, że jest bezpieczna. I że ty jesteś bezpieczna. Że możesz zostać w domu swego ojca, przy niej, i że żaden z cesarskich katów nie naruszy waszego spokoju. Potrafisz to zrobić? Wierzysz mi? I poproś ją, by mi wybaczyła to straszne, co ściągnąłem na waszą rodzinę, jedynie dla zaspokojenia mojego egoistycznego serca.

Chrząknęłam, chciałam odpowiedzieć.

Ale nie do końca jeszcze pojęłam głębię potworności, o których opowiadał, nie wierzyłam, że to się może stać w moim kraju, w moim małym mieście, siedzibie Pana na ziemi. Zaczęłam myśleć o królu Kserksesie, który także chciał wyniszczyć lud Pana. Każdy Żyd miał być wtedy zamordowany. Ale to działo się dawno temu, dawniej niż żył którykolwiek z pisarzy, których mój ojciec tak dobrze znał. Ja znam te sprawy bardziej jako legendę, którą ojciec nam opowiadał, by pokazać, że Pan zawsze troszczył się o swój lud. Pamiętam, że

królowa, piękna Estera, wstawiła się za Życiami i uratowała ich.

I myślałam teraz: Jeśli to prawda, co Mir opowiada, że znowu jakiś cesarz chce nas wszystkich wymordować, to musi też istnieć jakaś nowa Estera.

Mir mówił do mnie, wciąż mówił, w końcu się zapomniał i ujął moją dłoń ponad stołem. Dotknął mnie wtedy po raz pierwszy, a ja zamarłam z zaskoczenia i z przerażenia. Żaden obcy mężczyzna nie dotknął nigdy mojej odkrytej ręki. A on... ostatecznie on jest poganinem.

- Rebeko, ja wiem, że jesteś tym wszystkim oszołomiona! Ale czy możesz mi uwierzyć? Czy potrafisz nakłonić swoją matkę, by mi uwierzyła, kiedy zapewniam, że nic złego nie przytrafi się waszemu domowi?

Widocznie odpowiedziałam mu w sposób, który mógł przypominać potwierdzenie, bo spojrzał na mnie z ulgą.

- Zabierz więc ten list do niej. I próbuj ją nakłonić, by mi zaufała, by polegała na moim słowie. Ona, jak nikt inny, powinna wiedzieć, że ja bym nie obiecywał, gdybym się obawiał, że nie będę mógł dotrzymać słowa.

Gorycz? Wtedy nie wiedziałam, ale w jego głosie pojawiło się coś mrocznego. Wstałam. Wkrótce zaczniesz dzień, musiałam wyruszyć w drogę, zanim się znowu rozwidni. Dlaczego tak trudno było mi utrzymać się na nogach? Dlaczego miałam wrażenie, że coś mnie przylepiło do krzesła, do tego pokoju, do oczu tego mężczyzny?

Uśmiechnął się do mnie niepewnie.

- Kochana Rebeko, córko Anafiny... dostrzegam w twoich oczach tysiące pytań. Rozmawiaj ze swoją matką. Pytaj ją. Dowiesz się wszystkiego.

Wahałam się, to mimo wszystko obcy człowiek. Ale był też pierwszym człowiekiem od tak dawna, naprzeciwko którego siedziałam, jeśli nie liczyć ojca i niewolnicy.

Musiałam więc rozmawiać.

Wybuchnęłam.

- Ona jest szalona, całkiem szalona! Ty nie rozumiesz, Mir, dobry panie, ty nie rozumiesz...

Familiarny sposób, w jaki się do niego zwróciłam, nie przestraszył go. Był widocznie równie naturalny dla niego jak i dla mnie.

- Szalona? - powtórzył zdumiony.

- Tak. Ja nie wiem, ale ojciec zamknął ją w pokoju kobiecym... w nieczystym pokoju. Tam ma być trzymana pod zamknięciem, by nie zrobić krzywdy nam, sobie, nikomu...

Bełkotałam coś nieskładnie, słowa wypadały ze mnie niczym bąble w fermentującej cieczy.

- Ona składała ofiary Izydzie i Ozyrysowi. W naszym ogrodzie, przy tej okrągłej sadzawce, w której trzymamy karpie...

Mir jęknął, pochylił się nad stołem.

Jego oczy były szeroko otwarte, czyste, błyszczące.

Spostrzegłam, że wino zaschło na jego wargach, nadało im czerwobrnatną barwę, która przypominała starą ranę. Mówiłam dalej:

- Ojciec ją zobaczył. W ubiegłym miesiącu. Mama zbudowała w ogrodzie ołtarz, była naga, wymalowała sobie na skórze przedziwne wzory. To wtedy ojciec ją zamknął w piwnicy. I to wtedy ja musiałam się z nią pożegnać.

- Rebeko, co ty mówisz?

Spuściłam wzrok. Wpatrywałam się w piękną grę barw na rozkrojonym jabłku granatu, jakbym chciała policzyć w nim pestki, jak to uczyniła bogini w starej legendzie.

- Ona już nie istnieje, moja mama nie istnieje. Ona tylko jest.

Mir przewrócił kieliszek z winem, piękny nefryt lśnił. Stuknął głucho przy upadku, a równocześnie zadźwięczał dziwnie czysto, jak dzwoneczek.

- Muszę się do niej dostać - szepnął Mir. - Muszę z nią sam porozmawiać. To niemożliwe! Moja A...

Wtedy spojrzałam na niego.

- Nie wejdiesz do naszego domu. A już zwłaszcza do kobiecego pokoju.

Oczy Mira zrobiły się wąskie.

- Może będę musiał - rzekł krótko.

To dziwne, ale te jego jeżące włos na głowie słowa brzmiały przekonująco. Uśmiechnęłam się do niego, sama nie wiedziałam, jak mogłam. To, co on dawał do zrozumienia, nie mieściło się w żadnym obyczaju, sama myśl o tym powinna mnie wzburzyć.

Ale on posiadał to ciepło. Tę dobrą siłę, która - czułam to wyraźnie - rozpałała teraz we mnie wielką nadzieję.

Może on zdoła uratować moją matkę?

Zabierz ją stąd, wywieź ją daleko, tak jak prosiła, byś wywiózł mnie. Ona powinna wyjechać! Do domu, do Egiptu, do tego kraju, na wspomnienie którego mój ojciec i jego lud zawsze będą płakać.

Do domu niewoli.

Do tego kraju, w którym dzieci Izraela były przetrzymywane w udręce przez wiele, wiele lat, aż Mojżesz został zesłany przez Pana, by ich uwolnić.

Znowu popiłam wina, postawiłam kieliszek Mira na podstawce i ponownie go napełniłam. Dzban był cięższy, niż mogłam się spodziewać. Teraz spostrzegłam, że jego wnętrze zostało wyłożone błyszczącym metalem. Złoto? Tak, to musi być złoto. Wino wytrawia brąz, ale złota nie.

Piliśmy w milczeniu i patrzyliśmy sobie nawzajem w oczy, jakby zawierając milczące porozumienie.

Kiedy opuściłam siedzibę Mira, mój towarzysz czekał pod dachem.

Tak samo milczący jak przedtem, odwiózł mnie do samego domu. A potem siedziałam przed pokojem niewolnicy i czekałam na różowozłocisty wschód słońca.

Podróżny płaszcz ojca łopotał lekko, zwisając z dachu w tylnej części dużego domu. Na samym dachu jednak, nad kolumnadą, było pusto i cicho.

Kiedy blask słońca w końcu skąpał krajobraz, eksplodowały tysiące ptasich głosów. A w domu, po stronie dla niewolników, słychać było budzących się ludzi, ciche śmiechy, hałasowanie wiadrami do wody.

Wkrótce ludzie wyjdą na zewnątrz, wkrótce gołębie i kury dostaną swoje ziarno i jagody.

Krowy zostaną wydojone jak zawsze, a kilka koni, jakie jeszcze mamy, wyczyszczone i nakarmione, zanim wynajęci chłopcy wyprowadzą je ze stajni.

Jedzenie zostanie ustawione na stole, nie będzie tylko specjalnego chleba Tabithy, pieczonego z pszennej mąki.

Mój ojciec odmówi poranne modlitwy, może na dachu domu, a może z głównego miejsca w pokoju, w którym znajduje się ołtarz. Będzie dotykał słupów przy drzwiach i odczytywał wyryte na nich napisy.

Ja zostanę za białymi drzwiami, przez pięć dni będę nieczysta, a potem znowu go spotkam.

Tymczasem Mir przyjdzie do mamy i może tchnie trochę życia w ten słup soli, w jaki została przemieniona.

Modliłam się. Złożyłam dłonie, patrzyłam na smugę światła, która zapowiadała wznoszące się słońce, aż oczy napełniły się łzami. Płakałam bezgłośnie, błagałam Pana o łaskę i wybaczenie moich wielkich grzechów.

Ile gołębi właściwie powinnam złożyć w ofierze?

A może jagnię? Albo krowę?

Nie, żadna ofiara nie będzie dostatecznie wielka, największa ilość kadzidła nie przesłoni mego grzechu przed oczyma Pana.

Mimo to modliłam się. Desperacko i z rozpaczą, a tarcza słońca wznosiła się nad horyzontem. Wilgoć w moich na pół ślepych oczach sprawiła, że ziemia, drzewa, dachy domów i kamienie mieniły się, jakby Pan sypał diamenty do moich stóp.

Tego ranka słońce było jaśniejsze i większe niż kiedykolwiek. Rosło i rosło, aż stało się wielkim kręgiem nad dalekimi wzgórzami. Prawie nie mogłam oddychać, słońce wisiało przez jakiś czas nad ziemią, jakby nie mogło się ruszyć. Ale oto - uwolniło się! Narodziło się na nowo, okrągłe i potężne, stworzone z najczystszej, płynnej złota!

Czułam, że serce bije mi w piersi gwałtownie, niebezpiecznie.

Czułam, że byłam świadkiem cudu.

Było tak, jakby tego ranka Pan polecił słońcu wznosić się niczym w odpowiedzi akurat na moją prośbę.

Uzyskałam wybaczenie!

Gdy tylko moje członki odzyskały znowu zdolność ruchu, strząsnęłam z siebie kurz i pospieszyłam do pokoju, który niewolnica dla mnie przygotowała.

Wkrótce przyjdzie pewnie z chlebem i wodą, z oliwą i świeżymi szmatami.

Tutaj będę mogła odpoczywać. Myśleć.

I czekać.

8

Kiedy Mir tak siedział i wolno opróżniał kieliszek, widział promienie słońca jako ruchome wzory na podłodze pokoju. Poprzez pięknie rzeźbione parawany światło tworzyło niezwykle figury i filigranowe obrazki, które wypełniały pokój i przemieniały go w bajkowy pałac.

Był bardziej wzburzony, niż mógłby przypuszczać. Kobieta, ta młoda kobieta, która przyszła do niego dzisiejszej nocy, była nie tylko odbiciem Anafiny, lecz także przypomnieniem innej, dawno temu zmarłej niewolnicy, która niegdyś wykarmiła jego ojca.

Jak to dziwnie płaczą się ścieżki życia, jak ludzkie losy się nawzajem przecinają i splatają ze sobą!

Przynajmniej dwadzieścia razy widział w tym kraju, jak nadchodzi i mija Święto Paschy. Za każdym razem wyraźnie zdawał sobie sprawę z tego, czym właściwie jest to święto dla Żydów, co takiego oni świętują: uwolnienie od Egipcjan, od jego narodu.

Pascha to święto obchodzone na pamiątkę tego, że Bóg, Jahwe, wywiódł ich z domu niewoli z kraju, do którego on, Mir, nigdy nie przestał tęsknić.

Mimo wszystko jednak opuścił go z własnej woli. Postanowił jechać za Anafiną, niewolnicą, do Jerozolimy. Ona była wtedy tak strasznie młoda, taka zależna od jego opieki. I już wówczas jej los był taki dziwny, jej drogi takie obce i skomplikowane, że przypominały starą historię ze świętych ksiąg.

Była niewolnicą, urodziła się jako niewolnica, skazana, by służyć innym.

Znalazła jednak inne drogi. Została rzucona do rzeczki życia niczym kawałek korka lub mała łódeczka, jakie dzieci robią z papirusu lub kawałków trzciny...

Jej ratunkiem stał się syn żydowskiej, kupieckiej rodziny.

By jednak mogła się z nim połączyć, ktoś musiał zwrócić jej wolność.

I to właśnie on wówczas zrobił, on się odważył. Była mu więc winna więcej niż życie. Była mu winna miłość, bo właśnie tę miłość miał nadzieję zdobyć.

Ale przegrał.

Chociaż, mimo wszystko, zwyciężył.

Podczas długiej podróży ani razu nie pozwoliła mu się wprawdzie dotknąć, ale powstała między nimi bardzo silna więź. Zaczęła go nazywać przyjacielem. A kiedy pod baldachimem została oddana Zachariaszowi, wtedy widział, że jej oczy promieniają szczęściem, radością i że jest w nich ulga.

Otrzymała dom. W obcym kraju odnalazła spokój, mogła w końcu odpoczywać u obcego boga. I dlatego jej małżeństwo z Żydem nie było dla Mira źródłem nieznośnego bólu. Szeptąła bowiem do niego, nawet w dniu ślubu, że to on jest jej najlepszym przyjacielem. Że go kocha. Na swój sposób. I że jej nowy Bóg, Jahwe, w swoim Prawie bierze w opiekę nawet niewolnicę.

Uśmiechał się z goryczą, kiedy sobie przypominał, jak wyglądała w tamtych dniach: młoda, promienna, otoczona najznakomitszymi żydowskimi kobietami. Podobna do rubinów w swojej ślubnej szacie, niczym płomień pośród dogasającego żaru.

Kobiety odnosiły się do niej ciepło, pielęgnowały ją,

przyjęły ją jak swoją, choć przecież nie urodziła się z Ludu.

Dopiero o wiele później zrozumiał, że to wszystko ze względu na rodzinę Zachariasza i jego pozycję. W miarę jak poznawał Prawo, przekonywał się, że to prawdziwy cud.

Wolno i bardzo ostrożnie zbliżał się do kupca i jego rodziny. Oczywiście jako Egipcjanin nigdy naprawdę nie został dopuszczony do ich życia. Ale dzięki długim rozmowom z dumnym, honorowym mężczyzną Mir mógł się przekonać, że kobieta, która była mu taka droga, znalazła się w dobrych rękach, że wyszła za mądrego, troskliwego i naprawdę sprawiedliwego człowieka. Zachariasz ofiarował mu przyjaźń, wyciągnął do niego rękę na tyle, na ile Prawo pozwala Żydowi zbliżyć się do poganina.

Mógł więc spokojnie odpoczywać.

Zadowolił się tym, że może ją od czasu do czasu widywać, rozmawiać z nią w krótkich oazach czasu. Osiadł w wielkim mieście i stał się niewidzialnym obserwatorem wszystkich, którzy się spotykali z rodziną Zachariasza. Nikt nie miał pojęcia o jego rzadkich spotkaniach z Anafią, niebiańskich a zarazem nieznośnie bolesnych.

W końcu zmusił się, by zerwać z tym wszystkim, i wstąpił na służbę do cesarza. Zachariasz nie miał wyboru. Jako prawowierny Żyd musiał wykluczyć Mira ze swego życia. Pozostały tylko nieliczne interesy, wymiana towarów i pieniądze.

Mir stał się w tych latach ważną osobistością i dorobił się znacznego majątku. Kiedy budował sobie pałac z hellenistycznymi kolumnami i egipskim rozmachem, to przeszedł w tym swego mistrza w kupieckim rzemiośle, przewyższył go też bogactwem.

Ale nie było to wielkie zwycięstwo.

Pozwoliło mu jednak wziąć sobie trzy młode żony i prowadzić dom na poziomie, którego zazdrościł mu nawet cesarski namiestnik. Nowy zamek Heroda... wiele wskazuje, że architekci czerpali pomysły od Egipcjanina Mira.

On sam żył jak król.

A wszystko to zawdzięczał jej.

Kim by w życiu był, gdyby nie ona? Żołnierzem z egipskiej prowincji, uganiającym się po pustkowiach, marnującym sobie życie i siły w służbie dla kapryśnego cesarza?

Synem swego ojca, kramarzem, jednym z wielu?

To ona dała mu wszystko, choć nawet o tym nie wiedziała. Ona, rozpieszczona niewolnica, jej młodej twarzy uległ od pierwszego wejrzenia.

Związał się z nią.

Jakie to dziwne.

Mir słyszał dochodzące z ulicy krzyki poganiaczy bydła. Na dole, wokół wewnętrznego dziedzińca, ludzie budzili się do nowego dnia. Słyszał gdakania dużych ptaków, niektóre karmiono, inne chwymano, bo miały być zabite.

W kobiecej części domostwa jego dwie żyjące żony przygotowują się pewnie, by spotkać swego pana i gospodarza owocami, świeżo upieczonym chlebem, smażonymi warzywami i dopiero co złowionymi rybami. Dzieci też zostaną przyprowadzone, Mir cieszył się zawsze ich promienną poranną wesołością i chętnie odprawiał służbę tak, by tylko rodzina siedziała w białym pokoju, w którym podawano poranne posiłki.

Jego rodzina.

Jego wszystko.

Są tacy piękni, i żony, i dzieci.

Jedna z żon ma ciemną skórę i sylwetkę jak bogini Be. Druga, nieśmiała i płochliwa, jest jasna niczym Het-Hert, bogini miłości i tańca oraz miłosnych napojów... Wino się skończyło.

Chwiejąc się lekko, oszołomiony nocnymi wydarzeniami i wspomnieniami, Mir poszedł do łóżka, gdy już zaczynało świtać. Spał niespokojnie aż do czasu, gdy dotarły do niego wieczorne modły z najbliższej synagogi.

Miał wrażenie, że śniła mu się Anafina. W rękach trzymała węża, a z tyłu za nią podążał biały kot.

W ciągu pierwszej doby odpoczywałam, rozmyślałam i odpoczywałam. Niewolnica przyniosła mi jęczmienny chleb, wodę i czyste ubranie. Rozkoszowałam się nieoczekiwanym spokojem. Drugiego ranka słońce wstało na zamglonym horyzoncie, a ptaki nie śpiewały już z takim zapałem. Trzeciego dnia zaczęłam chodzić po izbie, coraz bardziej zmartwiona mamą, dziwną rozmową z Mirem, tym, co teraz myśli ojciec, i odgłosami żołnierskich kroków na drodze za naszym domem.

Muszę zobaczyć mamę.

I muszę poprosić niewolnicę, żeby mi jak najwięcej o niej opowiedziała.

Mama była więźniem w pokoju kobiecym, bardziej jednak była więźniem tego, co się działo w jej głowie. Czy ona jeszcze wyzdrowieje? Czy może ojciec miał rację, mówiąc, że opanowały ją demony, unicestwiły jej duszę, że tak naprawdę to ona jest już martwa?

A może jest jeszcze nadzieja, że za jakiś czas mama będzie znowu taka jak dawniej?

Żal po odejściu Tabithy odczuwałam jak bolesne ssanie w sercu, mogłam sobie nawet wyobrazić, jak to wygląda. To tak, jakby zmacić łopatką wodę w bardzo

dużej becze. Tworzy się wtedy czarny wir, wsysający wodę w głąb. Taki był mój ból, chciał mnie pociągnąć za sobą, choć bardzo się broniłam.

Ale mama była już chyba tam na dole.

Czy zdołam w jakiś sposób do niej dotrzeć, porozumieć się z nią?

Zastanawiałam się nad tym, ale nie znajdowałam odpowiedzi. W końcu zaczęłam się przygotowywać do tego, by wywieść w pole i niewolnicę, i ojca - muszę przecież opowiedzieć mamie o spotkaniu z Mirem, muszę ją uspokoić.

Szóstego dnia mi się udało. Ojciec pojechał do Jerozolimy i miał wrócić nie wcześniej niż za dwa dni. Niewolnica leżała w łóżku, przeziębiona. Musiała zmarznąć w nocy, bo kaszlała i miała gorączkę.

Ja natomiast byłam zdrowa i pełna zapału. Wzięłam list, naczynie z kandyzowanymi owocami, drugie naczynie z winem i świeży chleb. Nie było to wcale trudne, żadne zamki nie stanowiły przeszkody, zewnętrzny skobel przy jej drzwiach otworzyłam z łatwością.

W pokoju unosił się zapach starej kaszy i potu, niespokojnego snu i palonej oliwy.

Mama leżała na łóżku, dwa małe okienka w dachu były zasłonięte. Wspięłam się na palce i rozsunęłam zasłony. W białym świetle dnia jej skóra była zupełnie żółta.

Najwyraźniej spała, piersi poruszały się miarowo. Moja mama spała głęboko, z otwartymi ustami, czarne rzęsy rzucały cienie na policzki.

Odstawiłam jedzenie i nalałam trochę wina do kieliszka.

Delikatnie pogłaskałam ją po włosach.

- Mateńko... obudź się.

Poruszyła się, wymamrotała coś. Widziałam drgnie-

nie kącików ust. Czyżby się uśmiechała przez sen?

- Jestem przy tobie, mamu. Przyniosłam wino i słodycze... i mięso gazeli.

Nagle mama otworzyła oczy.

- Tabitha!

Ucałowałam jej rękę.

- Nie, to ja. Rebeka.

Jakie to smutne, jakie smutne. Ona z pewnością śniła właśnie o starszej córce i przez moment miała nadzieję, że tamta do niej wróciła. Z trudem przełknęłam ślinę i uśmiechnęłam się do niej blade.

- Tabitha nie żyje, chyba pamiętasz?

Skinęła i znowu zamknęła oczy. Jej ręka spoczywała w moich dłoniach, nieruchoma, lepka.

- Mamu, mnie nie wolno do ciebie przychodzić. Ale ja musiałam, mimo wszystko. Czy jesteś... czy chcesz... czy możesz mnie wysłuchać?

Nie poruszyła się, ale z jej gardła wydobyło się kilka niezrozumiałych dźwięków.

- Spójrz, wino dla ciebie! Ono cię wzmocni, poczujesz się lepiej. Dodałam miodu. Pij, mateńko...

I mama rozchyliła wargi. Pozwoliła, bym wlała jej słodki płyn do gardła. W chwilę potem jakby oprzytomniała, napój zaczął działać. Usiadłam prosto, ale jej ręki nie puściłam.

- Zaniośłam twój list do Mira. I rozmawiałam z nim. To nie jest tak, jak myślisz, mamu. Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Nikomu w naszym domu nie stanie się krzywda, zapewnia Mir.

Odetchnęłam głęboko, miałam zamiar mówić dalej, przekonywać ją.

- Wyjedź z nim - usłyszałam szept matki. - Wyjedź, wyjedź, wyjedź!

Popatrzyłam na nią. Te zamknięte oczy, ta dziwna hladożółta skóra. Kropelki potu u nasady włosów. Usta, zostało na nich trochę czerwonego wina, ale wydawały się jakby zapadłe.

- Mamo, ja przecież nie mogę. Nie mogę wyjechać od ciebie... ani od ojca...

Wtedy mama popatrzyła na mnie spod powiek tak przytomnie i z taką siłą we wzroku, że się przestraszyłam.

- A co ty jesteś winna ojcu, Rebeko?

Co za pytanie? Zawdzięczam mu przecież wszystko. Tak jak każda córka. Ona zresztą też, jako żona.

- Wyjedź z Mirem, Rebeka. On potrafi się tobą opiekować. On wie...

Błysek w jej pięknych oczach oszołomił mnie i uradował. Mama jest znowu sobą, wie, o czym mówi, poznaje mnie.

- Mamo, wkrótce będziesz zdrowsza! Teraz to widzę. To nieprawda, że jesteś słaba i nieuleczalnie chora, że tak musi zostać na zawsze! To cierpienie tak cię osłabiło.

Uśmiechnęła się do mnie. Przytuliła moją głowę do swojej piersi, chciała, żebym przytuliła się do niej tak, jak to robiłam w dzieciństwie.

- Obiecuj mi, że wyjedziesz, Rebeko. Wiem, że to miejsce jest teraz przekłete. Dzieje się wiele. Widzę krew, która zostanie przelana. Izyda przemawiała do mnie w snach, moja kochana. Izyda cię wzywa. Bogini ma dla ciebie dar. W domu.

Leżałam przy niej rozdygotana, łzy znowu cisnęły mi się do oczu.

Mama nie wyzdrowiała. I nigdy nie wyzdrowieje. Znowu mów; o pogańskich bogach. I o tym, że powinienam wyjechać.

- Mateńko...

Mogłam tylko cicho szlochać, ona tuliła mnie zdumiewająco mocno.

- Wyjedź! Obiecuj mi, że wyjedziesz, Rebeko!

- Nie, mam, ja przecież nie mogę...

Przerwała mi niemal brutalnie. Jej głos brzmiał władczo, z uporem.

- W takim razie wyjedziemy obie. Zaraz. Najpierw jednak musisz usłyszeć przesłanie od starych bogów. Jesteś służebnicą Jahwe, zawsze nią byłaś. Tego cię nauczyliśmy, Zachariasz i ja. Ale teraz trzeba to odrzucić. Wszelkie kłamstwa, wszystko, co nie zawiera ani krzty prawdy...

Widziałam, że mówi z wielkim napięciem, aż traci dech.

- ...bo ty jesteś córką Nilu, dawnych świętych, córką boga Słońca... i tam w domu czeka na ciebie puchar...

Było oczywiste, że choroba wróciła ze zdwojoną siłą. Wiedziałam, że matka oszalała z żalu i że szuka ukojenia we wspomnieniach dawnego życia. To ona chciała wracać do domu. Do Egiptu. Dla mnie ta podróż była czymś przerażającym. Wsłuchiwałam się jednak w legendę, w to, co ona nazywała przesłaniem Izydy, co jednak było tylko rojeniami szalonej, pogrążonej w rozpacz kobiety.

Mimo wszystko, zanim skończyła, zostałam wciągnięta w tę historię. Widziałam, że twarz matki płonie. Słyszałam, że jakiś obcy zaśpiew kaleczy znane mi słowa. Pamiętam jak przez mgłę pieśni śpiewane podobnie. Wiedziałam, że to jej dawny język. Jej i Mira, sposób mówienia Egipcjan. Szeroka, nieforemna suknia, którą miała na sobie, nie mogła ukryć siły ani zapału, przenikającego jej ciało, gdy mówiła dalej:

- Bo widzisz, bogini wybaczyła mi zdradę. Byłam młoda, uparta, nie chciałam jej służyć jak należy, zostałam więc upomniana. I teraz wiem. Ale mój dług spłacić możesz tylko ty. Tylko ty możesz przyjąć łaskę, której ja nierozsądnie się wyrzekłam.

Była teraz ożywiona i niemal radosna.

- A więc jedź, Rebeko. Mir cię zabierze, prawda?

Wtedy przypomniałam sobie jego list i podałam mamie.

Wzięła bez słowa, przeczytała pospiesznie.

Potem popatrzyła na mnie.

Opadła na poduszki, znajdujące się za jej plecami.

- Nie... nie...

I jakby znowu zamknęła się w sobie, wróciła do swojej mglistej krainy.

Mogłabym płakać. Nie miałam jednak odwagi, nie wiedziałam, co ona myśli. Żeby się czymś zająć, zaczęłam dzielić nożykiem do owoców śliwki i daktyle, układałam to wszystko na tacy, tworzyłam dla mamy piękne wzory.

- Zjedz trochę, mateńko - poprosiłam.

Gryzła i połykała słodkie, soczyste owoce. Oczy jednak utkwione były w sufit, puste i zarazem przepastne.

Kiedy już zjadłyśmy wszystkie owoce, przynajmniej ja poczułam się znacznie lepiej.

- Wkrótce wyzdrowiejesz, mateńko. A wtedy wszystko się ułoży. Wyjdiesz stąd. Ojciec nie jest przecież człowiekiem wyzbytym miłosierdzia...

Krótko potrząsnęła głową.

- Nigdy stąd nie wyjdę - odrzekła cicho. - Ale ty powinnaś!

Nie poddawała się. Westchnęłam. Co miałam jej powiedzieć? W tej chwili byłam bardziej niż kiedykolwiek

pewna, że nigdy, nigdy jej nie zostawię. Zostanę przy niej, będę z nią spędzać każdą wolną chwilę. Jeśli niewolnicy chcieliby powiadomić o tym ojca, potrafię ich powstrzymać. I nawet jeśli on będzie grzmiał i ryczał, to będę giętka, ale uparta, jak gałązki wierzby, on przecież nie może rozdzielić mnie na resztę życia z matką.

Podniesiona na duchu tymi myślami, uściskałam ją mocno.

- Nigdy od ciebie nie odjadę, mamó! Ty wyzdrowiejesz! Będiesz silna i zadowolona, jak dawniej. No powiedz, że tak będzie, mamó!

I wtedy ona nareszcie się uśmiechnęła. Odwzajemniła uścisk.

- Rebeka, moja kochana, niech więc będzie, jak chcesz...

Długo siedziałyśmy mocno objęte, a ja dziękowałam jej za piękną historię o pucharze boga Słońca, co ją jeszcze bardziej radowało. Przyciskała do piersi moją dłoń.

- Czujesz? Czujesz to? Tutaj powinien być ten puchar. Ale moje serce uderza tak głucho. Ty dostaniesz puchar, Rebeko. On na ciebie czeka, czeka, aż przyjdiesz... on się znajduje gdzieś wzdłuż drogi, którą pójdziesz.

Skinęłam głową.

- Jaka piękna legenda, mamó. Piękna jak ty.

- Piękna jak Nil wiosną, jak samo słońce. - I uśmiechnęła się szeroko. - Jak łania w świetle poranka, najpiękniejsze ze wszystkich stworzeń... Kiedy byłam mała, wybrałam łanię, żeby towarzyszyła mojej Ba, mojej duszy. Nie zdecydowałam się na węża ani na groźną hienę... tylko na łanię. Bo ona jest najładniejsza.

Śmiałyśmy się do siebie, w głębi duszy odczuwałam wstyd, że z takim zadowoleniem słucham pogańskich

i > powieści. Ale brzmiały tak słodko w moich uszach. I w sercu.

Zjadłyśmy jeszcze trochę daktyli, napiłyśmy się wina i wody.

Potem pomogłam się mamie przebrać, umyłam ją, uczesałam włosy. Stały się teraz jeszcze jaśniejsze, popielatoszare, zniszczone. Przypudrowałam je, wyszczotkowałam i wkrótce przynajmniej pachniały jak dawniej.

Za pomocą szpilek i wstążek upięłam je w koronę. Mama przypominała teraz królową. Znowu była panią domu. Cieszyłam się na jej widok i prawie zapomniałam, że jest uwięziona.

Usiadłyśmy przy małym stoliku, który stał w jej pokoju, i wyjęłam z koszyka robótkę. Stwierdziłam, że mama jej nie tknęła.

Z zapałem zaczęłam szukać odpowiedniej jedwabnej włóczki, żeby trochę pohaftować. Mama przyglądała mi się z bardzo dziwnym uśmiechem.

- Nigdy nie lubiłam szyć - rzekła cicho.

Uśmiechnęłam się.

- Lubiałam lepić coś z gliny. Gлина na brzegach rzeki była tłusta i miała niebieski kolor. Puchar, który ulepiłam, był twardy niczym kamień. Ale twój puchar jest złoty, gołąbeczko.

Gołąbeczko.

To pieszczotliwe imię mojej siostry.

Chciałam zapomnieć o bolesnym ukłuciu w sercu i skupiłam się na hafcie. Cóż mogłam odpowiedzieć na słowa mamy? Długo siedziałyśmy w milczeniu. W domu nie było słychać nic oprócz kroków niewolnic ponad naszymi głowami i dalekiego echa szczekania psów w miasteczku. Nie słyszałam nawet wiatru poruszającego koronami cyprysów.

I zanim zdałam sobie z tego sprawę, dzień znowu miał się ku końcowi. Mama robiła się senna, wiedziałam, że niebawem przyjdzie niewolnica przygotować ją na noc.

- Muszę iść. Ale jutro będę tu zaraz po wschodzie słońca. Gdy tylko zauważę, że niewolnica stąd wyszła.

Mama uśmiechnęła się.

- Znakomicie, ale teraz muszę cię ucałować na dobranoc.

Objęłyśmy się jeszcze raz.

Po spędzonym z nią dniem czułam się lekka i zadowolona. Pełna nadziei.

Następnego ranka niewolnica obudziła mnie wcześnie.

Moja mama umarła. Niewolnica miała zapłakaną twarz i opowiedziała mi, że zła narośl w brzuchu mamy w końcu ją zabiła. Ta straszna choroba nie jest zakaźna, ale potworna jak sama śmierć. Pani musiała bardzo dzielnie walczyć, opowiadała niewolnica, bo taki wielki wrzód w brzuchu powinien ją zabić dużo wcześniej.

9

Opuściliśmy teraz już prawie zupełnie wyludniony dom o brzasku. Wozy i konie lśniły wypucowane. Ojciec siedział w pierwszym, ja i służące w drugim wozie. Żaden z naszych sąsiadów nie przyszedł, by nas odprowadzić do Jerozolimy, do krypty, którą mój ojciec wybudował dawno temu i gdzie zamierzał spoczywać obok swojej małżonki.

Nie wiedziałam, co ojciec czuje, przez te wszystkie dni był spokojny i milczący. Wysyłał jednak nieustannie licznych posłańców, przybywali rozmaici kupcy, którzy wywieźli z naszego domu wszystkie wartościowe rzeczy. Meble, srebro, dywany, jedwabne zasłony, sprzęty kuchenne, dzbany z winem z piwnicy, nawet świąteczne ubrania rodziców zostały wyniesione.

Z wewnętrznej izby zniknęły wszystkie kosztowne ozdoby, nawet złote zapinki od stroju ojca do modlitwy.

Niewolnicy ocierali oczy, ale nie byli w stanie ukryć uśmiechów ulgi.

Pogrzeb mojej mamy bardzo, ale to bardzo się różnił od pogrzebu siostry.

Tuż za miastem, w miejscu, gdzie wielki akwedukt zbliża się do drogi, czekała na nas spora gromada ludzi. Były wśród nich płaczki i mężczyźni odmawiający modlitwy, domyśliłam się wkrótce, że to ojciec ich wynajął. Przyłączyli się do pogrzebowego orszaku wielkim, zawodzącym tłumem, krzyczeli tak głośno,

że miałam ochotę poprosić, żeby sobie poszli. Zanim dotarliśmy do Golgoty, spotkaliśmy jeszcze wielu kapłanów, którzy też się do nas przyłączyli. Dźwigali duże ilości zwierząt ofiarnych.

I jeszcze jedna grupa zawodzących żałobników czekała na nas przy domu Antonii. Rozpoznałam wśród nich wielu ludzi, z którymi ojciec prowadził interesy oraz ich rodziny. Nim żałobna procesja mojej matki dotarła do świątyni, liczba żałobników, moim zdaniem, przekroczyła setkę. To jednak nie było co.

Przeprowadzono nas przez Owczą Bramę i wkrótce dotarły do nas krzyki z hal rzeźników. Normalne w tym miejscu wołania handlarzy zwierząt, lichwiarzy i pisarzy nie mąciły mojej ciężkiej żałoby. Ale widziałam tych ludzi, patrzyłam na nich jakby martwymi oczyma. Zwróciłam uwagę, że jedna z kobiet ma spódnicę rozdartą na całej długości. I że jeden rzymski żołnierz zasypia na swoim posterunku, a rabin poci się pod swoim dumnym nakryciem głowy.

Twarz mego ojca była jak z gliny.

A na straganie zobaczyłam, wystawione na sprzedaż, świeczniki z jego pokoju do modlitwy.

Ceremonia była długa, odprawiana w gęstym dymie kadzidła. Siedmiu rabinów modliło się o spokój mamy. Siedem par rąk wyciągało się do nieba i błagało Pana, by okazał łaskę duszy tej nieszczęsnej kobiety.

Składano w ofierze wielkie ilości gołębi, poświęcono też jedno duże cielę i cztery jagnięta. Kiedy inni przemawiali na cześć mamy i posyłali w niebo nieustające modły za zmarłą, ojciec stał bez ruchu.

W końcu jednak ruszyliśmy w stronę miasta, tym razem przez bramę w kierunku Jaffy. Droga wiła się między wielkimi, starymi drzewami. Nareszcie dotar-

lismy do niewielkiego, przypominającego świątynię budynku. Uniosłam głowę i zobaczyłam dach w kształcie piramidy.

Serce załomotało mi w piersi.

Egipski grobowiec?

Weszliśmy do małego, chłodnego pomieszczenia. Dostrzegałam reliefy na ścianach: wizerunek dwóch < >krętów wykuty w kamieniu. Morze było wzburzone.

Odwrociłam głowę, wstrzymałam oddech.

Łania.

Ojciec stał tak blisko mnie, że wyczuwałam jego ramię tuż przy moim. A więc tutaj będzie spoczywać mama. Na to wydał nasze ostatnie pieniądze, sprzedał wszystko, by jej ofiarować to mauzoleum. Grób godny najszacowniejszego mężczyzny!

Patrzyłam na reliefy, na siedmioramienny świecznik, były całkiem nowe, zrobione specjalnie dla niej.

Albo dla niego.

W tym niezwykłym kamiennym budynku były dwa pomieszczenia. Przy każdych drzwiach zawieszono metalową płytę, mieniającą się jak ze złota. Na jednej z nich ojciec kazał wyryć moje imię, na drugiej - swoje. Tutaj powinna też leżeć Tabitha. Mamie na pewno bardzo by się podobały te piękne, powyginane litery.

Widziałam, jak wnoszą jej ciało, zawinięte w ładne, lniane prześcieradło.

Ja stałam i stałam, aż ktoś ujął mnie za ramię i wyprowadził znowu w upał.

Myślałam, że wrócimy do domu, ale powóz ojca skierował się ku miastu, tam zatrzymał się przed bramą, którą z trudem rozpoznałam: rezydencja rodziny Bar-Katrosa. Mieliśmy być gośćmi najbardziej szanowanej rodziny w Jerozolimie. Zakłopotana patrzyłam

na niewolników podających nam wodę do mycia i miękkie ubrania.

Ojciec pomógł mi przy wysiadaniu z wozu. Trzy kobiety skłoniły się nisko przed nim i kiwały ku mnie zapraszająco. Poszłam za nimi.

- Oporządź się teraz, córko, jak przystoi pogrążonej w żałobie kobiecie. Nakryto tu dla nas tak, byśmy mogli zaprosić przyjaciół i uczcić pamięć twojej matki.

Byłam kompletnie zaskoczona.

Co się stało?

Czyżby cała Jerozolima znowu przyjęła nas do łask, mimo że w Betlejem nikt nie zapomniał hańby Tabithy?

Pozwoliłam, by mnie myto i ubierano. Głowa moja ponownie została nakryta, a zapach różanej wody z włosów dodawał mi sił.

Potem poprowadzono mnie przez długie, pięknie ozdobiane korytarze do dużej sali.

Takiego długiego stołu jeszcze nigdy nie widziałam. Musiało się tu zebrać chyba ze sto osób, wszyscy ubrani żałobnie, ale w najdelikatniejsze materiały z wełny i lnu. Pokój dzieliło na dwoje coś w rodzaju żywej ściany - bluszcze pięły się i wiły na bambusowych łukach.

Po jednej stronie siedziały kobiety, po drugiej mężczyźni, a u szczytu mój ojciec z kapłanem.

Ledwie mogłam oddychać.

Przepych może nie dorównywał domowi Mira, ale kiedy zapalono świece, to blask złota i drogich kamieni odbijał się niezwykłym bogactwem. Cudownie pachniało muszkatem, cynamonem, pieprzem i innymi przyprawami.

Przeszłam przez pokój na chwiejnych nogach i usiadłam po kobiecej stronie. Rozpoznawałam wiele twa-

r/y, ale nie mogłam tym ludziom wybaczyć, że nie pokazali się u nas po śmierci Tabithy.

Przy męskiej części stołu kapłan rozpoczął znowu modły ofiarne i czuliśmy woń dymu oraz swąd palonych piór. Modlitwy przez dłuższy czas wznosiły się i opadały, kilku mężczyzn odśpiewało żałobne psalmy, po czym wniesiono jedzenie. Daktyle aż z Jerycha, te najznakomitsze, jak wiadomo... i ryby łowione w specjalne naczynia w Magdali, wyjątkowy delikates.

Jadłam pieczonego ptaka, nie czując, jak smakuje.

Kobiety obejmowały mnie, głaskały po plecach, przemawiały do mnie.

Nie odczuwałam nic, rozumiałam tylko, że mój ojciec kupił te oznaki czci i dlatego są one absolutnie nic nie warte. Jak cesarska obietnica.

W miarę trwania uczty szum głosów narastał. Dla mnie wszystkie dźwięki zlewały się w jedno: suche szloch płaczek, pytania służby, modlitwy gospodarzy, bicie mego serca.

Siedziałam zamroczona i półprzytomna, nie byłam przygotowana na więcej ciosów tego dnia. Wtedy jakiś głos wdarł się do mojej głowy. Wysoki, proszący głos, który przemawiał do towarzystwa po tamtej stronie zielonej ściany.

Zaległa cisza. Nawet dźwięk bębenka umilkł.

To był ten sam głos, który obwieszczał wyrok na Tabithę.

To sędzia Achholais przemawiał do towarzystwa, najwyraźniej odczytywał jakiś list.

Krew bardzo wolno płynęła w moich żyłach, kiedy pojęłam, że to jest ostatnia woła mojej matki, jej przesłanie dla nas, którzy zostaliśmy na świecie.

Słuchałam, choć ogarniała mnie panika i za nic nie chciałam tego słyszeć.

Nie mogłam uwierzyć w to, co do mnie docierało, ale równocześnie zdałam sobie sprawę z tego, że nareszcie znalazłam odpowiedź.

Ktoś musiał mnie wyprowadzić z pokoju w tumultcie, jaki zapanował, kiedy sędzia skończył czytanie. Niewiele pamiętam, tylko twarz ojca, którego widziałam przez krótką chwilę, nadal siedzącego na honorowym, kapłańskim miejscu. Był kompletnie ogłupiały.

Ludzie wstawali od stołu, w ich twarzach nie było już udawanej żałoby, tylko wściekłość. Ale na kogo?

Kobiety wyprowadziły mnie do jakiegoś spokojniejszego pokoju i zdaje mi się, że tam zemdlałam. Kiedy odzyskałam przytomność, znajdowałam się w małej, kwadratowej izdebce, widziałam odłóżkę od ścian wapno, czułam zapach starego sera i kwaśnego mleka. Gruchanie gołębi, krzyki zwierząt ofiarnych. Czy dobiegały ze świątyni?

Wolno usiadłam na posłaniu. Jakaś stara kobieta siedziała na stołku przy drzwiach. Pokiwała ciężko głową i powiedziała do mnie:

- Biedna dziewczyna. Niech cię Pan ma w opiece, sieroto...

Pomyślałam, że ojciec umarł.

Jeszcze dźwięczały mi w uszach słowa sędziego, słowa mojej matki!

O tym, że ona nigdy nie należała do żydowskiego Pana.

O tym, że już dawno skierowała swoje serce na powrót ku pucharowi boga Słońca. I o tym, że nigdy nie wybaczy Panu, nie wybaczy mu tego prawa, z powodu którego jej córka umarła w hańbie.

I najgorsze ze wszystkiego: Matka wyparła się swojej wiary, swego domu, męża i dzieci. Wiedziała, że po tych słowach Zachariasz nigdy nie będzie mógł spocząć u jej boku, ani za życia, ani po śmierci.

Pozwoliła, by sędzia publicznie odczytał jej wyznanie, iż Zachariasz nie jest ojcem swoich córek.

Zycie bowiem zostało w niej poczęte trzykrotnie i zawsze wtedy była ze swoim kochankiem.

Trzy razy, w ciągu dwudziestu lat małżeństwa.

Dwie żywe córki, jedna martwa.

Uważałam, że Zachariasz mógł być temu zaprzeczyć. Mógł to wszystko nazwać kłamstwem! Stara kobieta opowiedziała mi jednak, że Zachariasz rozdarł tylko koszulę na piersi i ze spuszczoną głową opuścił towarzystwo. Nawet nie wziął od sędziego listu. Odwrócił się jeszcze w drzwiach i ze stężałą twarzą zawołał, że nie muszą się zastanawiać nad tym listem, bo to wszystko prawda.

Potem wyszedł.

- Ale ten dom należy do niego. Oboje moglibyście tu zamieszkać, żyć tutaj. Daje mi przyzwoitą zapłatę za to, że utrzymuję wszystko w porządku, i mam nadzieję, że pani będzie ze mnie zadowolona, młoda gospodyni.

Patrzyłam na nią bez słowa. Jej pomarszczona stara twarz właściwie wydawała się przyjazna. Widziałam, że to biedna kobieta, być może wdowa, prawdopodobnie nie byłaby w stanie pojąć moich poplątanych myśli.

Próbowałam wstać. Staruszka przekuśtykała przez izbę i starała się mi pomóc.

- Pozwól mi... twój ojciec wkrótce pewnie wróci. On wie, że się tobą zaopiekuję, sam ma mnóstwo spraw do załatwienia, biedny człowiek. Po tym... Panie, zmiłuj się nad nim.

Westchnęła tak ciężko, że nogi pode mną zadrżały.

- Pieniędzy na jedzenie mamy dość, wystarczy na wiele szabasów. Damy sobie radę, nie pozwolę ci głodować. Ale szczerze mówiąc, mam nadzieję, że on niedługo wróci...

Zdanie zamarło jej na wargach. W jej oczach wyczytałam to czego się tak przelękałam.

Największa hańba z możliwych - samobójstwo!

Jedyny grzech, jakim moja rodzina się jeszcze nie obciążyła.

Zagryzłam wargi i pomyślałam sobie, że właściwie jest mi wszystko jedno. Dla mnie ojciec może się równie dobrze rzucić z dachu świątyni albo z jakiejś wysokiej skały.

Cała jego władza rozwiąła się. Cały honor wsiąkł niczym rosa w pustynny piasek.

W mojej piersi razem z bólem serca rozrastało się jakieś nowe, nieznane uczucie.

Biedny, biedny Zachariasz!

Dziwne, ale wszystko jakby zyskało sens. On nie jest moim ojcem. Nie był ojcem Tabithy!

Wszystko stało się jasne i wszystko można było wybaczyć.

Wiedziałam, że mogę go teraz znowu spotkać i przywitać pełnym szacunku pocałunkiem, jak oddana i kochająca córka.

Zachariasz wrócił trzeciego wieczora i miał ze sobą dwóch tragarzy. Niektóre rzeczy przywiezione z Betlejem zostały rozpakowane, parę garnków, kubki, trochę ubrań, ale nic, co by należało do matki, żadnych też moich rzeczy, z wyjątkiem najlepszych butów z cielęcej skóry.

Jego rzeźbiony fotel został wniesiony na dach. Wnie-

siono tam też spory kawał płótna, domyślałam się, że Zachariasz zamierza zrobić z niego zasłonę od słońca i wiatru.

Tragarze dostali w zamian za pracę po suszonym baraním udźcu.

Zapas jedzenia został złożony w izbie, za paleniskiem, jeden z tragarzy z trudem wtaszczył na dach ciężką skrzynię. Były w niej zwoje zapisanego papirusu i jakieś inne ciężkie rzeczy.

Domek był taki mały i pusty, że początkowo myślałam, iż należy do służącej. Niestety, tutaj będziemy musieli mieszkać. Spać, jeść, modlić się i płakać w tym samym pomieszczeniu.

Z dachu słyhać było kroki ojca. Pod ich ciężarem na moją głowę sypało się z belek pod sufitem wapno. Na podłodze powstawała coraz wyraźniejsza ścieżka. Nawet się z nami nie przywitał, kiedy przyszedł, jakby nas w ogóle nie zauważył.

Obie ze służącą miałyśmy spać na wąskiej ławie, grube wełniane okrycia pachniały potem i dymem.

Stara kobieta zasnęła natychmiast po zjedzeniu kapuścianej zupy.

A ja patrzyłam na słońce wolno przesuujące się w stronę horyzontu. Nie odważyłam się jednak wyjść z domu, nie odważyłam się zawołać ojca. Siedziałam na zimnej podłodze. Nareszcie mogłam opłakiwać zmarłą matkę.

Łania.

Gazela...

Służąca obudziła się o zmierzchu. Pokaszując i stęskając, ciężko wstała i przeprosiła, że lampa jeszcze nie zapalona.

Nie słuchałam jej, ale ona nie przestawała mamrotać. Zdaje się, że opowiadała o swoich głodnych wnuczkach. Poinformowała mnie też, że mój ojciec prosił ją, by przychodziła wcześniej i wychodziła późno. Czy chciałabym jeszcze zupy? Bo jak nie, to ona zabierze dla dzieci, które nieustannie są głodne...

Kiwałam zamroczona, płacz odebrał mi zdolność mówienia.

Odmówiła krótką modlitwę, powiedziała, że studnia znajduje się przy sąsiednim domu, ale że nie powinnam wychodzić po zapadnięciu zmroku, bo ta dzielnica nie należy do bezpiecznych. Pożegnała się i zniknęła.

Nie zamierzałam nigdzie wychodzić.

Od siedzenia na twardej podłodze cała zdrętwiałam. Bolało mnie wszystko, ale się nie ruszałam.

Siedziałam, słuchałam i dziwiłam się.

W końcu usłyszałam szuranie drabiny na dachu, po chwili drabina zsunęła się na dół. Jak z nieba. Tyle że ja, odmiennie niż Jakub, nie widziałam żadnego blasku. Ani aniołów. Najpierw zobaczyłam stopy mego ojca, a potem całą jego sylwetkę. Twarzy w mroku rozróżnić nie mogłam. Wstałam jednak niezdarnie i ruszyłam, żeby go ucałować.

Najpierw bił mnie otwartą dłońią, wiele razy w oba policzki. Krzyczał przy tym głośno, a ja czułam, że wyrywa mi włosy z głowy. Piekło mnie potwornie, więc chyba i ja krzyczałam. Cisnął mnie na podłogę, ale włosów nie puścił. Miotał we mnie najpaskudniejsze wyzwiska. Niektórych w ogóle nigdy nie słyszałam, ani w jego ustach, ani od nikogo innego. Wiedziałam jednak, co oznaczają: Zachariasz nazywał mnie, moją matkę i zmar-

tą siostrę upadłymi kobietami. Kobietami, które sprzedają się poganom, którymi targają diabelskie żądze.

Długo bił mnie i kopał, ja jęczałam, ale nie pamiętam, bym próbowała się bronić.

Miał na nogach miękkie buty, ale i tak usłyszałam w pewnej chwili trzask żebra, które złamał mi potężnym kopniakiem.

W ustach czułam smak żółci i z trudem chwytałam powietrze. Ból przenikał mnie niczym rozpalone ostrze, nie byłam w stanie napełnić płuc, nie byłam też w stanie krzyczeć.

Słyszałam jego wrzaski gdzieś ponad moją głową, większość z tego, co wykrzykiwał, do mnie nie docierała. I nagle przestał.

Próbowałam się pozbierać, czołgałam się po podłodze niczym udręczone zwierzę. Nie widziałam ojca, coś spływało mi na oczy i przesłaniało wzrok.

Kiedy uniosłam rękę, żeby otrzeć czoło, zrozumiałam, że to ciepła krew. Chciałam zakaszczyć, ale przy pierwszej próbie przeszył mnie straszliwy ból. Złamane żebro wbijało się w mięśnie. Mimo wszystko oparłam się o wysoki stołek i próbowałam się wyprostować.

On stał przede mną i dyszał niczym wielki wół. Nie pamiętam, czy bałam się dalszych razów, kiedy zbliżył się do mnie szybkim krokiem.

Gdy jednak złapał mnie za suknię na piersi, udało mi się wciągnąć powietrze do płuc i zacząć krzyczeć. Ból rozsadzał mi piersi, ale krzyku nie można już było powstrzymać.

Zachariasz złapał mnie za nogę, wykręcił ją i znowu rzucił mnie na podłogę. Szarpnął jeszcze raz, urwał jeden rękaw, ramię miałam nagie, leżałam na zimnej podłodze.

- Ty dziwko! - wysyczał znowu.

Nie powiedziałam nic, mgła znowu przesłoniła mi wzrok.

- Ulicznica! Kurwa! Brudna dziwka, córka suki! Będziesz się palić w wiecznym ogniu, ty nierządniczo babilońska!

Oślaniałam się ramionami, chciałam ukryć piersi, zanim zedrze ze mnie resztki ubrania. Nieoczekiwanie jednak razy ustały, przestał też mnie kopać. Szlochając, niemal całkiem naga, chciałam wykrztusić prośbę o litość, ale ugryzłam się w język i nie wydusiłam z siebie ani słowa.

Kiedy próbował siłą rozewrzeć moje nogi, poczułam, że gdzieś w głębi mojej istoty narasta wycie.

Potem straciłam przytomność i nie wiem już, co się działo, zanim przyszedł Mir. On mnie podniósł, okrył, poprzez rwący ból poczułam, że znowu siedzę na koniu, a za mną siedzi mężczyzna.

To właśnie wtedy myślałam, że nie żyję, bo widziałam uśmiechającą się do mnie mamę, czułam jej rękę na czole i delikatne dźwięki starej kołysanki. Była tam też Tabitha, trzymała mnie za rękę, smarowała moje ciało leczniczym balsamem. Wszystko było piękne, ciche i jasne.

Kiedy się w końcu ocknęłam, znowu przenikał mnie ból, a posłanie cuchnęło cierpko wymiocinami.

Pograżałam się w świetle, a potem znowu w ciemności, aż głos Mira mnie z tego wyrwał. Jednego oka nie mogłam otworzyć, ale drugim widziałam go dość wyraźnie.

- Masz się znacznie lepiej - powiedział cicho. - Przeważnie otarcia, choć nie wyglądają za dobrze. Żebro też się wkrótce zrośnie. Badał cię najlepszy lekarz, on mówi, że żebro nie jest złamane, tylko pęknięte. I nie zostałeś też skrzywdzona... pod innym względem. Znaleźliśmy cię na czas. W ostatniej chwili.

Nie mogłam nawet skinąć głową.

Powoli udało mi się stwierdzić, że usta nie są uszkodzone. Coraz wyraźniej widziałam twarz Mira. Miała na sobie niebieską koszulę, a na niej skórzaną kamizelkę aż lśniąca od srebra i złota.

- Musimy cię stąd zabrać, jak najszybciej. Myślisz, że zdołasz utrzymać się na koniu? Już dzisiejszej nocy?

Pochylił się nade mną. Dostrzegłam za nim jakieś kobiety o zatroskanych twarzach. Jego żony?

W każdym razie miały na sobie piękne ubrania i drogie kamienie we włosach.

- Wszystko ułożyło się źle, moja droga, od naszej ostatniej rozmowy. Wydarzyła się katastrofa. Urządzono krwawą łaźnię i ja już chyba nie potrafię cię obronić. Musisz wyjechać. Spełnisz życzenie swojej matki, bo ona była chyba mądrzejsza niż ktokolwiek z nas. Musisz wracać do domu.

Delikatnie dotknął mojego ramienia.

- Do domu! Rozumiesz, Rebeko?

Rozumiałam. Ale nawet przełknięcie śliny było dla mnie taką udręką, że ciemniało mi w oczach. Miałam wrażenie, że gardło pełne jest siniaków i okaleczeń.

Mir uśmiechnął się ostrożnie.

- Pozwól, niech one cię jeszcze raz opatrzą, gołąbeczko. Teraz musisz mi ufać, żeby nawet mój plan wydał ci się nie wiem jaki niedorzeczny.

Nawet nie zdążyłam mu podziękować.

Kobiety smarowały maściami moje rany, zmusiły mnie, bym weszła do ciepłej kąpieli. Dzięki temu ból nieco zelżał, w głowie mi się rozjaśniło. Ale gardło bolało okropnie. Dotknęłam palcami najbardziej bolesnego miejsca - byłam opuchnięta. Czyżby on próbował mnie udusić?

Kobiety miały łagodne twarze i delikatne ręce, dawały mi pić z malutkich miseczek. Rozpoznałam zapach opium.

Pomogło. Kręciło mi się w głowie i czułam się jakby pozbawiona konturów, ale mogłam się poruszać i nie sprawiało mi to bólu. Nogi były w stanie mnie utrzymać i oddychałam też swobodniej.

Zaprowadziły mnie do drugiego pokoju i ubrały w taki dziwny strój, że minęła dłuższa chwila, nim pojęłam, o co chodzi. Był to bowiem strój rzymskiego żołnierza.

Zanim zrozumiałam, co się dzieje, obcięły moje długie, gęste włosy i uczerniły mi twarz węglem.

Buty miałam wysokie, twarde i dużo za duże. Kolczuga okazała się ciężka niczym wiadro wody, czułam, że przyciska mnie do podłogi. Dostałam również szeroki pas i rękawice wzmacniane żelazem na kostkach rąk.

Na dworze znowu mi się zakręciło w głowie, chociaż powietrze było chłodne.

- Musisz siedzieć na koniu jak mężczyzna. To nie jest takie trudne.

Do ręki wsunięto mi butelkę.

- To przeciw bólowi. Ale tylko malutki łyżeczek i nie więcej niż pięć w ciągu nocy...

Pozwoliłam, by posadzono mnie na koniu, który sprawiał wrażenie spokojnego. Bardzo nieprzyjemne było uczucie, że obejmuję udami grzbiet zwierzęcia.

Usiadłam jednak wygodnie, przywarłam nogami do siodła i położonej pod nim derki. Towarzyszyło mi dwóch konnych mężczyzn, każdy z oszczepem i mieczem. Za siodłami kołysały się tobołki w skórze i płótnie.

Ruszyliśmy. Nie byłam w stanie nawet się odwrócić, by podziękować Mirowi lub zapytać go jeszcze o cokolwiek.

Jechaliśmy w ciemnościach przez równinę, drogą, którą znałam.

Nieliczni pasterze odwracali głowy w szarych kapтурach, gdy przejeżdżaliśmy. W ich oczach czaił się lęk.

Była jeszcze pełna noc, gdy dotarliśmy do skrzyżowania ze starym drzewem, pod którym spotykałam się z wysłannikiem Mira. Jechaliśmy dalej w stronę mojego rodzinnego miasta.

Nie rozumiałam dlaczego, ale mężczyźni wieźli mnie prosto do domu Zachariasza. Zatrzymali konie przy podłach, a wodą ze studni napełnili bukłaki. Potem poprosili, bym zaczekała. Może mogłabym się położyć i odpocząć chwilę?

Musiałam zasnąć.

Kiedy wrócili, do mojego siodła przytroczyli jeszcze jeden węzełek.

- Twój spadek - uśmiechnął się jeden. Nie dotknął mnie, ale czułam jego spojrzenie jak łagodną pieśczo-tę na skórze.

Miał na imię Ennio, ale czy był żołnierzem, jak na to wskazywał strój, czy raczej niewolnikiem, którego Mir dał mi do towarzystwa i opieki, nie wiedziałam. To jednak ten sam posłaniec, który tamtej nocy zawiózł mnie po raz pierwszy do domu Mira.

Byłam zbyt słaba, żeby się nad tym zastanawiać. Może za często popijałam z mojej buteleczki.

W każdym razie ból mi specjalnie nie dokuczał.

Niczego innego zresztą też nie odczuwałam, z wyjątkiem kołysania się końskiego ciała pode mną.

I bicia serca Ennio za mną.

10

Nie wiem, jak długo jechaliśmy. Noc była ciemna, miałam wrażenie, że duszna i zarazem chłodna. Mężczyzna, który jechał pierwszy, miał na sobie kolczugę, połyskującą delikatnie w mdłym blasku księżyca. Bez trudu mogliśmy podążać za nim, niczym płomień znaczył ścieżkę, po której się posuwaliśmy. Za sobą słyszałam jedynie stukot końskich kopyt po kamieniach i żwirze. Każdym mięśniem odczuwałam ciężkie ruchy wierzchowca, z każdym jego krokiem moje ciało było bardziej obolałe. Ból sprawiał, że gdy szedł szybciej, jęczałam cicho. A kiedy mijaliśmy wąską rzeczkę i teren stał się wyjątkowo nierówny, zaczęłam po prostu krzyżeć.

Wtedy w ciemnościach rozległ się głos Ennio:

- Musimy odpocząć, Horatio. Ona ma boleści.

Zamienili jeszcze kilka słów w języku, który uznałam za mowę Rzymian, a ja poczułam z ulgą łagodne mrowienie w całym ciele. Będziemy mogli odpocząć!

Zamiast jednak rozłożyć się na porośniętym trawą brzegu rzeczki, nasz przewodnik jeszcze zwiększył tempo. Jego koń ruszył galopem.

I Ennio, żeby go nie stracić z oczu, jadąc tuż przy mnie, popędzał łagodnie mojego konia. Straszny ból przeszywał moje członki, koń szedł w rytmie, któremu ciało nie było w stanie się podporządkować. Rzucało mną i szarpało, w przód i w tył, ciche popiski-

wanie było jedynym protestem, na jaki mogłam się zdobyć.

Nie była to pewnie żadna szalona jazda, ale przeżywałam ją tak, jakby diabeł szarpał moje poobijane ciało. Ciche słowa Ennio docierały do mnie jak dalekie, zamierające próby pociechy.

Kiedy konie nareszcie się zatrzymały, byłam wykończona i bliska omdlenia. Jęknęłam, gdy ktoś pomagał mi zsiąść z konia, i opadłam na zimną skałę. Poczułam kwaśny odór z własnych ust, wiedziałam, że kurz i brud oblepiają moje niedawno tak starannie wykąpane ciało. W zębach trzeszczał mi piasek, plułam żółcią. Podtrzymywały mnie silne ramiona, ale ja pragnęłam tylko położyć się w tym kurzu i umrzeć!

- Daj jej jeszcze kilka kropel, wytrzyma - rzekł drżący męski głos, docierający do mnie z daleka.

Potem poczułam pod brodą przyjazny dotyk palców. Nie miękkich, raczej szorstkich, jak ręce kowala lub woźnicy. Ale tak delikatnie dotykały mojej obolałej skóry, podtrzymywały moją głowę, a kciuk łagodnie pogłaskał wargi, by się otworzyły.

Cierpki napój wpłynął mi do ust, ale smak wydał mi się teraz przyjemny. Potem dostałam do popicia wina, które moi towarzysze wieźli w przytroczonych do sodeł workach z pęcherzy zwierzęcych.

Trochę pomogło.

Na tyle, że otworzyłam oczy i dostrzegłam, że smuga światła między ciężkimi chmurami na wschodzie oznacza, iż niedługo znowu wszędzie słońce.

- Chodź, znajdziemy tu jakieś schronienie. Zapowiada się deszczowy dzień.

W blasku wschodzącego słońca twarz Ennio rozja-

śniła się ciepłem, które zdawało się ogrzewać moje serce. Jego oczy miały barwę złocistego bursztynu, patrzyły na mnie spod długich, ciemnych rzęs.

Znowu mnie prowadzili, podpierając z obu stron, ale tym razem byłem w stanie choć trochę posługiwać się własnymi nogami. Byłam oszołomiona, ale chyba nie tak bardzo jak przedtem, w każdym razie wyczuwałam dziwny zapach płynący do mnie od Ennio.

Coś niezwykle... znajomego?

Po paru krokach podtrzymywał mnie już tylko on i dla kobiety takiej jak ja, która już dawno utraciła cześć, nie był to czas na niezwykle doznania. Wspierałam się na nim całym ciałem i oddychałam prosto w jego ucho, kiedy mnie w końcu wziął na ręce i przeniósł ostatni odcinek jak dziecko.

W coraz jaśniejszym świetle poranka widziałam rysujące się na horyzoncie wielkie góry i niezwykle formacje skalne. Znajdowaliśmy się w jakiejś wymarłej okolicy, jakby na pustyni, ale panował tu chłód i gdzieś tam rośli jakieś karłowate krzaki.

Zanim znaleźliśmy się pod szeroką skalną półką, wyczułam zapach owiec. Przed nami otwierała się grota. W głębi znowu otoczyła nas ciemność, tutaj jeszcze światło od wschodu nie docierało.

Ennio jakby się przez chwilę wahał, wciąż mnie trzymał, ręka pod moimi kolanami lekko drżała. Może jestem za ciężka? Nie, nie wydawało się, bym mu bardzo ciążyła. Po chwili zrobił parę kroków w stronę ciemności i położył mnie na twardej, zimnej skale. Na kamiennej podłodze groty znajdowało się parę garści pociemniałej słomy i kupki owczych bobków.

- Odpoczywaj, moja mała - powiedział cicho.

I wtedy właśnie po raz pierwszy jego głos sprawił,

że małe płomyki przeniknęły moje serce. Zrobiło mi się gorąco i zarazem poczułam lodowaty chłód.

Machałam rękami, kiedy mnie układał, miałam wrażenie, że zostawia na moim ciele palące znaki, znaki, które tylko on może ostudzić.

On jednak zrozumiał moje westchnienie jak jęk bólu, uklęknął więc obok mnie z workiem wina w ręce. Znowu to zdecydowane podparcie mojej głowy. Jego kciuk gładzący mój policzek. Ciepło jego dłoni - takie intensywne i niezwykłe, że aż się przeraziłam.

Rozległo się uderzenie kamienia w metal. W nagłym błysku światła zobaczyłam oczy Ennio utkwione we mnie. Jęknęłam.

W mroku wydawał mi się bardzo czarny. Czarne włosy, ciemna twarz, głęboko osadzone ciemne oczy.

Teraz zobaczyłam, że jego oczy są jasnoszare jak wełna na nowo narodzonym jagnięciu. Blask bursztynu zniknął, została barwa nieba w deszczowy dzień, kiedy chmury przesłaniają słońce.

Pomyślałam sobie: Tak człowiek musi odczuwać pchnięcie mieczem. Wszystko jakby ze mnie wypłynęło, krew wyciekała przez otwór po ostrzu, a ja tego nie zauważałam.

Co jest z tym mężczyzną?

Co się dzieje ze mną?

Pamiętałam uczucie, jakiego doznałam, kiedy dotknęła mnie ręka Mira, jakie ciepło to we mnie wywołało, aż się wtedy spociłam. Pamiętam niespokojne sny, jakie potem mnie nawiedzały...

To teraz jednak było nieskończenie silniejsze. Nieporównywalne z niczym, co dotychczas przeżyłam. Ale wciąż miałam wrażenie, jakbym już to poznała...

Oszołomiona i oślepią jego bliskością opadłam na ziemię.

W grocie płonął ogień.

Mieli ze sobą coś w rodzaju wiadra wypełnionego węglem, ustawili je bezpiecznie na kamieniach i teraz widziałam tam nieduże, spokojne płomienie.

- Zagotuj dla niej trochę wina. My też potrzebujemy gorącego napoju - mruknął Ennio do swego towarzysza.

- Musimy się przesunąć jak najdalej w głąb, aż pod samą ścianę. Najlepiej byłoby wprowadzić tu również konie. Jaka głęboka jest ta grota?

Słyszałam echo ich głosów, mocno zniekształconych w tym ciasnym pomieszczeniu we wnętrzu góry.

Grota przypomina grób, pomyślałam.

I zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, panowała cisza.

Obce dźwięki szumiały mi w uszach. Głowę miałam pełną jakichś obrazów ze snu, urywanych, nie mających ze sobą związku. Pamiętałam jednak, że śniła mi się mama. Stała, trzymając w rękach puchar boga Słońca, i chciała mi go dać. Kiedy wyciągnęłam ręce, by przyjąć dar, oparzyłam się tak boleśnie, że aż niemożliwe, żeby to był sen.

Ale dalszy ciąg snu... taki wyrazisty, że aż w tym rozdrzganym świecie między jawą a snem zaczęłam cicho wzywać matkę.

Ennio natychmiast znalazł się przy mnie.

Głaskał mnie po twarzy i szeptał jakieś uspokajające słowa.

- Spij, mała, i niech ci się śnią piękne rzeczy. To cię wzmocni, oczyści. Staraj się czerpać siłę z pucharu bo-

ja Słońca, w którym się przechowuje dobre sny, kochana Rebeko.

Odpłynęłam znowu. W sen.

Tym razem przyśnił mi się jakiś stary mężczyzna i młoda kobieta. Prawdopodobnie jego córka, bo jak na żonę była za młoda.

On obejmował mocno jej ramiona, tak jak to może czynić jedynie ojciec albo mąż. I ten mężczyzna rozmawiał spokojnie z moją mamą.

Patrzyłam na Anafinę jak w niezwykłym przedstawieniu, była taka piękna, zdrowa i... żywa! Gdzie się to wszystko działo? Nie w domu. Pokoju też nie znałam. Może to wspomnienie z czasów przed moim urodzeniem? Takie to wszystko obce...

Mama poruszała się, jakby płynęła ponad zasłaną słomą podłogą. Wpatrzona w szaroblada twarz obcej kobiety. Ojciec tamtej prowadził ją ku mamie.

Zdjął z niej płaszcz i położył na słomie obok Anafiny, mojej matki.

Ta kobieta lada moment miała urodzić dziecko.

Ręce oparła mocno na biodrach. Podciągała kolana pod sterzący brzuch. To był sen całkiem pozbawiony dźwięków. Postaci poruszały się płynnie, ale szczegóły dostrzegałam tak wyraźnie, że mnie to przerażało.

We śnie widziałam zmarszczone czoło rodzącej. Ciemna wilgoć tworzyła wzory na białym prześcieradle, które mama jej podłożyła.

Czerwona barwa na jej rękach, które uniosła w górę, kiedy już pomogła dziecku przyjść na świat.

Łzy na twarzy starszego mężczyzny, niepokój wśród owiec. Usta matki, takie miękkie i uśmiechnięte, kiedy podniesiono dziecko i światło mieniło się w różowosinej pepowinie wciąż łączącej maleństwo z ciałem matki.

Moja matka przecinająca pępowinę.

I otwarte usta młodej kobiety, z których płynęła bezgłośna modlitwa.

Obudziłam się gwałtownie, spocona i oszołomiona niezwykłym działaniem opium.

- Czy jest tu trochę wody? - wykrztusiłam.

Ennio odpowiedział natychmiast, siedział oparty o nasze tobołki i teraz pochylił się nade mną. Jego ręce nie drżały, kiedy wlewał do kubka świeżą, czystą wodę.

- Horatio przyniósł, kiedy ty spałaś.

Piłam uszczęśliwiona. A więc on przy mnie czuwał, widział mnie śpiącą. Tak blisko, tak blisko mnie był. Chyba nie ma większej bliskości niż ta, kiedy się patrzy na śpiącego człowieka. Bardzo chciałam opowiedzieć mu swój sen, powiedzieć, że widziałam mamę i że śniły mi się takie dziwne rzeczy o słońcu.

- Miałam sen. O dziecku. I mojej matce...

Patrzył na mnie, jakby wszystko wiedział. Umilkłam.

Popiłam jeszcze ciepłego, słodkiego wina. Pewnie dodał do niego parę kropli opium, bo natychmiast poczułam się spokojna i rozluźniona. Musieli rozpalić ogień, żeby podgrzać wino, ale później go chyba zgasili, bo w grocie nie czuło się wcale dymu.

We wnętrzu góry wszystkie dźwięki się potęgowały.

Na zewnątrz wył wicher.

- Co my tu robimy? - zapytałam cicho.

- Ukrywamy się - odparł Ennio.

- Przed kim?

- Przed tamtymi.

- Żołnierzami?

- Tak.

Ciężko przełknęłam ślinę i próbowałam jakoś zebrać myśli. Jego ramię obejmowało mnie, jakby to by-

ła najnaturalniejsza rzecz na świecie. Podtrzymywał mnie, gdy piłam, chociaż to nie było już konieczne.

Zaraz będzie mi musiał wyjaśnić więcej. Dokąd jedziemy? A jeśli mam rację, że jedziemy do Egiptu, to kto tam będzie na mnie czekał? I jak to się stało, że ja w ciągu zaledwie jednej krótkiej nocy czuję, jakbym niejedno życie przeżyła z Ennio, rzymskim żołnierzem?

Otworzyłam usta, żeby zapytać, czy ta wielka góra, która majaczy we mgle, to naprawdę Synaj.

Wtedy on przytulił swój policzek do mojego i wyszeptał ostrzegawczo:

- Musimy się zachowywać cicho. Bardzo cicho.

- Ale... co...

Wiatr zagłuszał nasze szepty. Docierał też do mnie plusk deszczu. Wichura się wzmagала. Mieliśmy tu sucho, ale skały nie grzeją. Czułam, że marznę coraz bardziej.

Obaj mężczyźni przysunęli się do mnie, wolno, ale zdecydowanie.

Powinnam się, naturalnie, bać. Taka sytuacja jak ta była niemal nie do pomyślenia dla pochodzącej z dobrego domu żydowskiej panienki. Tyle się jednak wydarzyło i ani przez moment nie stanęła mi przed oczyma twarz ojca. Nie brzmiały mi też w uszach długie tyrady kapłanów na temat cnoty. I wcale się nie bałam tych kanciastych i trochę niezdarnych żołnierzy, którzy chcieli mnie po prostu chronić i ogrzewać.

Przymknęłam oczy i rozkoszowałam się tym, że ramię Ennio spoczywa pod moją głową i że między naszymi ciałami znajduje się jedynie cieniutki strumień powietrza. Czułam zapach jego oddechu - stwierdziłam, że musiał niedawno żuć miętę, anyż lub inne odświeżające zioła. Zresztą może zmysły mnie zwodziły, jak we śnie?

Nagle zaczęły mnie piec oczy.

Sen obudził we mnie tęsknotę. Mama umarła. Mama już nigdy nie przyjdzie do mnie w ciężkich chwilach, by otrzeć moje łzy albo nucić mi na pociechę pozbawione słów pieśni, które tylko ona знаła.

Dlaczego ukazała mi się we śnie? Kim była ta kobieta, której mama pomagała? I jak to się mogło stać, że mnie przyśnił się poród? Przecież to jest doświadczenie, jakie posiada tylko kobieta zamężna i matka dzieciom. A może poród wcale tak nie wygląda, może to wszystko to tylko rojenia mojego udręczonego umysłu?

Nie mogłam się powstrzymać, musiałam kogoś zapytać, a przy mnie był tylko Ennio.

- Czy wiesz, jak wygląda pępowina?

Słyszałam, jak odwraca ku mnie głowę. Jego zapach stał się bardziej intensywny.

Usłyszałam nawet ten delikatny dźwięk, kiedy otwierał usta, by mi odpowiedzieć.

Szepnął:

- Masz na myśli ludzką pępowinę? Jak sznurek, si-
noniebieska i błyszcząca, splątana, z czerwonymi żyłkami tu i tam...

Skinęłam w zamyśleniu głową.

- Skąd o tym wiesz, Ennio?

Milczał przez chwilę, jakby się wahał, a potem szepnął:

- Widziałem we śnie...

Wtedy przysunęłam się do niego. Złożyłam ręce i zaczęłam się modlić. Dziękowałam mamie. Nie mogła się znajdować w krainie śmierci, skoro potrafiła mi wskazać drogę.

Nie mogłam spać. Po oddechu mężczyzn poznawałam, że znajdują się daleko ode mnie. Moje uszy natomiast były otwarte, zdawało mi się, że słyszę poprzez szum wiatru jęki i nawoływania. Słyszałam, jak skrzypią drzewa, słyszałam silne, krótkie uderzenia w górską ścianę.

Co to się dzieje?

Czy dzień sądu już nadszedł?

Ulewa będzie chyba trwać nieskończenie, aż cała ziemia zostanie zalana wodą, jak w czasach Noego?

Nie chciałam się poddawać strachowi.

Zresztą to chyba niemożliwe całkiem ulec strachowi czy całkiem zmarznąć. Miałam przy sobie uśpioną twarz Ennio i nigdy przedtem nie doznawałam takich wszechogarniających uczuć.

Czy to miłość?

A może to sen, także i to?

Postanowiłam zlekceważyć wszelki ból w ciele. Odtąd nie będę już zażywać tych dziwnych kropli. Teraz muszę się dowiedzieć, co się właściwie stało we mnie i wokół mnie.

Światło dnia docierało do nas w postaci szarego cienia. Niepogoda pozbawiła słońce ciepła i blasku.

Wejście do groty majaczyło zza skały, ale jedynie jako wąska szpara.

I właśnie w momencie, kiedy ta wąska smuga światła nagle niknęła, drgnęłam i potrząsnęłam Ennio.

- Ktoś tu idzie!

Mówiłam szeptem, ale sama słyszałam, że mój głos mógł być wyraźnie słyszalny między skalnymi ścianami. Zdradziłam naszą obecność!

Ennio najwyraźniej momentalnie to zrozumiał, z nim zdążyłam powiedzieć coś jeszcze, zerwał się na równe nogi z gotowym do walki mieczem.

Ten drugi mężczyzna był niemal tak samo szybki. Obaj stali pochyleni pod niskim pułapem grotu, szykując się do ataku, gdyby tylko ktoś chciał się do nas wedrzeć.

Człapiące kroki... głosy ludzi.

- Kto tam? Pytam w imieniu cesarza...

Krzyk. Cichy i taki cieniutki, że mógł pochodzić tylko od małego dziecka... lub od przerażonej kobiety.

Podniosłam się, teraz bardziej odważna. Podeszłam do mężczyzn. Stamtąd lepiej widziałam intruza.

To kobieta.

Niosła na rękach dziecko. Nie niemowlę, mogło mieć dwie, a może trzy zimy. Było ciężkie i dźwigająca je kobieta chwiała się na nogach. Ale nie upuściła go nawet, kiedy padła na kolana.

- O, darujcie nam życie, darujcie życie mojemu synkowi!

Patrzyłam, jak posuwa się naprzód po skalnej podłodze. Zza jej pleców wyłonił się jakiś cień i położył jej ręce na ramionach. W ostatniej chwili, by ją podtrzymać, w przeciwnym razie przewróciłaby się razem z dzieckiem. Całym jej ciałem wstrząsał rozdzierający kaszel.

Mężczyzna miał długą brodę i proste ubranie, jakie noszą prawowierni Żydzi.

Patrzył na nas zmrużonymi oczyma i mamrotał jakieś prośby o miłosierdzie.

- Czy znalazłem się w dolinie umarłych...

Wtedy Ennio postąpił krok naprzód, opuścił miecz.

- Nie obawiaj się, wędrowcze. Nie zrobimy wam nic złego. Wejdźcie dalej. W grocie jest przynajmniej sucho.

Z ubrania i brody mężczyzny ściekała woda. Małe strużki tworzyły się też na podłodze, gdzie klęczała ko-

bieta z dzieckiem. Widziałam, jaka jest blada, jakie bezbarwne są jej usta. A dziecko takie spokojne...

Ennio dotknął chłopca.

Odwrócił się i popatrzył na mnie.

- Weź dziecko, strasznie zmarzło.

Moi dwaj towarzysze pomogli wstać kobiecie i podpierając ją, poprowadzili do miejsca, w którym zrobiliśmy sobie posłanie.

- Zdejmij z niej te mokre ubrania, Rebeko. Daj jej coś suchego.

Horatio już rozpałał ogień w swoim kubełku. Przeraziło mnie to, ale rozumiałam, że to konieczne. Kiedy wzięłam w ramiona przemoczone dziecko, przeniknął mnie całą zimny dreszcz. Chłopiec leżał z zamkniętymi oczyma, piękne rzęsy kładły długie cienie na policzkach. Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, powiedziałabym, że jest podobny do Ennio. Ale ich podobieństwo było sprawą urody, nie krwi.

Malec miał na imię Joszua. Mężczyzna z taką czułością je wymawiał, że pojęłam, iż jest ojcem, a nie dziadkiem, na co by wskazywały jego siwe włosy i wiek.

Kobieta kaszłała okropnie i boleśnie. Słyszałam, że za moimi plecami mężczyźni dokonują prezentacji. Nieliczna żydowska rodzina wciąż była zdumiona tym, że żołnierze rzymscy traktują ich jak przyjaciół.

- Okrucieństwa nie mają granic - usłyszałam.

Potem wróciłam do tych dwojga, których oddano pod moją opiekę. Zdjęłam grube ubrania z dziecka, wszystkie przemoczone do suchej nitki. To, co miał bezpośrednio na skórze, cuchnęło ostro. Chłopiec był jeszcze za mały, by zachować czystość. Przez cały czas nawet nie pisnął. Chustkę, którą miał na głowie, umoczyłam w wodzie i obmyłam go starannie, połaskota-

lam go przy tym trochę w nóżki, pogłaskałam po brzuszku, na nic nie reagował.

Wpadłam w popłoch - dziecko leżało jak martwe. Kiedy jednak przyłożyłam ucho do jego maleńkiej piersi, usłyszałam równe, choć bardzo powolne bicie serca.

Zdjęłam z siebie tunikę - to dziwne ubranie, w którym podróżowałam; gruba koszula była ciepła i całkiem sucha. Nie przejmując się nieśmiałymi spojrzeniami kobiety, przytuliłam do siebie nagie dziecko, włożyłam je po prostu pod koszulę. Przy mojej rozgrzanej skórze dziecko wydawało się lodowato zimne. Mimo to jęknęłam z rozkoszy, kiedy małe ciało się do mnie przytuliło. Otuliłam je, jak mogłam najlepiej, nóżki wsunęłam sobie pod pachę.

Matka dzwoniła zębami, ale uśmiechała się blado.

- On będzie żył. Nikt nie zamorduje mojego cudownego Joszuy...

Ja także byłam o tym przekonana.

Było to niezwykle silne i urodziwe dziecko. Rozgrzewało się powoli i zaczynało poruszać. Zamrugało oczkami, prostowało nóżki.

- Ile ma twój synek?

- Żyje czternaście miesięcy... ale ile ma lat? To wie tylko Pan. - Kolejny atak kaszlu przerwał jej.

Skinęłam głową i nadal rozcierałam ramiona i plecki małego. Jeszcze trochę i zaśnie spokojnie.

Kobieta nadal dygotała. Nie mogłam się zajmować obojgiem naraz. Powiedziałam pospiesznie:

- Zdołasz sama zdjąć z siebie płaszcz? Jesteś przemoczona na wylot? Weź tamten worek. Znajdziesz tam moje ubrania. Weź sobie coś i przebierz się, dopóki jeszcze nie zamarzałaś na śmierć.

Uśmiechała się niepewnie, patrząc na mnie i na

dziecko. Oczy jej leciutko rozbłysły, kaszel się trochę uspokoił.

- Jesteś taka dobra, Rebeko. Jesteś prawdziwym aniołem. Dzięki ci, Panie, że zsyłasz anioły na naszą drogę!

Musiałam spuścić wzrok.

Żeby tak ona wiedziała!

Ona jest z pewnością sprawiedliwą kobietą, którą wszyscy szanują i która napełnia chwałą dom swego męża. Nie taka jak ja, jak moja matka, moja siostra... wszystkie córki hańby.

- Miriam, zrób, jak mówię. Bo jak nie, to będziesz chora, już jesteś chora!

Uśmiechnęła się cudownie.

-Jestem bezpieczna. Widzę, jak wspaniale opiekujesz się moim dzieckiem, moim ślicznym małym synkiem.

Towarzyszący jej mężczyzna pospieszył z czułym napomnieniem.

- Zdejmij to mokre ubranie! Zrób to, ogrzej się trochę!

Siedziała bez ruchu i patrzyła na mnie. Rączki chłopca przesuwają się teraz po mojej nagiej skórze pod grubą koszulą, pod wełnianą tuniką.

Opatuliłam go starannie i położyłam.

Kłęcząc obok Miriam, pomogłam jej się pozbyć tego zimnego i mokrego kokonu, była to bardzo wychudzona młoda kobieta, wszystkie żebra wyraźnie widoczne. Brzuch miała płaski jak dziewica. A może to wcale nie jej dziecko, pomyślałam, nie bardzo zdając sobie sprawę, skąd mi się ta myśl wzięła. Kiedy jednak zdejmowałam jej koszulę przez głowę, zobaczyłam, że z jej piersi cieknie mleko.

Uśmiechnęłam się.

- Musisz się wysuszyć, moja droga. W przeciwnym

razie się rozchorujesz, jestem pewna. A przecież go karmisz i w ogóle...

Zdjęłam z siebie ciepłą tunikę, zwinęłam i zaczęłam nacierać jej ciało. Ciepło. Kobieta miała ten sam, jakby nieobecny uśmiech. Potem przyniosłam zapasowe płaszcze i końską derkę. Zrobiłam pośłanie, położyłam kobietę i sama, z dzieckiem w objęciach, ułożyłam się tuż przy niej. Przykryłam ją swoim ciałem, a leżące między nami dziecko mogło się sycić pokarmem z jej piersi i ciepłem mojego ciała.

Spaliśmy wszyscy troje, dopóki nie obudził mnie Ennio z cynowym kubkiem pełnym gorącej wody. Była taka słodka od miodu, że wargi kleiły mi się do brzegu naczynia. Szeptem zapytał mnie, jak się mamy.

Tamci dwoje spali. Czułam, że skała uwiera mnie w biodro, ale nie chciałam się poruszyć. Jedno udo i nogę wciąż trzymałam na ciele Miriam, jej cała, krucha jak ptak postać wsunęła się pode mnie. Znowu nawiedzały mnie sny.

Tym razem śniła mi się Tabitha.

Ennio usiadł tuż przy nas.

- To są Żydzi. Uciekają. Przed Rzymianami. Żołnierze szaleją po kraju. Jest tak, jak mówiono: mordują nowo narodzonych chłopców! Musimy ruszać dalej, Rebeko. Jak najszybciej!

Próbowałam się mimo wszystko poruszyć. Coraz wyraźniej czułam ból w odrętwiałym ciele. Przybyło mi bolesnych miejsc, zasnęłam przecież w bardzo nie-naturalnej pozycji. Ale tamta kobieta odzyskała kolory, w każdym razie takie wrażenie sprawiała jej twarz w szarym świetle, wpadającym teraz do grotu.

Ze swojego miejsca nie widziałam wejścia, słyszałam jednak, że wichura jakby trochę przycichła.

- Wciąż pada - powiedział Ennio. - Powinniśmy wysuszyć ich ubrania, ale nie wiem, czy się odważę rozpaścić porządne ognisko.

Pomógł mi usiąść, wydobył mnie z tej plątaniny ciał, którą stanowiliśmy z kobietą i dzieckiem. Molec westchnął przez sen. Uśmiechnęłam się i musiałam go pogłaskać po policzku. Jak słodko teraz pachniał: mlekiem matki, bezpieczeństwem, kobiecym ciałem. Włoski miał ciemne wokół maleńkiej buźki, ale delikatne niczym piórka na szyi młodego ptaka.

Oczy Ennio znajdowały się tuż obok mego policzka. Wiedziałam, co teraz myśli, i przeniknęła mnie radość:

Przyjdzie czas, że urodzę dziecko, jego dziecko!

Wolno zwróciłam ku niemu twarz, chciałam spojrzeć mu w oczy, byłam jednak przygotowana na to, że, gdy nasze spojrzenia się spotkają, to uczucia, które są we mnie, rozerwą całą tę górę, zburzą mury, rozbiją cały świat na kawałki.

Jakoś jednak udało mi się opanować.

Ale ów lekko wilgotny błysk w jego szarych oczach dosłownie wysysał ze mnie serce i wiedziałam, że należę do niego.

Wciąż dotykałam palcami policzka dziecka, kiedy po raz pierwszy poczułam na wargach usta Ennio. Był to tylko dotyk, Ennio oddychał ostrożnie przez nos, dzieliliśmy się tą resztką powietrza, która jeszcze została na świecie.

Jego ręka lekko, choć pewnie spoczywająca na moim karku.

Szeptał coś, czego nie zrozumiałam.

Ale brzmiało to jak anielska pieśń.

I wtedy usłyszałam ciche gaworzenie.

Dziecko leżało w moich ramionach i uśmiechało się.

Po raz pierwszy zobaczyłam oczy chłopca i spojrzenie, jakie posyłał nam obojgu, złączonych ponad nim ustami, było takie niezgłębione, że dostałam gęsiej skórki z wrażenia.

Ennio pochylił się i dziecko chwyciło łańcuch, który nosił na szyi. Był na nim zawieszony jakiś medal, może znak rozpoznawczy, może to po prostu pamiątka. Ze srebra.

To pewnie ten świecący przedmiot sprawił, że dziecko się roześmiało, pomyślałam.

Nie nasz pocałunek.

I nie ta dziwna sytuacja, że dwie kobiety leżą bardzo blisko siebie, a podczas gdy jedna z nich śpi, druga całuje obcego mężczyznę, bo zrozumiała, że do niego należy.

11

Dopóki trwała wichura, nie mogliśmy stąd wyruszyć. Konie stały przywiązane tuż przy wejściu do groty, były jednak za duże, by wejść do środka. W głębi byłoby dla nich pod dostatkiem miejsca, ale skały uformowały bardzo ciasną bramę. Musiały więc stać, częściowo osłonięte od deszczu, a wiatr chyba im bardzo nie przeszkadzał. Spokojnie żuły liście z drzewa, które Horatio zwałił niedaleko groty, a Ennio przynosił im raz po raz garść ziarna ze swojego worka.

Nasi nowi towarzysze podróży byli przestraszeni.

Mężczyzna niemal bez przerwy siedział pogrążony w modlitwie i błagał swego Pana, by ich uratował, znaleźli się bowiem jako te baranki pośród wilków.

Słyszając to, musiałam się uśmiechnąć. Żeby ten biedak wiedział, jak niewiele lojalności wobec Rzymian zostało w Ennio i jego towarzyszu!

Kiedy jednak Ennio z ponurym wzrokiem wysłuchał opowieści starszego człowieka, a potem je potwierdził, zaczęłam wątpić.

To nie mogła być prawda!

To pewnie znowu jakieś szalone opowieści, które przekazują sobie wędrowcy w czas niepokojów. Wszyscy wiedzą, że Rzymianie są brutalni i że ich królowie oraz cesarze zawsze w narodzie Pana widzieli wrogów i burzycieli spokoju.

Ale Żydzi byli najbardziej wytrwałym ludem na

świecie. Żyliśmy pod opieką Pana i przetrwaliśmy zarówno niewolę, jak i liczne próby unicestwienia nas i wytępienia. Jesteśmy potomkami Abrahama i Mojżesza, wybranym ludem Pana.

- Oni mordują wszystkich małych chłopców - wyjął stary. - Żołnierze... są pijani i szaleni. Wyrrywają niewiniątka z objęć matek i roztrzaskują ich główki o ściany. Oni... teraz to już naprawdę nadchodzi czas końca...

Ennio milczał. Widziałam głębokie zmarszczki na jego czole, ręce zaciskały się na mieczu tak mocno, że aż zbieleły.

- Szlachetny ojciec. Masz oczywiście rację, że diabeł szaleje. Ale my nie możemy zrobić zbyt wiele. Możemy wam tylko pomagać.

Stary skinął głową.

- Ja też nie jestem lepszy. Nie stać mnie na to, bym cierpiał razem z tysiącami osieroconych rodziców, dopóki mój własny mały synek może uniknąć śmierci. Ale prorocy mieli rację. I królowie mieli rację.

Słowa Ennio sprawiły, że stary mruczał coś pod nosem i wciąż kiwał głową.

- Herod przestraszył się nie na żarty, kiedy ze wszystkich stron świata zaczęli przybywać posłańcy, a zwłaszcza gdy do pałacu przybyli Chaldejczycy z Egiptu, by złożyć hołd nowemu królowi żydowskiemu, o którego narodzinach dowiedzieli się z gwiazd. Wtedy na Heroda padł blady strach.

Przecież już dawniej słyszałam tę historię.

Ale teraz, kiedy mój ukochany Ennio potwierdził ją tak po prostu, nagle stała się dla mnie prawdą. Ponurą prawdą. Tak ponurą, że trudno to pojąć: rzeź wszystkich żydowskich chłopców poniżej dwóch lat!

- Wy jesteście tutaj bezpieczni - powiedział Ennio i pochylił głowę przed starym mężczyzną.

Ten uśmiechnął się blado i odwzajemnił uprzejmie pełen szacunku ukłon Ennio.

- Chyba tak, przynajmniej dopóki trwa zawierucha i wy... nie wykonujecie swego obowiązku.

- Nasz obowiązek jest całkiem innego rodzaju - szepnął Ennio i posłał mi spojrzenie tak czułe, że serce zaczęło mi bić jak szalone.

Młoda matka zaczynała się budzić.

Odgarnęłam jej włosy z twarzy i przemawiałam do niej łagodnie. Wciąż miała trochę zbyt ciepłe czoło. Podczas snu kaszel jej nie dręczył, ale teraz spazmy nią wstrząsały i z trudem chwyciła powietrze.

Widziałam, że na koszuli robią się duże plamy, bo kaszel sprawiał, że mleko wypływało z jej piersi. Musiałam chyba kiedyś słyszeć, że to bardzo ważne, by dziecko wysysało pokarm z piersi, kiedy matka ma gorączkę. Jeśli piersi staną się twarde i rozpalone, bo nie zostały opróżnione, to mogą umrzeć oboje, i matka, i dziecko.

Nie miałam pojęcia, skąd to wiem. Przecież u nas w domu raczej się nie widywało karmiących kobiet.

Widocznie jednak chłopiec też o tym wiedział, bo chwycił usteczkami brodawkę matki z wielką powagą i ssał mocno, a małe rączki błędziły po jej ciepłej, białej skórze.

Horatio odwrócił wzrok od nagiej piersi. Stary mężczyzna również. Ennio natomiast uśmiechał się i bez skrępowania przyglądał matce i dziecku. To sprawiło, że znowu miałam trudności z oddychaniem.

Poczułam, że coś kłuje mnie i łaskocze w piersiach. Pewnego dnia, kiedyś...

I wtedy Ennio zaczął śpiewać. Nucił raczej, cicho i bez słów.

Rozpoznałam hymn bogini Słońca.

Jego głos był ciepły, niski i pewny.

Ponad wszystko pragnęłam rzucić mu się na szyję, przytulić do niego mocno, objąć go i zamknąć w ramionach na zawsze.

Tej nocy nie spałam.

Leżałam na wyciągnięcie ręki od niego, także i tym razem pod tą samą derką, co kobieta i dziecko.

Dziwne, że chociaż ani na moment nie przymknęłam oczu, to dziecko przemawiało do mnie we śnie. Mówiło mi, że miłość jest czymś słusznym i prawdziwym. Miłość pochodzi od Boga. Głos chłopca był taki łagodny i piękny.

Następnego ranka kręciło mi się w głowie, pociłam się, byłam zmęczona. Raz było mi gorąco, to znowu marzłam. Czyżbym się zaraziła chorobą kobiety?

Kiedy jednak wstałam i Ennio podał mi szmatę zwilżoną pachnącą wodą, bym się obmyła, poczułam się mimo wszystko silna.

Głód szarpał mi wnętrzności po raz pierwszy od wielu dni, jadłam jęczmienny chleb i piłam pomieszaną z wodą wino.

Horatio powiedział:

- Musimy ruszać dalej, i to szybko. Czeka nas długa droga.

Stary człowiek siedział i jak zwykle się modlił.

Kobieta poprosiła szeptem:

- Skoro jedziecie do Egiptu, to zabierzcie nas ze sobą. Wiem na pewno, że to Pan nam was zesłał.

Horatio zwilżył wargi, spojrzał na mnie z lękiem.

- To nie będzie takie łatwe, czcigodna pani. Musicie zrozumieć, że nasza podróż także jest ucieczką.

Pokiwała głową, że rozumie, ale jej oczy lśniły ufnością, jakby matka też była dzieckiem. Pod naszą opieką.

- Wiem - powiedziała. - Ale możecie nam towarzyszyć, wtedy będziecie bezpieczni.

Horatio niechętnie kręcił głową. Czyścił swój napierśnik i czerwony płaszcz.

- No nie wiem... Bo chyba skończy się na tym, że jadąc z nami będziecie bardziej narażeni na pościg.

- Zabierzcie nas. Pan was za to wynagrodzi - powtórzyła kobieta cicho.

Horatio raz jeszcze próbował protestować.

- Mamy tylko trzy konie...

Wtedy wtrącił się Ennio:

- Ja pojedę z nimi sam. Ty możesz wrócić do Mira i powiedzieć, że wykonaliśmy zadanie.

Zadrżałam.

Twarz młodej kobiety była łagodna, ozdobiona nieśmiałym uśmiechem. Wciąż się jeszcze pociła i oczy jej lśniły od gorączki, ale dziecko trzymała w ramionach, a ono uśmiechało się jak zawsze.

- Ja z Rebeką pojedę na dużym ogierze, a wy weźmiecie klacze. Za trzy, cztery noce dotrzemy do granicy. Jeśli szczęście nam dopisze, to już za trzy dni zobaczymy, jak słońce wyłacza wody Nilu...

Czułam, że radość rozpiera mi piersi.

Jeśli mam siedzieć przy nim na koniu, to podróż może trwać nawet całe życie! Ale oczy Horatia zapłonęły gniewem.

- Ennio, nie wypełniasz swego obowiązku! My od-

powiadamy za Rebekę, nikt inny! Nie możemy narażać jej na niebezpieczeństwo, zbierając po drodze gromady uchodźców.

Umilkł, dziecko zaczęło płakać. Ostry głos odbił się echem od ścian grotty. Miriam przytuliła je mocniej, uciszała jak mogła.

- To prawda, co oni tutaj opowiadają. Herod wydał rozkaz wymordowania wszystkich żydowskich chłopców. To niezwykła historia... jacyś Chaldejczycy przekonali go, że stare przepowiednie się spełniły i że urodził się nowy król żydowski. Herod spodziewa się buntu...

- I będzie bunt - mruknęłam cierpko.

- Rebeko, Mir, twój przyjaciel i opiekun, złożył twoje życie w naszych rękach. I ja cię nie opuszczę - oznajmił Horatio.

Umilkł, a po chwili mówił znowu:

- Nie opuszczę cię do chwili, gdy zadanie zostanie wypełnione. Musisz jechać do Egiptu, do domu. Tam odpoczniesz i zostaniesz otoczona opieką. Przez tych, którzy na ciebie czekają.

Skinęłam mu z wdzięcznością, ale nie miałam pojęcia, o czym on mówi.

Ennio wbił wzrok w Horatio.

- Teraz ja za nią odpowiadam!

Znowu przeniknęły mnie rozkoszne dreszcze.

Ennio mówił tak, jakby już był moim mężem. A przecież jedyne, co zrobiliśmy, to ten pocałunek... Żaden rabbi nie udzielił nam błogosławieństwa, żaden ojciec mu mnie nie oddał. Ale należałam do niego. I on o tym wiedział.

Spokojnie uśmiechnęłam się do Horatia.

- Ennio ma rację, dobry żołnierzu. Możesz spokojnie wracać do Mira. On wszystko zrozumie.

Horatio wciąż wyglądał na zagniewanego. W spoj-
rzeniach, które posyłał Ennio, widziałam nienawiść.

- Głupi, młody psie... zachowujesz się jak smarkacz!
Narażasz na szwank honor Mira! Ona jest jego...

- Horatio! Licz się ze słowami!

Głos Ennio może więc być twardy i ostry niczym
żelazo! Podskoczyłam na jego dźwięk.

Dziecko za nami zaczęło popłakiwać, Miriam zanu-
ciła cicho.

Tylko stary mężczyzna milczał pogrążony w modli-
twie. W grocie zapanował jakiś dziwny, dławiący nastrój.

W końcu Horatio odpiął miecz od pasa i rzucił go
na ziemię. Potem odrzucił napierśniki. Chłodny dźwięk
metal uderzającego o skałę przypomniał mi chwilę,
gdy zamykano grób mamy.

- Idź w pokoju - powiedziałam cicho.

Odwrócił się jeszcze w wejściu, na dworze równo
padał deszcz. Podróż piechotą zajmie mu jakieś dwie,
może trzy noce. W płaszczu, bez broni i orszaku wy-
glądał jak każdy inny wędrowiec. Przypuszczałam, że
nic złego go nie spotka. Jeśli tylko nie zaatakują go dzi-
kie zwierzęta ani nie rozpęta się większa burza, która
mogłaby go sprowadzić na manowce...

Kobieta wstała.

- Dzięki ci, Rzymianinie.

Ujęła rękę Horatia i ucałowała. Coś w nią włożyła.
Widziałam, że to jakieś małe zawiniątko, opakowane
w kawałek jej koszuli. Pomieszczenie wypełnił przyjem-
ny zapach i zrozumiałam, że Miriam dała mu suszoną
mirrę. Ta pachnąca roślina była używana podczas na-
bożeństw i w ogóle podczas wszelkich uroczystości. By-
ła droga, ale nietrudno ją dostać. W ogrodzie mojej ma-
my często wachałam jej białe kwiatki.

Horatio nawet się nie uśmiechnął. Ale wsunął zawiąniętą kieszeń.

Mam nadzieję, że zapach towarzyszył mu długo.

Ponownie zostałam ubrana jak żołnierz i posadzona na koniu.

Stary mężczyzna za nic nie chciał zgolić brody i włożyć na siebie rzymskiego płaszcza. Kobieta zaś była zbyt mała i drobna, by udawać żołnierza. Ustaliliśmy więc, że będziemy podróżować jako dwaj żołnierze, którzy wiozą więźniów do Aleksandrii. Nie bardzo się w tym wszystkim orientowałam, podejrzewałam jednak, że to bardzo naciągana historia. Dlaczego jakiś Żyd miałby być odwożony do Aleksandrii? A zresztą skoro tak, to dlaczego nie został wysłany z normalną karawaną?

Nie, w razie czego trudno to będzie wytłumaczyć. Miałam jednak nadzieję, że może uda nam się uniknąć jakichkolwiek wyjaśnień. Może oddziały, które ewentualnie spotkamy, odpowiedzą nam tylko cesarskim pozdrowieniem i nie będą o nic pytać. Gdyby Rzymianie byli zbyt dociekliwi, to i dziecko zostanie odkryte. Na razie malec leżał przytulony do matki, pod jej płaszczem, przywiązany do niej pasami z mojej podartej koszuli.

Ruszyliśmy w drogę po wieczornej modlitwie, deszcz ustał. Krajobraz przed nami rozciągał się ponury, mokry, ale konie szły dobrze, wypoczęte w czasie długiego postoju.

Noc zapadła ciemna, mimo że teraz nie było chmur. Nie mogłam pojąć, jakim sposobem Ennio odnajduje drogę. On jednak jechał pewnie tuż obok mnie i pokazywał mi gwiazdy.

- Patrz, tam świeci Oko Orfeusza... ta gwiazda doprowadzi nas do domu, Rebeko.

Oczywiście widziałam gwiazdę, dla mnie jednak była jedną z wielu.

- Żeglowałem po wielu morzach, Rebeko. I zawsze gwiazdy doprowadzały mnie do domu. Nie bój się ciemności, moja kochana. Ciemność jest po to, byśmy mogli widzieć światło.

Długo się zastanawiałam nad jego słowami.

Ale wszystko, co wypowiadały jego usta, brzmiało tak prawdziwie.

Koń kołysał się pode mną, jechaliśmy spokojnie, w równomiernym tempie. Tym razem moje ciało szybko przywykło do ruchów wierzchowca. Odwróciłam się lekko, by zobaczyć, czy rozróżnię stąd rysy Miriam, ale ona była jedynie niewyraźną postacią w mroku za nami.

I dlatego czymś absolutnie niezwykłym był fakt, że widziałam jasną twarzyczkę dziecka w jej ramionach. Chłopczyk leżał z szeroko otwartymi oczyma i wpatrywał się w niebo.

Znowu odczułam całkowity spokój.

Nie bałam się.

Przepełniała mnie miłość do Ennio i wiedziałam, że mam przed sobą wiele czasu.

W ciągu dnia spaliśmy w dobrze ukrytych miejscach i paliliśmy ogniska. W miarę jak zbliżaliśmy się do wybrzeża, krajobraz się zmieniał. Znowu czułam zapach morza. Natomiast góry, które zostawiliśmy za sobą, i całkiem jałowe równiny przesłaniały teraz chmury i mgła. Słońce wskazywało nam drogę na zachód, kiedy zachodziło, mogliśmy ruszać naprzód.

Wciąż żywiliśmy się zabranymi z Jerozolimy zapasami, chociaż ubywało ich szybko. Mimo wszystko bez trudu oddawałam Miriam większą część swoich porcji,

bo przecież ona musiała wykarmić dziecko i potrzebowała jedzenia. Chłopczyk też się uśmiechał, kiedy żułam słodki orzechowy placek i podawałam mu prosto buzi.

Miriam była zadowolona i uczyła synka wymawiać moje imię.

Nie mógł sobie jednak poradzić ze wszystkimi twardymi zgłoskami. K było za trudne, nie mówiąc już o r. I w końcu malec wynalazł dla mnie całkiem nowe imię.

- Janna - powiedział swoim dziecięcym głosem. - Janna, Janna!

Brzmiało to trochę jak „niana”.

Byłam wzruszona.

- To znaczy „ta, która odpowiada” - wyjaśnił Ennio. Zalał mnie strumień ciepła.

- Więc niech to będzie moje nowe imię - rzekłam.

Ennio objął mnie, przytulił moją głowę do swojej piersi.

- A zatem odpowiedz mi, Janna - poprosił łagodnie.

Zachowywałam się bardzo dziwnie. Na oczach tej kobiety, dziecka i starego mężczyzny uniosłam głowę, położyłam rękę na jego policzku, czoło przytknęłam do jego czoła.

- Jestem twoja. Twoja Janna.

Czułam na twarzy oddech Ennio.

Słyszałam gaworzenie dziecka.

Tłumiony kaszel Miriam, drzewo, pod którym odpoczywaliśmy, szeleściło, poruszało suchymi gałązkami. Niczego nie powinnam była zauważać, wszystko bowiem, co czułam i myślałam, dotyczyło Ennio. Miałam jednak tysiąc oczu i tysiąc uszu, i nawet delikatnego muśnięcia skrzydełek owada nie mogłam nie zauważyć.

Ennio mocno ścisnął moje ręce.

Całował moje dłonie.

Całował mnie w czoło i oba policzki.

Wielkie pragnienie otworzyło się we mnie, przywarłam mocno do niego, czułam jego ciało przy moim, silne ramiona, które mnie obejmowały. Teraz Ennio puścił moje ręce i głaskał mnie po plecach i ramionach, a ja ukryłam twarz na jego piersi.

Słyszałam, że stary mężczyzna jęknął.

Wiedziałam, że wobec żydowskiego prawa zachowujemy się bezwstydnie.

Ale ja już nie byłam Rebeką, żydowską dziewczyną, która siedzi przy studni i czeka.

Teraz byłam Janną. Nianią małego chłopczyka.

Janną Ennio, tą, która odpowiada.

A niedługo, bardzo niedługo dotrzemy do domu.

Ciepły wiatr od morza ogrzewał nas tej ostatniej nocy w drodze. Czułam docierające do mnie z wiatrem dziwne, obce zapachy. Przyprawy? Gnijące morskie stworzenia? Rozgrzana smoła? Nie wiedziałam.

Zmierzaliśmy prosto do celu, ale nie czuliśmy się zmęczeni. Drogi stawały się teraz coraz szersze, nie powstrzymywały nas żadne skalne osypiska ani nierówności terenu. A księżyc, w miarę jak stawał się większy, wydawał się też jaśniejszy.

Noce były co najmniej tak samo ciemne jak przedtem, ale gwiazdy jakby lepiej rozjaśniały piasek. Coraz lepiej więc widziałam drogę, po której jechaliśmy, i nawet czasami mogłam napotkać w mroku wzrok Ennio.

Dziecko zdawało się jakieś rozgorączkowane... Nie było już teraz takie cudownie spokojne.

Ale ciche nucenie Miriam, kiedy dziecko płakało lub kręciło się, uspokajało nas wszystkich.

Miała czysty, piękny głos. Śpiewała dawne pieśni, te, którymi Żydzi pocieszali się od tysięcy lat.

Ennio jej nie uciszał, ale ja zauważyłam po coraz szybszym biciu jego serca, że boi się, byśmy nie zostali przez nikogo zaskoczeni teraz, na ostatnim już odcinku drogi.

Kiedy podróżowaliśmy po nierównych przestrzeniach pośród wzgórz, nie napotkaliśmy nigdzie żywej duszy. Później zdarzało się, że jacyś kupcy, pasterze lub inni jeźdźcy przecinali nam drogę, lecz nie zadawali nam pytań, ani się specjalnie nie przyglądali.

Czerwony płaszcz i blask rzymskiego hełmu kazały ludziom pospiesznie odwracać wzrok i czym prędzej odjeżdżać.

Może współczuli tej parze eskortowanej przez żołnierzy?

Może zastanawiali się, jaki też los czeka dwoje więźniów.

Nikt jednak o nic nie pytał.

Twarze były spłoszone, wzrok rozbiegany.

Ennio zatrzymał młodego chłopca dzwigającego kosz pełen małych, zielonych jabłek i poprosił, by dał nam trochę. Uważałam, że powinien mu zaproponować zapłatę, ale rozumiałam, że to mogłoby się wydać podejrzanym. Rzymski żołnierz nic nie jest winien nikomu, kogo spotka w tym okupowanym kraju! Dlatego napełniliśmy kieszenie niedojrzałymi, ale pewnie bardzo nam potrzebnymi owocami, a za całą zapłatę chłopiec usłyszał od Ennio szorstkie: „znikaj”.

Tak pewnie musiało być, mimo wszystko Ennio podróżował jako rzymski żołnierz...

Szepnął mi jednak, kiedy zajadaliśmy nieoczekiwanie słodkie jabłka:

- Wsunąłem mu do kieszeni monetę, nawet nie zauważył.

Znowu rozpalił się we mnie ogień.

Dobry, piękny Ennio.

Pewnego dnia zechce mi pewnie opowiedzieć, jak trafił do domu Mira i skąd pochodzi. I jak to się stało, że pozostał taki nieskazitelnie czysty przez wiele lat spędzonych na świecie, który porównywałam do diabelskiego gniazda.

I jak to się mogło stać, że ani razu nie obudził we mnie demonów. Jego dotyk był dla mnie czymś naprawdę nowym, a mimo to miałam wrażenie, jakbym go dobrze znała, wszystkie jego pieśczęty. Kiedy rozcierał moje palce, żeby je ogrzać. I kiedy odgarniał włosy z mojej twarzy. Kiedy kładł swoją ciepłą dłoń na moich obolałych plecach, by mnie podtrzymać po wielu godzinach konnej jazdy.

Kiedy jego wargi leciutko dotykały moich, a ja byłam pewna, że umrę, jeśli on posunie się odrobinę dalej.

Płonęliśmy oboje.

Jak samo słońce, pomyślałam.

Ale znajdowaliśmy się jeszcze jedną noc drogi od kraju boga Słońca. I ta ostatnia noc została wryta w mojej pamięci niczym na miedzianej tablicy.

Obraz płomieni, obraz łez i krwi.

A mimo to piękny, za nic nie chciałabym tego zapomnieć. Nigdy.

Nieoczekiwanie dotarł do nas odgłos kopyt pędzących za nami koni.

Ennio zeszytywniał w siodle. Zdałam sobie sprawę, że akurat teraz on jedzie tuż za mną i wiezie przed sobą Miriam. Młoda matka była zmęczona, a jej opiekun nie miał dość siły, by ją mocno trzymać. Ja wiozłam

dziecko ukryte pod szerokim żołnierskim płaszczem, zachowywało się całkiem spokojnie i przez cały czas patrzyło na mnie z paluszkami w buzi.

Ściągnęłam lejce, klacz się zatrzymała. Znała mnie już teraz, reagowała na moje polecenia. Instynktownie otuliłam dziecko szczelniej i mocniej zaciągnęłam pas. Musiałam wyglądać na okropnego grubasa i w ogóle dziwnie, w hełmie nasuniętym na oczy, ze spoconą, umazaną na czarno twarzą i cienkimi nogami w potężnych żołnierskich butach podkutych żelaznymi podkówkami.

Raczej niezwykły żołnierz, choć z daleka pewnie się nie bardzo różniłam od innych.

Ennio zjechał ze ścieżki.

Pojechałam za nim, zwierzę parskało pode mną spłoszone.

Powinniśmy byli się ukryć.

Tutaj jednak nie było ani zagajników, ani nawet pojedynczych drzew, pod którymi można by szukać schronienia. W takim otwartym krajobrazie nawet nocą widziało się z daleka podróżujący orszak. A teraz na wschodzie już dniało.

Ennio przystanął.

Ogier ciągnął nerwowo uzdę, gryzł i szarpał głową. Stukot kopyt był coraz bliższym zagrożeniem.

Toczył się niczym daleki, ale zbliżający się grzmot.

- Duży oddział - szepnął Ennio. - Żołnierze. Słyszysz szcęk mieczy? To Rzymianie.

Bez słowa skinęłam.

- Musimy się ukryć...?

Ale przecież wiedziałam, że to niemożliwe. Podczas gdy rozmawialiśmy i nasłuchiwalismy przestraszeni, za nami ukazał się obłok kurzu. Zabarwił go czerwono-nawy blask wschodu, wyglądało to naprawdę groźnie.

- Zobaczą nas. Ciemność wkrótce rozproszy się całym. Zrobi się widno.

Ennio mówił spokojnie, ale ja nie potrafiłam opanować drżenia. Czyż był powód do aż takiego strachu? Przecież chyba nie nas ściga taki wielki oddział? To niemożliwe.

Zagryzałam wargi i patrzyłam na dziecko.

Gdy uniosłam głowę, znowu napotkałam spojrzenie Ennio.

Skinął mi nieznacznie.

Zrozumiałam, choć nie wiedziałam, skąd się to wszystko bierze w mojej głowie. Zrozumiałam, że żołnierze szukają właśnie tego dziecka. Tego niebywale spokojnego chłopczyka, w którego oczach nocami odbijały się gwiazdy. Wkrótce zobaczyliśmy tłum żołnierzy, aż się zaroiło. Szczęk broni był ostry i zimny jak ten poranek, którego nadejścia tak się obawialiśmy.

Staliśmy pośrodku otwartej równiny, tylko parę samotnych krzewów i pojedyncze kamienie mogły nam służyć za osłonę. Niski cień w oddali mógł być budynkiem, ale może to tylko niewielkie wzniesienie.

W każdym razie za późno.

Teraz rozróżnialiśmy już nawet barwne ubrania żołnierzy, lśniące złociście tarcze centurionów i ich oszczepy.

Moje serce tłukło się w rytm kroków obcych koni. Siedziałam, przyciskając do siebie dziecko, w prawą rękę ujęłam miecz.

Stary znowu modlił się do swojego Boga.

Miriam siedziała przed Ennio wyprostowana, wbijając wzrok w pędzący oddział. Widok był zaiste straszny.

Chyba nas spostrzegli.

Wstrzymałam oddech i modliłam się: wyminą nas

spokojnie i pojedą w stronę Aleksandrii. Bardzo im się spieszy, mają mało czasu. Nie będą się nami przejmować. Mają na głowie zupełnie inne sprawy.

Kochane, dobre moce niebieskie, sprawcie, by ci ludzie przejechali i nie zatrzymali się!

Wszystkie dobre siły Słońca, uwolnijcie nas od tej przygody!

W głębi mego przerażonego serca formułowałam modlitwy równocześnie do starego Pana i do bogów matki. To samo w sobie było tak wielkim grzechem, że powinnam zostać natychmiast ukarana, rażona piorunem, powalona na ziemię pod spadającymi gwiazdami.

Ale nic takiego się nie stało.

Tyle że moje modlitwy też nie zostały wysłuchane.

Potężny oddział zatrzymał się ledwie parę kroków od nas i jeden tłusty, nieduży Rzymianin wyjechał na czoło. Dźwigał na sobie ciężką zbroję, tunikę miał z kosztownego brokatu, zrozumiałam więc natychmiast, że musi to być jakiś ważny oficer.

Zaczął do nas krzyczeć.

Ennio podjechał bliżej niego i odpowiedział.

Wywiązała się krótka dyskusja, nie ulegało wątpliwości, że Ennio jest przesłuchiwany.

Zachowywał się spokojnie, ale widziałam lęk na jego urodzivej twarzy. A na moich kolanach, pod płaszczem, poruszyło się dziecko. Wpadłam w przerażenie.

Jeśli malec zacznie krzyczeć albo chociaż gaworzyć, Ennio będzie skazany.

Nie pojmowałam, co on im powiedział, ale sama starałam się mieć surową minę pod hełmem, zadzierałam wysoko brodę i zaciskałam zęby, żeby wydawała się szersza. Tamci muszą myśleć, że jestem mężczyzną. Żołnierzem.

Na niewiele się to zdało. Żołnierze zbliżyli się do nas.

Dwaj ściągnęli mnie z konia na ziemię. Rozpaczliwie trzymałam ciało dziecka, ciężkie, bo chłopczyk spał.

Miriam też została ściągnięta na ziemię, a dwaj strażnicy wyrwali miecz z rąk Ennio. Stary mężczyzna spadł z konia i krzyczał, a żołdacy wybuchnęli głośnym śmiechem. Biedak czołgał się na czworakach, zgubił kapelusz. Kolejny wybuch śmiechu, kiedy jeden z żołnierzy kopniakiem odrzucił kapelusz daleko pod kamień.

Ennio zbladł.

Tamci zaczęli zrywać wszystkie worki i zawiniątka przytroczone do naszych siodeł i rozrzucali dookoła.

Kiedy jakiś jasnowłosy żołnierz odciął worek zawierający rzeczy mojej matki, poczułam bolesny skurcz żołądka. On jednak nie okazał najmniejszego szacunku i wysypał wszystko na piasek. Ubogie węzełki zawierające własność Miriam też nie zostały oszczędzone. Kamienie, nieduże naczynka, jakieś drobiazgi zawinięte w płótno. Wszystko zostało wysypane i porozrzucane. Teraz, kiedy zrobiło się prawie całkiem widno, dostrzegłam na ziemi błysk złota.

I wtedy jęknęłam, pewnie równocześnie ze wszystkimi, którzy wpatrywali się w porozrzucane przedmioty.

Wśród rzeczy Miriam, zniszczonych i biednych, znajdował się skarb!

Przecierałam oczy, patrzyłam na dziwną rzeźbę zrobioną jakby z trzech połączonych złotych kul. Czy to pojemnik na oliwę? Czy tak niezwykle ukształtowany kubek? Żołnierz, który wytrząsnął piękny przedmiot z połatanego worka, aż podskoczył na widok złota.

Wyszczerzył zęby w szerokim, paskudnym uśmiechu.

Złapał skarb i uniósł go ku swemu oficerowi. Tryumfująco, wciąż zdumiony. Wołał coś, czego nie rozumieliśmy.

- Oni myślą, że to kradzione - wyjaśnił Ennio. - Uważają, że uciekamy do Egiptu z rzeczami ukradzionymi w świątyniach. Sądzą, że dostaną wielką nagrodę, jeśli doprowadzą nas przed sąd.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Śmiertelnie się bałam, że każdy dźwięk z moich ust może obudzić dziecko, którego tamci jeszcze nie zauważyli.

Po krótkiej naradzie żołnierze znowu do nas podeszli. Tym razem żadne modlitwy nie pomogły. Płaszcz został ze mnie brutalnie zerwany, silne ręce chwyciły mnie za ramiona i wykręciły je do tyłu.

I wtedy zobaczyli, że ukrywałam dziecko.

Miriam wydała z siebie przeciągły krzyk.

Potem zapadła absolutna cisza.

Gładko wygolona gęba oficera krzywiła się w złośliwym uśmiechu.

Z ręką na mieczu szedł w stronę mnie i dziecka.

Krzyk Miriam zagłuszył jakiś dziwny szum w moich uszach. Upadłam na kamienistą ziemię i zasłoniłam sobą chłopca. Przegarniałam piasek w poszukiwaniu pewnego przedmiotu, bardzo małego kamyka, który wypadł spomiędzy rzeczy mojej matki. Rozpoznałam go, i musiałam odnaleźć. W mojej głowie kłębiły się niesamowite obrazy, widziałam znowu kobietę, która zaciskała w dłoni ten kamyk w godzinie konania.

Moja matka wysłała niewolnika, by odnalazł kamyk - musiał być gorący, lepki i zakrwawiony, zaciśnięty w dłoni kamienowanej kobiety.

Nareszcie poczułam go w swojej ręce i stwierdziłam, że to nieduży kamyk zwany krwawnikiem. Wyryto na nim jakiś symbol.

Szum stał się głośniejszy, kiedy usłyszałam odgłos

ciosu w czyjąś głowę. Chłopczyk, którego próbowałam osłaniać, krzyczał i chciał do matki.

Buty oficera były zakurzone i brzydkie, ałe nosił nad kostkami takie same kosztowne pierścienie jak te, które utrzymywały we właściwym miejscu jego ubranie.

Zakłętałam pod nosem, jakieś nieznanne przekleństwa wydobywały się z moich ust. Kamień w zaciśniętej dłoni poruszył się. Kiedy spojrzałam na niego uważniej, zobaczyłam ów symbol: to owad, jakiś żuk.

Świst dobywanych mieczy przeszył powietrze, ale nie zagłuszył tego dziwnego szumu, który zbliżał się do nas i narastał, aż w końcu miałam wrażenie, że głowa mi pęknie.

Dziecko nie krzyczało, ale sama byłam zbyt przerażona i zdumiona, by się temu dziwić. Czołgałam się po ziemi, w każdej chwili oczekując cięcia mieczem. Dobrze pokierowany rozpłatałby nas oboje.

Zamiast tego usłyszałam co innego: głos Ennio.

To dodało mi sił. Podniosłam się na kolana, przyciągnęłam chłopca do siebie i zmusiłam oczy, by spojrzeć w górę.

Piasek wzbity przez konie i ludzi przesłaniał widok, uwierał w oczy. Ale ja patrzyłam, patrzyłam, patrzyłam... i jeszcze dzisiaj nie wiem, co takiego widziałam...

Wschód słońca był tak blisko, że światło już zalewało horyzont. Reszta nieba jednak pociemniała! A ów szum nie był w żadnym razie odgłosem krążących w mojej głowie myśli. Widziałam, że stary mężczyzna siedzi na piasku, nie wstał, ale odnalazł swój kapelusz. I widziałam kobietę - trzymali ją dwaj żołnierze i nagle puścili ją przerażeni.

Nad nami unosił się potężny rój.

Czy to szarańcza?

Jak wtedy, kiedy Pan ukarał wrogów Izraela?

A może jastrzębie, wielkie, czarne ptaki, jak chmura przed wschodem słońca?

Nie...

Rój mienił się i błyszczał w lekkim porannym powietrzu niczym polerowane żelazo. A kiedy potężne dudnienie zbliżało się do naszych głów, żołnierze zaczęli krzyczeć, chowali się pod płaszczami i tarczami. Konie rżały w nagłej panice, kopyta uderzały o ziemię. Cała gromada wierzchowców rzuciła się do ucieczki, niektóre z jeźdźcami na grzbietach, inne zdołały swoich zrzucić.

Żołnierze mieli twarze białe lub brązowe, byli różnego wieku i pochodzenia, łączyła ich tylko służba w rzymskich oddziałach. Ale teraz jednym głosem zanosili modły o pomoc i łaskę.

Ennio był przy mnie. Obejmował mnie ramieniem. A kiedy chciałam po prostu ukryć twarz na jego piersi, tuląc dziecko między naszymi ciałami, on zmusił mnie, bym uniosła głowę.

- Patrz! Patrz, Janna! Musisz to zobaczyć!

Tylko dzięki temu ujrzałam potężny rój owadów. I dlatego się nie bałam, kiedy zaczęły na nas spadać.

Kiedy żołnierze wrzeszczeli w panice i bezskutecznie wymachiwali mieczami w stronę przezroczystych skrzydełek, ja siedziałam i czułam, że łzy wypłukują ziarna piasku z moich oczu.

- Skarabeusze - powiedział Ennio. - W jego głosie brzmiał szacunek. - Skarabeusze! Zostały przysłane, by nas uratować, Janna! Zostały wysłane przez boga Atum, Stworzyciela!

Serce tłukło mi się głośno w piersi. A może to uderzenia jego serca czułam na swojej skórze? Może nawet ude-

rzenia serca dziecka, chłopczyk bowiem spoczywał ufnie między nami. Ramię Ennio osłaniało i mnie, i dziecko.

Jeden z żuków z lekkim stuknięciem trafił mnie w ramię. Zobaczyłam, że pełźnie po mojej ręce. Instynktownie odsłoniłam wnętrze dłoni i skarabeusz tam właśnie usiadł.

Było to doznanie pełne grozy, a zarazem piękne.

Pancerzyk, który pokrywał plecy wielkiego żuka, mienił się zielono, żółto, liliowo i srebrnie. Odnóża miał włochate i długie. Potężne czułki kręciły się, jakby nasłuchiwały, jakby były uszami owada. Wargi wyglądały okropnie. Na szczęście nie były duże.

Dziecko wyciągnęło rączkę i pogłaskało żuka po pancerzu.

Uśmiechało się!

Widocznie chłopczyk nie bał się owadów, głośnych krzyków żołnierzy ani ogłuszającego szumu. Nie przstraszyły go desperackie wrzaski rzymskich żołnierzy, którzy uciekali w rozsypce.

- Trzeba ruszać - powiedział Ennio.

Odnależliśmy nasze wierne konie, których nie spłoszyły hałasy. Najzupełniej spokojnie, nie oglądając się za siebie, zostawiliśmy w pustynnym krajobrazie setkę zawodzących rzymskich żołnierzy. Ani jeden z nich nie ruszył za nami w pogoń.

Myślę, że ich rozumiałam.

Jechaliśmy przez cały dzień, nie lękaliśmy się już światła. A kiedy zapadła noc, wiedzieliśmy, że gdy słońce znowu wstanie na niebie, ukażą się naszym oczom żyzne doliny nad Nilem.

Tego wieczoru, przy ognisku, którego nie baliśmy się palić, powiedziałam szeptem do Miriam:

- Myślę, że to był znak dany nam przez Pana. Skarabeusze nie latają przecież takimi chmurami?

Nie natychmiast mi odpowiedziała. Zwróciła się do męża, dotknęła jego ramienia i poprosiła:

- Przeczytaj im, mój drogi.

Starszy mężczyzna z brodą spojrział na nią bez słowa. Miał znowu na głowie swój zniszczony kapelusz. Uśmiechał się oczyma.

Wolno ujął węzełek, który mieli przy sobie.

Dostrzegłam błysk złota w środku, przypomniałam sobie ów niezwykły przedmiot. Stary mężczyzna wyjął zwój papirusu, ale go nie rozwinął.

Podał mi go.

Ręce mi drżały, domyśliłam się natychmiast, że musi to być jakieś święte pismo, coś, czego mogą dotykać jedynie kapłani. Żaden zwyczajny człowiek, a już zwłaszcza kobieta, nie powinien czytać takich dzieł.

Mimo to przyjęłam zwój i pochyliłam głowę.

- Przeczytaj to, ale kiedy indziej. Gdy znajdziesz się już w domu.

Przytaknęłam.

Miriam uśmiechała się do mnie. Dziecko leżało spokojne, suche, wbijało białe ząbki w soczyste jabłko.

Ennio obrządził konie i przyszedł do nas, siedzących na miękkiej trawie przy ognisku.

W powietrzu unosiły się obce zapachy, choć rozpoznawałam wśród nich rozmaryn i kapryfolium.

- Dzisiejszej nocy się rozstaniemy, my pojedziemy w swoją stronę, wy w swoją.

Przestraszyłam się.

- Kto w takim razie będzie was ochraniał? Przecież żołnierze...

W tej samej chwili pojęłam, jak bezsensowne były moje obawy.

Ennio uśmiechał się.

- Myślę, że oni nie potrzebują już opieki miecza - powiedział. - Jesteśmy w domu, Janna. Nikt ich tu nie znajdzie w wielkich tłumach ludzi. Ani na rozległych równinach, gdzie ludzie nadal żyją w pokoju, Żydzi i Egipcjanie, Grecy i Rzymianie.

Ja też się uśmiechnęłam.

- Macie tu rodzinę albo przyjaciół? - zagadnęłam Miriam.

Młoda kobieta przytaknęła.

- Tak, zajmą się nami.

Przez chwilę grzebałam patykiem w ognisku.

- Ale nie macie jedzenia, nic... ech, Ennio, czy możemy oddać im konie? I resztę jedzenia? Mam trochę srebra, mogę sprzedać, będziemy mieli z czego żyć. W rzeczach mamy jest sporo kosztowności.

Jego dobroć była, jak się spodziewałam, bezgraniczna.

- Oczywiście, że damy im konie! I tę odrobinę jedzenia, która nam jeszcze została. Myślę jednak, że nie powinnaś się martwić, Janna. Nie o tych troje...

Kobieta złożyła dziecko w moich ramionach i poprosiła, żebym mu trochę pośpiewała. Patrzyłam na senną małą buźkę i poczułam w sercu niezwykłą tęsknotę. Myślę, że mogłabym kochać to dziecko jak własne. Chłopiec patrzył na mnie szeroko otwartymi oczkami i drobnymi paluszkami dotykał pieszczotliwie moich policzków i nosa. W końcu zamknął oczy.

Ennio i nasi towarzysze odeszli kawałek od ogniska. Słyszałam przyciszoną rozmowę, zobaczyłam, że Ennio daje im prowiant i skórzany worek z winem pomieszanym z wodą.

Oczy chłopca otworzyły się nagle. Widziałam w nich żar, poznałam, że odwzajemniał moje ciepłe, silne uczucie, jakie do niego żywiłam, do niewinnego maleństwa, któremu groziło takie niebezpieczeństwo.

Chciałam go ochraniać!

Gdyby się to okazało konieczne, to nawet własnym życiem. I bałam się, że jego przyszłość nie będzie spokojna, żydowski chłopiec, uchodźca w obcym kraju, pośród obcych ludzi...

I nagle chłopiec do mnie mrugnął. Jakby spokój w jego wielkich brązowych oczach był nie z tego świata, jakby nie dotyczyło go to zło, które - wiedziałam o tym bardzo dobrze - panoszyło się w naszym kraju.

Pochyliłam głowę, śpiew przeszedł w ciche nucenie. Stwierdziłam, że jestem okropnie zmęczona. Wydarzenia na równinie wydawały mi się złym snem, tylko snem.

Tym razem jednak nie miałam wątpliwości, co widziałam.

I zrozumiałam więcej, niż moje serce zdolne było przyjąć.

Kiedy więc staliśmy i patrzyliśmy, jak odjeżdżają, Miriam ubrana w mój poplamiony, czerwony, żołnierski płaszcz, w moim sercu pojawiło się coś na kształt szczęścia.

Już się o nich nie bałam.

I omal nie uniosłam się ponad ziemią, gdy pomyślałam, że nareszcie jesteście sami, Ennio i ja.

12

- Poznaję po twoich oczach, że zrozumiałaś - szepnął Ennio.

Ognisko się dopalało, została już tylko nieduża kupka żarzących się jeszcze węgla. Ale każdy powiew wiatru sprawiał, że ogień jakby znowu zaczynał oddychać.

- Czy teraz jesteście już w Egipcie?

- Tak, już od jakiegoś czasu. Jutro zobaczysz Nil. Znaleźliśmy się blisko jednej z odnóg. Czy nie słyszysz szumu płynącej wody? Nie słyszysz, że nas wabi? Śpiewem...?

Uśmiechnęłam się lekko.

- Czy rzeka jest jak osoba?

- Owszem... to matka. Moja matka. I twoja również. Matka wszelkiej płodności...

O tym, oczywiście, wiedziałam. Słyszałam, że ta potężna rzeka co roku wylewa, jest wtedy groźna i zła, porywa ze sobą wszystko, co stworzył człowiek. Żyją też w niej różne potwory, straszne krokodyle, niebezpieczne demony. Ale kiedy woda się uspokoi, można rozpoczynać siewy. Nigdzie ziarno nie kiełkuje tak wspaniale jak na terenach, które zalała rzeka i została po sobie grubą warstwę szlamu.

- Dokąd mnie prowadzisz, Ennio?

Uśmiechnął się ponad żarem ogniska.

- Chyba wiesz, Janna. Do domu...

Nie chciał powiedzieć nic więcej, nawet teraz, kie-

dy podróż zbliżała się do końca. Poczułam nawet gniew, ale jego oczy, jego przeogromny spokój udzielił się również mnie jako wielkie poczucie bezpieczeństwa.

Nie zachęcona położyłam głowę na jego kolanach. To także niedozwolone zachowanie, ale widocznie takie myśli już mi gruntownie wywietrzały z głowy.

Tak więc nie byłam już Rebeką, Żydówką.

Odjechałam dalej, niż by na to wskazywały odległości, jakie przebyliśmy.

- Czy widziałaś skrzydełka skarabeusza? - zapytał Ennio rozmarzonym głosem. - Są takie piękne, takie cieniutkie i przezroczyste, że można widzieć przez nie świat. A mimo to są w stanie udźwignąć takie duże i ciężkie ciało.

Słuchałam, wchłaniałam w siebie jego zapach, czułam, że ręce mnie wprost swędzą, musiałam pogłaskać go po ramieniu, które spoczywało na mojej głowie.

Skóra Ennio była gładka i gorąca, pulsowała życiem pod opuszkami moich palców. Krew krążyła coraz szybciej.

- Skrzydełka... arcydzieło... żaden budowniczy piramid nie stworzył większego. Żaden konstruktor nie jest w stanie pojąć zasad, na których zostały zbudowane.

- Tak, to prawda - mruknęłam.

On kiwał głową:

- To, co najpiękniejsze, zawsze trudno wytłumaczyć. Trudno zrozumieć.

Pieszczotliwe ruchy jego ręki ustały, nieoczekiwanie oparł ją po prostu na moim policzku. Zaraz potem poczułam przy uchu jego oddech. Usta w tym wrażliwym miejscu, gdzie zaczyna się linia żuchwy. Leżałam drżąca, a on całował mnie po twarzy.

- Janna, Janna...

Delikatnie odsunął mnie od siebie. Leżałam na boku, mając pod głową jego ramię. Byliśmy tak blisko siebie, że mogłam koniuszkiem języka dotykać jego warg i wcale nie musiałam przysuwać do niego twarzy.

Czułam, że całe moje ciało się rozpływa, a zarazem tężeje niczym złoto w ogniu zdolnego kowala albo ruda w piecu.

Czy jeszcze kiedykolwiek odważę się oddychać?

Gdybym teraz otworzyła usta, to jego dusza wpłynęłaby do mojego ciała. I pewnie by mnie udusiła.

Ale on mnie uratował. Zaczął niemal niedostłyszalnie nucić. Obejmował mnie mocno, obiema rękami.

Potem się podniósł. Stał nade mną, ciemny na tle rozgwieżdżonego nieba.

- No to idziemy - powiedział.

Uśmiechnęłam się. Wstałam i poszłam za nim. Szliśmy w dół po stromym zboczach. Nie zatrzymywał nas ani zapach kwiatów, ani zwisające nisko gałęzie drzew. Potknęłam się raz w miejscu, gdzie zbocze było bardziej strome, ale teraz, na samym dnie doliny, widziałam odbicie nieba.

Rzeka.

Czarna, połyskliwa, spokojna.

Szeroka niczym jezioro, a za nią rozległe równiny. Żadnych gór, żadnych wzgórz, które by zamykały widok. Horyzont, rzeka i ziemia stapiały się w jedno, nawet gwiazdy nie wyznaczały żadnej granicy, odbijały się bowiem w rzece.

Kiedy nasze buty zrobiły się wilgotne, stanęliśmy na pomieszanej z piaskiem glinie.

Ennio mnie rozebrał.

Najpierw buty.

Spodnie do konnej jazdy, jakie nosili rzymscy legioniści, szal, tunikę, długą koszulę. Każdy kawałek mojej nagiej skóry gwiazdy oglądały na wyścigi z jego oczyma.

Pieszczoty, muśnięcia jego rąk, takie delikatne, że można je było pomylić z powiewem letniego wiatru.

Brodawki moich piersi kurczyły się, zaczęłam drzeć. Jeśli te lekkie muśnięcia wprawiają mnie w taki stan, to jak zniosę coś więcej?

Stałam dość pewnie, woda obmywała mi stopy i kostki. Ennio zostawił mnie tutaj na chwilę, sam wrócił na brzeg. Słyszałam odgłos jego kroków, ale widziałam jedynie kontury postaci.

Kiedy wrócił, był tak samo nagi jak ja i teraz mogłam dostrzec leciutki uśmiech na jego twarzy.

Wziął mnie za rękę. Poszliśmy przed siebie. Prąd stawał się coraz silniejszy, choć rzeka była taka rozlewna, toczyła się tak spokojnie, to czułam opór wody. Kiedy zanurzyliśmy się aż do pasa, Ennio w końcu mnie objął.

Dotyk jego nagiego ciała nie był bardzo szokujący, woda bowiem w jakiś sposób przygotowała mnie na to doznanie.

Ennio stał plecami do nurtu rzeki, ja odpoczywałam, bo woda nie mogła popychać mnie ku niemu. Wszystkie płynące od niego zapachy potęgowała czarna woda, a ja je wchłaniałam. A kiedy wziął mnie na ręce i trzymał niczym dziecko, zlizywałam krople z jego twarzy.

Prąd bawił się moimi włosami. Odchyliłam głowę w tył. Ennio był taki silny, że nie musiałam się bać. Kiedy tak trwałam w jego objęciach, woda Nilu zmywała ze mnie wszelki kurz i brud.

W pewnej chwili oboje znaleźliśmy się pod wodą.

Całowaliśmy się, wstrzymując oddech.

A moje ręce były niczym ryby między podwodną trawą.

Później Ennio mnie mył, delikatnie przesuwał dłoń po moim ciele, kreślił półksiężyc wokół moich piersi, rozmasowywał obolałe plecy i biodra. Na koniec nabierał wody w usta i masował językiem po kolei wszystkie moje palce.

Byłam bez reszty we władaniu rzeki.

Gdybym tylko otworzyła usta, natychmiast wypełniłaby mnie cała.

A moje ciało zanurzone w wodzie wyzbyło się ciężaru, pływałam jak jeszcze nigdy. I teraz pojęłam nocne szaleństwo mojej matki w ogrodowej sadzawce.

Zrozumiałam jeszcze wiele spraw.

Kiedy oboje płonęliśmy i drżeliśmy - może od chłodu, któż to wie - wyszliśmy wreszcie na brzeg. Wiatr stał się chłodniejszy, ale drogę przez zbocze do naszej małej dolinki odnaleźliśmy bez trudu. Ognisko żarzyło się niczym oko w ciemnościach, a stopy niosły nas lekko naprzód.

Ennio miał spory kawałek czystego płótna i okrył mnie tym. Tkanina była szara i zniszczona, ale cudownie miękka.

Pomyślałam sobie: Oto mój ślubny strój, piękny jak żaden.

Ennio, nagi, położył się przy mnie. Oparł głowę na ręce i patrzył na mnie. Uśmiechał się leciutko. Nikt nigdy nie oglądał mnie w takiej sytuacji i w taki sposób, ani przedtem, ani potem. Tylko te jego oczy wystarczyły, żebym znowu zaczęła drżeć na całym ciele, wcale nie z zimna tym razem ani nie od wody, tylko dlatego, że zdałam sobie sprawę, co moja siostra Tabitha próbowała mi wytłumaczyć.

Pochylił się leciutko, jakby z wielkim szacunkiem. Całował mnie delikatnie i gorąco w wilgotne wargi, dotykał ustami moich ramion, szyi.

- Ty, piękna bogini - wyszeptał.

- Mój ukochany strażniku - odparłam równie cicho.

Pocałunki trwały długo, bardzo długo. Nie stały się jednak bardziej gorączkowe. Wiedziałam, nie zdając sobie z tego sprawy, że balansujemy na granicy i potykamy się o nią, że jeszcze jedna pieszczota i nurt nas pochłonie, porwie ze sobą.

- Wkrótce nasz czas nadejdzie - powiedział Ennio. Przytaknęłam.

- Chodź, odpocznij teraz przy mnie. Porozmawiamy. Słów ciało także potrzebuje.

I po raz drugi tej nocy obnażyłam się przed nim całkowicie, tym razem poprzez słowa.

Opowiedziałam Ennio o wszystkim, co się stało od tamtej chwili, kiedy mama i ja byłyśmy świadkami ukamienowania obcej kobiety, tej, która umierała z wizerunkiem skarabeusza w zaciśniętej dłoni.

Ennio przytulał mnie jeszcze mocniej, tulił wargi do mojej szyi, drżał leciutko.

- To była moja siostra - powiedział, nie podnosząc głowy.

Zamilkłam.

Wydarzyło się ryle niezwykłych rzeczy, dlaczego jedna miałyby nie mieć związku z całością? Bóg nami kieruje, czyni to pewną ręką, co do tego byłam teraz absolutnie przekonana. Gdyby bowiem choć jedna z katastrof się nie wydarzyła, Ennio i ja nie moglibyśmy się spotkać.

W ten sposób wszystko zyskało jakiś sens, choć ból i rozpacz wciąż jeszcze drążyły głębokie bruzdy w moim sercu.

- Czy ty wiesz, że skarabeusz to imię boga Chepry? Boga wschodzącego słońca? A oznacza tyle samo, co „twórca”. „Ten, który odmienia”.

Przytaknęłam. Pamiętałam znak, który paluszek małego chłopca uczynił na pancerzu żuka. Dwie krzyżujące się linie. Znak miłości, pomyślałam.

- Skarabeusz składa jajeczka w kręgu, zawsze tylko w dzień pełen słońca - tłumaczył Ennio. - Mój ojciec ma skarabeusza na pierścieniu. To jest... moje dziedzictwo.

- Moje także - wtrąciłam.

I opowiedziałam mu więcej o skarabeuszach, przypomniałam legendę mówiącą, że te owady pomagają przetrwać duszy człowieka. To dlatego w grobach dawnych faraonów znajduje się ich tyle, zabalsamowanych czy pięknie wyrzeźbionych w złocie, lapisie lub szlachetnych kamieniach.

Z wolna docierało do mnie, że ów cud, który uratował nas przed rzymskimi żołnierzami, był jeszcze bardziej niezwykły niż rój owadów, jaki nieoczekiwanie pojawił się na naszej drodze, oślepił i unieszkodliwił Rzymian, a nas nawet nie tknął.

W koronach otaczających nas drzew zaczynał już szeleścić poranny wietrzyk. Ennio okrył nas oboje zakurzoną derką, czyste płótno ułożył między nami. Czułam, że ciepło ziemi przenika w moje ciało, mogłam zasnąć w jego ramionach.

Leżałam tak blisko niego, że gdybyśmy nie oddychali w jednym rytmie, piersi dławiłby mi bolesny ucisk.

Ogień jeszcze się żarzył, jeszcze ciepło do mnie docierało. Czułam zapach naszych ciał i ogarnęła mnie wielka tęsknota.

- Jutro pokażę ci świątynię twojej matki koło Abidos - powiedział Ennio po długim milczeniu.

- Dobrze...

- Czy wiedziałaś, że twoja matka była wybraną? Że miała służyć w świątyni Izydy, tej małej, którą nazywamy Ukryte Imię?

- Pan nie szczędzi mi dzisiaj cudów - szepnęłam, patrząc w potężne nocne niebo.

- Chyba masz rację - zgodził się Ennio.

Tym razem to ja zaczęłam go całować i nie przestałam, dopóki obojgu nam nie zakręciło się w głowach.

Powinniśmy jednak czekać.

Wiedzieliśmy, że czas jeszcze się nie dopełnił.

Byłam tak przepełniona miłością, że chyba nie zniósłabym już ani odrobiny więcej. Gdyby Ennio kochał mnie dzisiejszej nocy, to chyba bym umarła. Po prostu ze szczęścia.

13

Wieczór po tej nocy pod gwiazdami też był magiczny. Choć nigdy nie przesłoni mi kąpieli w rzece, miłości, którą daliśmy sobie nawzajem, przeważnie za pośrednictwem słów, to urok tego wieczoru wspominać jako jedną z pereł w długim łańcuchu, który miał nas w życiu połączyć.

Miałam na sobie długą szatę z najcieńszego płótna, a na głowę Ennio włożył mi wieniec spleciony z zielonych gałązek i maleńkich białych kwiatków. Świątynia nie wydawała się duża, tylko kolumnada w kształcie półksiężyca i niewielki, mieniący się pięknie budynek pośrodku. Siedzieliśmy w towarzystwie trzech kobiet i trzech mężczyzn w dolnym ogrodzie i posilaliśmy się pod dachem z liści.

Kobiety miały imiona bogiń zawsze z dodatkiem „veth”, co znaczy „ta, która się wznosi”. Łagodnymi, przyciszonymi głosami opowiadały mi o dziele swego życia.

- Tysiąc pięćset lat temu bogini Izyda była czczona jedynie tutaj, nad północną częścią delty Nilu, tutaj bowiem kapłani z On* ofiarowali jej miejsce u boku boga Ra. Kiedy jednak powstało Nowe Państwo, stała się boginią całego narodu, jej świątynie i ołtarze budowano w całym kraju. Ale my... my szukamy źródła.

*On - później nazwane z grecka „Heliopolis” - przyp. tłum.

Źródła tajemniczego, tego, z którego wypływa i miłość, i pokój, i Nil. W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się, że jesteśmy już blisko niego. Chaldejczycy widzieli znaki. Wydarzyło się coś wielkiego. Chaldejczycy czekają na przyjście syna Bożego, tego, którego Żydzi nazywają Mesjaszem, a którego my określamy wieloma innymi imionami.

Ułamałam kawałek białego pachnącego chleba i umoczyłam go w miodzie.

- A świątynia nosi nazwę „Ukryte Imię”?

Jedna z kobiet, Chons-veht, uśmiechnęła się do pozostałych, a mnie posłała pełne uznania spojrzenie.

- Zrozumiałaś - rzekła. - Często tak bywa, że człowiek rozumie, choć nie wie. Do twoich uszu dotarł święty oddech. Szept dobrej siły. Dlatego wiesz, chociaż nigdy nie czytałaś świętych zwojów. I chociaż nie przeprowadziłaś ani jednej rozmowy z uczonymi.

Wtrącił się jeden z mężczyzn, który powiedział:

- Izyda jest jedyną boginią, która zna ukryte imię Ra. Jest mu równa, odkąd wyjawiał jej to imię. Nie zna go jednak nikt, kto nie ma go w swoim sercu. Kto nie zacerpnął go z pucharu boga.

- Puchar boga Słońca - mruknęłam. Słowa matki dźwięczały mi w głowie niczym dalekie echo.

Wszyscy znowu zdumieni popatrzyli po sobie.

Ennio położył swoją pewną rękę na mojej drżącej dłoni.

- Izyda jest boginią macierzyństwa. Tą, która daje życie. Uzdrawia też chorych. I czyni cuda. I przemawia szeptem jedynie do tych, którzy chcą słuchać. Izyda ma naprawdę wiele imion... mimo to wszędzie jest tą samą boginią.

- Podobnie jak mój Pan Zastępów - wtrąciłam.

- Tak jest z każdą dobrą siłą - powiedział Ennio. - Dlatego my, w naszym państwie, nie dajemy już tak wielkiej władzy kapłanom.

Wciągałam głęboko do płuc świeże, wilgotne powietrze. Oczyszczało mnie. Szum morza docierał tu z bliska. Tutaj nie było suchych wiatrów jak w Betlejem.

- Bardzo bym chciała...

Głos mi się załamał. Wiedziałam, że teraz nareszcie z moich oczu mogą popłynąć łzy.

- Żeby tak mama... żeby Tabitha... żebyśmy wszystkie mogły mieszkać w tym kraju, to żaden kapłan nie posłałby jej na śmierć!

Ennio objął mnie.

- Mój mały pucharku... słoneczko... ich drogi zostały wytyczone, jeszcze zanim one same przyszły na świat. Nie rozpaczaj więc nad ich losem. On jest częścią ciebie, twojej drogi. Pamiętaj, że one były ogniwa mi tego samego łańcucha! I gdyby nie spełniły swojej roli, twoje życie nie mogłoby się połączyć z moim. Z nami, tutaj.

Ennio miał rację. Sama przecież myślałam o tym ze sto razy, odkąd dziś rano słońce wzeszło.

Nie mogłam jednak powstrzymać łez.

- Mamo... mamoo... dlaczego nie mogłaś... przyjechać tu ze mną?

Kobiety wokół mnie zakryły twarze rękami lub włosami. Wiedziałam, że one również płaczą.

Jakieś ptaki wyśpiewywały swoją wieczorną pieśń w bluszczach oplatających kolumnadę.

Jak rozkosznie było móc płakać, płakać bez skrępowania pośród tych obcych ludzi, którzy posiadali jakąś część serca mojej matki.

I Ennio był przy mnie, obejmował mnie przez cały

czas. Kiedy nareszcie ucichłam, zmoczył białą chusteczkę w różanej wodzie i przemył mi twarz.

Kobiety uśmiechały się łagodnie, mężczyźni również.

- Dziś w nocy będziesz dobrze spać - powiedziała Chons-veht i pogłaskała mnie po ramieniu.

- Kiedy już zjemy, poznasz dawne obyczaje. W ten sposób oczyszcza się wszystkich nowo przybyłych. Najpierw kąpiel w Nilu, potem przy ogniu, złocie i własnym oddechu.

Odprowadzono mnie od stołu, który wciąż jeszcze ugiął się pod mnóstwem owoców i pieczonych ryb. Wina piliśmy niewiele, było złociste i bardzo słodkie.

Ramię Ennio objęło mnie w pasie, na oczach wszystkich, choć przecież w naszym towarzystwie byli tacy, których można uważać za kapłanów.

Poprowadzili mnie po schodach na górę. Teraz zobaczyłam, że tylna część świątyni ciągnie się dalej, przez dolny ogród. Początkowo w ogóle tego nie było widać, dachy porośnięte zielenią ukryte były przed ludzkimi oczyma, widoczne tylko ze szczytu tych szerokich schodów.

Wkrótce ciemność otuli wszystko.

Ale nad naszymi głowami wisały lampiony na złotych sznurach, paliły się w nich małe płomyki, które dawały i światło, i zapach kadzidła.

- Serce tak strasznie mi bije - szepnęłam do Ennio, kiedy wszyscy weszliśmy do pokoju.

Tam również płonął ogień w licznych płaskich misach ustawionych wzdłuż ścian, oświetlając je aż po sklepienie. Ściany były pokryte nieprawdopodobnymi malowidłami. Postaci ludzkie! Portrety bogini! Zwierzęta, ptaki i setki skarabeuszy!

Mimo woli jęknęłam.

To wszystko zrobiono ku czci bogów, ku czci tej samej świętości, która, jak mnie zawsze uczono - surowo zakazuje malowania i przedstawiania tego, co stworzyła.

W pokoju panowała bardzo miła atmosfera, było ciepło.

Ustawiony na podwyższeniu ołtarz wycięto w czymś, co wyglądało jak czarny marmur. Ale nawet z tymi potężnymi, połączanymi postaciami strażników w śmiesznych maskach emanował od niego spokój i radość.

Ku swemu wielkiemu przerażeniu zobaczyłam, że na poduszce u stóp ołtarza leży biały kot. Gdyby coś takiego zdarzyło się w żydowskiej świątyni, kapłani natychmiast skrzyknęliby zwierzęciu kark!

Towarzyszący mi ludzie widzieli kota, ale nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Zwierzę wstało, gapiło się przez jakiś czas swoimi zielonymi oczyma, przeciągnęło sennie i wróciło na poduszkę. Dopiero kiedy jedna z kobiet je zawołała, podeszło i zaczęło się ocierać o jej nogi.

- To strażnik bogini Bastet, podobnie jak jej następcy wrogowie boga Słońca, którzy niegdyś zostali wymordowani.

Uśmiech na jej wargach świadczył, że z rozculeniem opowiada dawną legendę. Niczego się nie bałam.

Może to te wszystkie kwiaty albo miękkie dywany pod naszymi bosymi stopami?

Spojrzałam w dół i odkryłam, że również podłoga została wyłożona przepiękną mozaiką z gładzonych, przezroczystych kamieni! Złocistych i wcale nie zimnych, kiedy się po nich stapało.

Ennio poszedł przodem razem z najstarszą kobietą.

Odwróceni do nas plecami, nucili jakąś starą modlitewną pieśń.

Potem zostałam doprowadzona przed surowe oblicze bogów. Dlaczego się nie bałam? Dlaczego nie słyszałam gniewnego krzyku ojca, że to przecież pogaństwo, haniebne oddawanie czci bożkom!

- Izydo i Ozyrysie, boskie rodzeństwo, stwórcy, uzdrowiciele i sędziowie... do was przychodzimy z tą kobietą, by poświęcić wam jej duszę, jej siłę, cień oraz imię.

Następnie podano mi czarę z jakąś jasną cieczą. Nie czułam żadnego zapachu... po prostu woda! Patrzyłam oszołomiona na moich gospodarzy. Czy mam się umyć?

- Zbliź się do bogów. Podaj im swoją ofiarę.

Znowu popatrzyłam na dół, do czarki, i stwierdziłam, że została wykonana z kutego srebra. Odrobina wody przelała się przez krawędź, kiedy szłam. To najdziwniejsze, co mogłabym wymyślić - składać wodę w ofierze? Nie krew, nie żadne kosztowne zwierzęta, nie ludzi, jak to czynią czciciele Baala... nawet nie kwiaty czy kadzidło?

Po prostu wodę?

Stałam przed ołtarzem, przed obrazami i posągami trzymającymi płonące oliwne lampki, i wylewałam wodę na czarny marmur.

- Podobnie jak synowie Ra mogą mieć wiele imion: Ozyrys, Atum, i jak wszyscy inni bogowie, tak i każdy człowiek może sobie wybierać imiona w nieskończoność - oznajmiła bardzo głośno kobieta, mówiąca moim językiem.

Odpowiedziałam jej natychmiast:

- Ja jestem Rebeka, Janna i...

Wstrzymałam oddech, coś się ze mną działo, nie bardzo rozumiałam co, i nagle powiedziałam:

- Quetesh-vet!

Sama nie wiem, skąd mi się to wzięło.

Nucenie za moimi plecami przybierało na sile, zdawało mi się, że ktoś klaszcze w dłonie i że słyszę szelest tańczących na podłodze stóp.

Podszedł Ennio i wziął mnie za rękę.

- Wybrałaś swoją boginię z mądrością, płynącą z serca - rzekł cicho.

Spojrzałam w jego przepastne oczy i nie chciałam zdradzić, że to imię przyszło do mnie samo, że zapamiętałam je ze starej dziecięcej śpiewanki.

- Będziesz jeździć na lwie, jak ta syryjska bogini Będziesz mieć w ręce kwiaty i lśniące lustro. Jesteś jedyną, która może pokazywać swoją twarz! Bogini zwierciadła...

Byłam kompletnie oszołomiona, ale uradowana.

- Teraz kobiety zaprowadzą cię do izby, w której miała spać twoja matka - powiedział Ennio. - Jutro przyjdę obudzić cię pocałunkiem...

Chciałam go przytrzymać, pragnęłam, by ze mną został, widok Ennio, który opuszcza świątynię, znika, był nieoczekiwany i bolesny.

Ale kobieta trzymała mnie mocno za ramię.

- Wasz czas jeszcze nie nadszedł - powiedziała cicho. - Przedtem jeszcze musisz coś zrozumieć. Pewną tajemnicę, prawdę pochodzącą z pucharu boga Słońca, w którym gromadzi się sny. Może pojmiesz to już dzisiejszej nocy?...

I znowu wiedziałam, że tak musi być.

Jednak leżąc sama pod lekką, piękną narzutą z jedwabiu i miękkiego lnu czułam się bardzo mała i samotna. Nie spałam sama od czasu pobytu w nieczy-

stym pokoju, jeszcze w domu. Teraz dygotałam i tęskniłam do ciepła Ennio.

Rzucałam się na posłaniu, sen nie chciał przyjść. Strzępy różnych obrazów krążyły mi po głowie coraz szybciej i szybciej, nie byłam w stanie ich rozpoznać, nie mogłam zatrzymać strumienia, by każdemu z nich przyjrzeć się bliżej.

Wszystko przekształciło się w chaos i kakofonię, zaciskałam powieki i rękami zatykałam uszy.

Nic nie pomagało.

Po omacku szukałam na podłodze. Moje posłanie było bardzo niskie, w pobliżu stało naczynie z wodą. Obok niego taca z kiśćmi winogron i owocami fig. Jeszcze jakieś twarde owoce z listkami w kształcie gwiazdek były mi całkowicie nieznane. Wiedziałam, że postawiono mi też nieduży dzbanek z winem, nalałam więc teraz do prostego pucharu i wypiałam.

Na niewiele się to zdało.

Poprzez wąskie otwory okienne widziałam niebo. Stwierdziłam nareszcie, że zaczyna dzień.

A ja wciąż jeszcze nawet nie zmrużyłam oka.

Jakim więc sposobem wydostanę potrzebną mi prawdę z pucharu boga Słońca?

Skończyło się na tym, że zaczęłam płakać. Nie był to dobry, oczyszczający płacz. Szlochałam pełna wstydu, a lęk wbijał ostre szpony w moje serce.

Co ja zrobiłam?

Pozwoliłam się oczarować poganom, wyznawcom jakichś bożków!

Czułam się taka zbrukana i nieczysta, że chyba na całej ziemi nie ma tyle zwierząt ofiarnych, ile by było trzeba, żeby mnie oczyścić.

Cała moja nędza, wszystkie grzechy stanęły mi tej

nocy przed oczyma. Wiedziałam przecież, że słowa Pana w tej sprawie są jasne: Nikt, kto szuka cielesnych rozkoszy, kto znajduje upodobanie w tym, co pochodzi z tego świata... nie może oczekiwać łaski. Za każdą niegodną rozkosz trzeba drogo płacić. Każdą nieczystą myśl trzeba wypalić ogniem i męką. Pan jest surowym sędzią. I sprawiedliwym mścicielem.

Mogłam była krzyczeć z bólu, ale wciskałam sobie pięść do ust i mocno ją gryzłam. Z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięk i prócz szelestu liści na drzewach. Ptaki nie zaczęły jeszcze śpiewać, nawet dalekie szczekanie psa nie przywracało mnie do rzeczywistości.

Skuliłam się jak dziecko i nie przestawałam szlochać.

W końcu złożyłam dłonie tak, jak mnie ojciec uczył, zanim jeszcze zaczęłam mówić lub chodzić.

Niemal czekałam, że piorun z nieba ukarze mnie za takie bluźnierstwo - upadła Rebeka nie ma przecież prawa modlić się do Pana!

Nic takiego się jednak nie stało.

Wprost przeciwnie.

Razem ze zbliżaniem się poranka przyszedł też do mnie spokój i zanim bóg Słońca ponownie się narodził, zasnęłam i zajrzałam głęboko do jego pucharu.

Do pucharu z sennymi marzeniami.

Miałam sen, ale widziałam wszystko tak wyraźnie, jak w środku dnia:

Mały chłopczyk trzyma w pulchnych paluszkach przedmiot. Pięknie kuty ze złota, wypolerowany tak, że nie ma najmniejszej rysy. Trzy doskonałe kule połączone ze sobą w ten sposób, że powstała między nimi podłużna przestrzeń. To niezwykle, że można we śnie widzieć takie małe rzeczy pomyślałam - we śnie.

Za plecami dziecka znajdowało się słońce, którego światło tworzyło złotą aureolę nad ciemnymi włosami malca. Dziecko miało głęboko osadzone oczka, ciemne, prawie czarne, ale z żywym bursztynowym błyskiem.

Była tam też jego matka, zdrowa teraz i silna, podpierająca swego starszego męża, siedząc obok niego na kamieniu nad małym, szumiącym potokiem. Bez trudu poznałam oboje.

Dziecko bawiło się w trawie, puchar toczył się po kwiatach i opadłych liściach. Po chwili chłopiec znowu wziął w rączki puchar, podniósł go ku słońcu i śmiał się radośnie, widząc refleksy i plamy światła, płynące od złota pod ciemne drzewa, gdzie siedzieli rodzice.

Tak poruszał przedmiotem, że świetlny zajaczek padł na pochyloną głowę matki. Później na wielką brodę ojca, siwą i bujną, ukrywającą usta, szyję i połowę piersi mężczyzny.

Pobiegłam do dziecka, czułam, że z piersi wrywa mi się krzyk radości, chciałam się z nim bawić!

Kiedy byłam blisko, już miałam upaść przy nim w trawie na kolana, chłopiec cofnął rączkę z pucharem i popatrzył na mnie bardzo poważnie.

- Kim jesteś, kobieto?

Czułam, że język zmienił się w kawałek surowego mięsa w moich ustach.

Chciałam odpowiedzieć, znałam odpowiedź, pamiętałam swoje imię i chciałam mu powiedzieć. Nie wy dobyłam jednak z gardła najmniejszego dźwięku, serce tłukło mi się w piersi jakby ostrzegawczo.

- Kim jesteś? - zapytało znowu dziecko. Teraz jego głos był zmieniony, hałaśliwy, jak uderzenia bębna.

Wtedy też usłyszałam, że odpowiadam mu tym samym pytaniem:

- Tutaj, w domu Żyda Zachariasza, nikt o tobie nie słyszał, chłopcze. Kim więc jesteś?

A on odparł:

*A ty, Betlejem Efrata,
najmniejsze jesteś wśród plemion judzkich!*

Z ciebie mi wyjdzie

*Ten, który będzie władał w Izraelu,
a pochodzenie jego od początku,
od dni wieczności **

Bardzo to było dziwne, nawet we śnie byłam zdumiona, że takie małe dziecko umie na pamięć takie trudne słowa. Głos malca był mieszaniną głosu osoby dorosłej i dziecka, i niski, i wysoki. A słowa rozpoznałam bez trudu!

To przecież przepowiednia proroka Micheasza. Słowa, które my, Żydzi z Betlejem, uważaliśmy niemal za swoją własność. Pyszniliśmy się też i mieliśmy nadzieję, że podobnie jak inne większe miasta Betlejem stanie się kiedyś znane i święte.

We śnie, kiedy chłopiec umilkł, ja ciągnęłam dalej szeptem, a z tym szeptem łączył się donośny głos mojego ojca:

*Przeto [Pan] wyda ich aż do czasu,
kiedy porodzi mająca porodzić.*

*Wtedy reszta Jego braci powróci
do synów Izraela.*

*Powstanie On i paść będzie mocą Pańską,
w majestacie imienia Pana Boga swego.*

*Osiądną wtedy, bo odtąd rozciągnie swą potęgę
aż po krańce ziemi.*

A ten będzie pokojem/'

"Księga Micheasza 5,1. *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV - przyp. tłum.

"Księga Micheasza 5,2-4, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. IV - przyp. tłum.

Los Żydów, tak mój ojciec wielokrotnie go przepowiadał.

Znaki.

Ten, który ma przyjść. Król, który nas uwolni spod ziemskiej tyranii!

Mesjasz, ostatni, Omega, zbawiciel, wódz zastępów Pana, który płonącym mieczem zgładzi wszystkich naszych wrogów!

Wciąż w tym śnie wyciągnęłam ręce do dziecka:

- Teraz już wiem, kim jesteś, moje dziecko. Masz puchar boga Słońca...

Wtedy chłopczyk się uśmiechnął i przemówił już własnym głosem.

- Janna - powiedział. - Ty jesteś Janna, a to znaczy „ta, która odpowiada”.

- Tak - przytaknęłam.

Wtedy chłopczyk na niepewnych nóżkach pobiegł do matki. Puchar zostawił w trawie. Podniosłam go bardzo ostrożnie i poczułam, że płynie z niego cudowny zapach.

To pewnie ten zapach sprawił, że znowu miałam trudności z oddzieleniem snu i jawy. Bo kiedy tego ranka Ennio obudził mnie pocałunkiem, jak obiecał, jego usta również pachniały mirrą.

- Dobrze spałaś, moja kochana?

Mrugałam, kręciło mi się w głowie, ale byłam już zupełnie przytomna. Jeszcze zanim mnie pocałował, zarzuciłam mu ręce na szyję i przyciągnęłam do siebie.

Ennio zostawiał małe, wilgotne znaczkę na moim czole.

- Śnił mi się... Jozua...

Ennio drgnął. Spojrzał mi w oczy. Jego były bardzo

głębokie i szare, jakby odbijał się w nich pochmurny dzień.

- Naprawdę? I co ci powiedział?

Usiadłam na posłaniu. Podciągnęłam kolana pod brodę, plecy oparłam o ścianę. Musiałam zamknąć oczy, by odpowiedzieć dokładnie i wyraźnie.

- To... była tylko dawna żydowska przepowiednia... widocznie wszystko mi się kompletnie poplątało, jednego dnia Żydówka, drugiego służebnica egipskiej bogini...

- Co on powiedział?

Westchnęłam.

- Powiedział już przecież, że moje nowe imię brzmi Janna. Ta, która odpowiada... moje nowe imię oznacza „ta, która odpowiada”...

Czułam, że łyzy pieką mnie pod powiekami, musiałam oddychać wolno i głęboko, by je powstrzymać.

- No to odpowiedz!

Głos Ennio brzmiał stanowczo, niemal jak rozkaz.

Jęknęłam. Wciąż jeszcze nie wiedziałam, o co jestem pytana.

Wtedy Ennio pogłaskał mnie wolno po włosach.

- Janna, najdroższa. Jakże ja na ciebie czekałem! Jak tęskniłem, chociaż się nie znaliśmy.

Wtedy mogłam się o niego oprzeć.

- Zostałeś mi przeznaczony na męża. Wiem o tym.

Nadal głaskał mnie po włosach, ale krew pulsowała coraz bardziej gorączkowo w nas obojgu, kiedy ciała zbliżyły się do siebie. Wiedziałam, że jego słowa o tęsknocie są prawdą.

- Długo tak nie wytrzymamy - jęknął Ennio.

- Nie, długo już nie będziemy mogli czekać - westchnęłam.

- Ale musisz znaleźć odpowiedzi, Janna. Najpierw

odpowiedzi... to wszystkie twoje imiona będą się mogły połączyć w jedno.

Tym razem ja jęknęłam.

-Ja tego nie rozumiem, Ennio. W jaki sposób ty odnalazłeś swoje odpowiedzi? Jak ci się udało?

Uśmiechnął się blado.

- Miałem szczęście. Ja się urodziłem jako Ennio, Egipcjanin. I chociaż los rzucił mnie i do Rzymu, i do Jerozolimy, to wciąż jestem Ennio.

Rozumiałam go, ale dlaczego w takim razie musiała zniknąć Rebeka?

Długo mi się przyglądał. Jego palce parzyły mnie w policzek. Drżałam i pragnęłam tylko się z nim połączyć.

- Twoja matka musiała dać ci wiele imion. Tajemniczych imion. Myśl o tym. Pozwól, by sen do ciebie przyszedł. Pewnej nocy tak się stanie. Zawsze tak jest...

Bałam się, byłam zrozpaczona.

- Czy muszę być zupełnie sama, kiedy to się stanie? O, Ennio, ja nie mogę! Ja... ja muszę być z tobą!

- Będziesz. Ja cię nigdy nie opuszczę. Pamiętaj, jestem twoim strażnikiem. Ale... to jest tylko twój pokój. Zrozum, tak musi być. Musimy być rozłączeni, niczym struny jednej harfy, są rozłączone, a grają tę samą muzykę...

Jak on to pięknie powiedział.

Ale ja byłam bliska płaczu. Bo Ennio wstał, a w jego oczach czytałam wyrazy pożegnania.

- Nie możemy pić z jednego pucharu, moja kochana, ale nalewać sobie nawzajem możemy bez ograniczeń...

I tak zrobił, napełnił kielich i podał mi wino. Sam jednak nie pił. Ja pochyliłam się, wzięłam owoc winogrona, włożyłam go między wargi i podałam jemu.

Znowu się całowaliśmy, w jakiejś szalonej chwili przywarłam do niego, próbowałam zsunąć koszulę z jego ramienia, musiałam zobaczyć jego nagą skórę, dotykać jego pleców palcami, całymi dłońmi...

Po tym pocałunku oboje długo chwytałyśmy powietrze, rozdzieliliśmy się niemal brutalnie.

- Janna!

Dotarło to do mnie jak jęk, jak gwałtowny poryw wiatru. Moje imię. Moje imię.

Niby jestem tą, która odpowiada, a nie znam nawet pytań... A jeśli Ennio przez to odsunie się ode mnie, uzna, że nie jestem go warta?

Tej nocy moimi łzami można by napełnić dużą beczkę.

Miałam nadzieję, że tej nocy dziecko również do mnie przyjdzie. Z wyjaśnieniami. Przynajmniej otrzymam jakiś trop. Tej drugiej nocy w świątyni zasnęłam dość szybko, ku własnemu zdumieniu udało mi się o>.> jać miłość Ennio, choć jego przy mnie nie było.

Ale noc była długa i pozbawiona snów. Za to, kiedy się obudziłam, czułam się świeża i miałam jasną głowę. W pokoju nikogo nie było, przez otwór w dachu widziałam, że słońca nie ma na niebie. Leżałam wite i czekałam na nie. Okryłam się lekką kołdrą, sennie głaskałam piersi i brzuch. Czułam, że moje włosy jeszcze pachną olejkami, którymi natarto mnie poprzedniego dnia. Kobiety zebrały się przy czymś w rodzaju wewnętrznej studni - dużego naczynia wkopanego w ziemię w jednym z pomieszczeń świątyni.

Tam czytały mi, uczyły słowo po słowie starych pisDi.

Aż dziwne, z jaką łatwością dawny język mojej matki wpadał mi w ucho, wiele razy znałam znaczenie słowa, jeszcze zanim mi je objaśniono.

Moje ciemne włosy lśniły od maści i wosku. Białą szarfą przewiązano mi czoło, żeby mi włosy nie opadały na twarz, kiedy siedziałam pochylona nad zwojami papirusu.

Czy odpowiedzi zawarte są w tym, co czytałyśmy? Między tymi pięknymi opowieściami o bogach i boginiach, o bogu Słońca i jego niezwykłej rodzinie?

Czy może znajdują się w piramidach, które w przyszłości zobaczę, a może też w jakimś zupełnie innym miejscu?

Dlaczego nikt mnie nie przygotował na te wszystkie dziwne zagadki, na życie w tym świecie tak odmiennym od życia w domu mojego ojca?

- Ennio, Ennio, czy ty nie możesz mi pomóc?

Musiałam powiedzieć to głośno, ściany pokoju bowiem odesłały głos z powrotem do moich uszu.

W końcu weszło słońce.

I usłyszałam zbliżające się kroki.

Ennio przyszedł.

Odsunął na bok zasłony, które były moją ochroną przed owadami i wiatrem.

Moje serce ożyło. Poczułam, jak radość rozrasta się w całym ciele. Żałowałam, że nie wstałam wcześniej, nie uczesałam włosów, nie włożyłam sukni.

Ale przecież on widział mnie już zakrwawioną, ubrudzoną własnymi wymiocinami, zakurzoną, pogryzioną przez wszy i pchły...

Obejmowaliśmy się długo i mocno. Ennio upuścił na podłogę jakiś ciężki tłumoczek.

- Dzisiaj zrobimy sobie małą wycieczkę, moja kochana. Chciałbym ci coś pokazać.

Cieszyłam się. Chciałam zobaczyć coś więcej poza tą piękną doliną, cały czarujący, dziwnie znajomy

kraj, po którym nigdy przedtem nie wędrowałam.

- Zabiorę cię do miejsca, gdzie urodziła się twoja matka, najdroższa. I spotkasz tam kogoś, kto ją znał.

Byłam niespokojna i podniecona. Ennio dostrzegł, że moja pierś faluje, a oddech stał się gorączkowy. Tym razem także nie miałam odpowiedzi.

- Ubierz się dobrze. Słońce świeci mocno, a część drogi musimy pokonać konno.

Wskazał na zawiniątko z czystymi, trochę zniszczonymi ubraniami.

- Jesteś w stanie już jechać, czy raczej powinniśmy z tym poczekać? Ja bardzo się na to cieszę, ale może dla ciebie jest jeszcze za wcześnie...?

- Nie! Chcę jechać! Dzisiaj!

- Będę czekał na ciebie przy fontannie - powiedział.

I zobaczyłam tylko jego plecy, takie zgrabne, zwięzające się ku biodrom.

Ubranie, które nosił, ukrywało zbyt wiele jego urody, ale przecież widziałam go nagiego, wyglądał jak młody bóg, i ja znałam już każdą linię jego ciała.

Nie mogłam zatrzymać wzroku na jego rękach, by nie drżeć w oczekiwaniu na to, że dotknie mojej skóry. Usta, które wolno mi było całować, ale ja chciałam wciąż więcej...

Jego silne uda, poruszające się w nich mięśnie, kiedy siedział za mną na koniu, to wszystko wciąż kierowało moje myśli ku innej grze, ku innej podróży...

Opaliłam się bardzo podczas jazdy, a kiedy byliśmy już na miejscu, spojrzałam na siebie w lustrze, zdziwiłam się, jak do tego doszło. Czyżby szal, którym się osłoniłam, był ze zbyt cienkiej tkaniny?

Choć nie mogłam bez bólu oderwać oczu od Ennio, to udało mi się zobaczyć cudowne morze. Statki po ma

lowane na najróżniejsze kolory, łodzie miały zwykle żagiel z dużym okiem pośrodku, a niektóre zostały pomalowane na turkusowo. Niedaleko portu znajdował się rozległy plac handlowy. Nie rynek, taki jak w Jerozolimie, ale zwyczajna równina z rzędami zbitych z desek szałasów lub szop zbudowanych z gałęzi i gliny.

Słychać było dźwięk rogów, dudnienie bębnów, a zapachy różnorodnych przypraw mieszały się z wonią gnijących pomarańczy, palonej oliwy, ludzkiego potu i wędnących kwiatów magnolii.

Małe dzieci siedziały przywiązane do drzew z tyłu za straganami. Ich matki zajmowały się jakimiś robotkami, wykrzykiwały coś głośno do siebie nawzajem lub do ordynarnych żeglarzy włóczących się po placu.

Przejeżdżaliśmy obok starej kobiety, która siedziała na ziemi i rzucała w piasek gładzone kamienne kule. Pomiędzy malowane na drewnie dziwne symbole przechodnie rzucali jej niekiedy monety.

Czasem trafił się złoty pieniądz, przeważnie jednak były to zwyczajne miedziaki różnej wartości i pochodzenia.

- Ona nazywa się Akbah, ta, która wie. Przepowiada ludziom ich los.

Wpatrywałam się w starą tak długo, że aż oczy mnie rozboleły. Chciałam się zatrzymać, zostać przy niej, może nawet z nią porozmawiać. Ale nie znałam dostatecznie języka. Nie potrafiłabym jej nawet w przybliżeniu wytłumaczyć, jaki niezwykły los mnie spotkał.

- Może ona miałaby dla mnie odpowiedź - mruknęłam w końcu, kiedy liczna grupa niewolników handlarza jedwabiem przesłoniła mi starą kobietę.

Ennio zatrzymał swego konia.

Jego szare oczy pojaśniały w upalnym słońcu.

- Naprawdę tak myślisz?

Zabrzmiało to jakoś smutno.

- Nie - powiedziałałam skępowana. - Skąd ona miałaby wiedzieć, kim jestem...

- No właśnie.

Pojechaliśmy dalej ulicami miasta, mijaliśmy żółte, niskie domy i pojedyncze duże budynki, które moim zdaniem przypominały pałace, jakie widziałam w Jeruzolimie. Ale zapachy tutaj były całkiem inne. Nie słyszało się też modlitw ani nie widziało ubranych na czarno kapłanów, za to mnóstwo tęgich niedużych kobiet, wszystkie bardzo się spieszyły, a długie szale, które nosiły na ramionach, powiewały za nimi jak flagi na wietrze.

Ennio zatrzymał się przed jakimś murem, w głębi widziałam wierzchołki palm.

Zsiadł z konia i wtedy zobaczyłam coś nadzwyczajnego.

Ze ściany płynęła woda!

Cienki, mieniący się strumyk!

- Napij się - powiedział Ennio. - To jest woda ze źródła bogów. Grecy mówią, że to ich łązy.

Zrobiłam, jak mówił. Woda nie była smaczna, ale mnie orzeźwiła.

- Czy daleko jeszcze pojedziemy?

Spokojnie pokręcił głową.

- Nie, najdroższa... niedługo będziemy na miejscu.

Powiedział mi, że kobieta, którą mam spotkać, znała Anafinę. Moją matkę, która niegdyś była niewolnicą i miała wtedy na imię A.

Nie przygotował mnie jednak na szok. Nie uprzedził, że kiedy spojrzę tej kobiecie w twarz, to napotkam oczy matki.

14

W domu Heiry mieszkała ona sama, cztery koty, jedna owca i połyskliwy wąż rzeczny w dużym naczyniu z wodą.

Uściskała Ennio, jakby był jej synem, mnie od pierwszej chwili nazywała córką.

I teraz dowiedziałam się wszystkiego.

O młodej niewolnicy, która została wykupiona ze służby w świątyni Izydy. O mężczyźnie, którego początkowo uważała za wroga, ale z którym jej los został ściśle powiązany.

O Mirze, który odbył bardzo trudną podróż, by jej towarzyszyć, kiedy miłość zmusiła ją do opuszczenia Egiptu i czekających ją tu obowiązków.

O tym, jak druga służebnica płakała nad lekkomyślnością A i sama poniosła karę, która powinna była spaść na A.

Czy to dlatego miała teraz spojrzenie mojej matki?
Dlatego, że płakała łzami tamtej?

- Ja wiedziałam, że ona nie będzie szczęśliwa - powiedziała Heira. - Był urodziwy, ten jej Zachariasz, ale nie miał słońca w sercu...

Przytaknęłam.

- To prawda. On rzadko bywał zadowolony. Teraz pewnie nie żyje.

Heira zmarszczyła brwi, ale nie zapytała, skąd u mnie te gorzkie słowa.

Ennio wziął mnie za rękę.

- Opowiedz więcej o A. O Anafinie. Janna, dałabyś Heirze skarabeusza?

Wyjęłam zapakowany w jedwabną szmatkę węzełek, w którym ukryłam krwawnik ze skarabeuszem. Był ciepły ciepłem mojego ciała, bo nosiłam go w małym woreczku między piersiami.

Heira w nabożnym skupieniu rozwinęła jedwab i palcem pogładziła kamień.

Tak samo jak mały Joszua dotykał żywego żuka, pomyślałam.

- Ja już go widziałam, Ennio... w jaki sposób go znalazłeś?

- Mir.

- Ach, tak, Mir...

Kobieta westchnęła i jakoś sztywno podniosła się z poduszek, na których siedziała. Dopiero teraz spostrzegłam, że jest stara. Pod obszernym ubraniem jej ciało wydawało się pełne, ale zwinne, a na twarzy ani jednej zmarszczki. Ruchy jednak miała stare i chyba odczuwała bóle.

- Mir... czy on wróci niedługo do domu?

Ennio odetchnął cicho.

- Nie wiem, Heiro. Naprawdę nie wiem...

- No tak. Na wszystko jest odpowiedni czas... słyszę, że jest bogatym oficerem, służy u Rzymian? Że podlega jedynie namiestnikowi Judei?

- Tak, jest bogaty. Ma wiele żon i dzieci. Pięknych dzieci.

Heira skinęła głową, stała wyprostowana. Cień na twarzy świadczył, że takie stanie też nie jest łatwe.

- Myślę, że możemy ruszać. Łodzie czekają już gotowe...

Zdumiona, że mimo wszystko podróż nie dobiegła jeszcze końca, ruszyłam za nimi. Poprzez zarośnięty ogród, pełen rur doprowadzających wodę zeszedliśmy aż nad rzekę. Płynęła tutaj spokojnie i chyba była mniej zamulona niż w okolicach On. Wzdłuż brzegów bujnie rosły papirusy i kwiaty, dalej za nimi widziałam chłopów uprawiających żyzną glebę. Jeszcze dalej - skały i pustkowie. Góry!

Weszliśmy na pokład. Obok nas przepływała wolno duża wyspa. Zbudowane na niej domy były niskie, pomalowane na biało. Niektóre przypominały synagogi, ale Ennio wyjaśnił mi, że chociaż w mieście Żydzi mogą budować, co chcą, to żaden z nich nie może posiadać wyspy na Nilu. Należą one do starych rodzin szlacheckich.

Wciąż widzieliśmy na brzegach pracujących chłopów, po niektórych polach chodziły kobiety z koszami pełnymi jakichś złocistozielonych owoców. Czulałam, że moje policzki są rozpalone od słońca, Heira uśmiechała się pod nosem, kiedy zauważyła, że wciąż szukam wzroku Ennio.

- Jesteś podobna do matki, Janna.

Ucieszyły mnie jej słowa, chociaż rany były jeszcze zbyt świeże, bym mogła się uśmiechać na wspomnienie mamy.

Nigdy nie dane jej było wrócić do tego oszałamiającego kraju, do ciepłych oczu Heiry.

Lekki wietrzyk kołysał łodzie, powoli zapadał zmierzch, z grupy zabudowań na brzegu docierał do nas daleki śpiew. Poprzez zasłonę z liści znowu widziałam piękne tutejsze domy. Niektóre miały kopuły, inne wieże, a jeszcze inne przypominały mi domy w naszym kraju.

Ennio i Heira rozmawiali w ojczystym języku. Co-

raz częściej rozróżniałam słowa, ba, nawet całe zdania. Domyślałam się, że pieśni, które mama śpiewała nam w dzieciństwie, zostały w mojej głowie na zawsze: jej mowa bowiem wydawała mi się łatwa i słodka.

W końcu krajobraz zaczął się zmieniać, nastały równinne pustkowia i tereny pokryte sterczącymi skałami. Pokazały się gwiazdy, a my po obu bokach łodzi zapaliliśmy lampki oliwne. Na rzece wciąż widziało się mnóstwo łodzi, niektóre podobne do naszej, duże, gdzie oprócz umieszczonego pośrodku żagla było miejsce dla wielu wiosłarzy.

W oddali ukazały się dziwne góry, wysokie, ostre szczyty, ściany w kształcie trójkąta.

Aż jęknęłam, kiedy zrozumiałam, co widzę. Toż to przecież piramidy! Grobowce. Miejsca pogańskiego pochówku, pełne złota, srebra i demonów.

Łódź skierowała się w stronę brzegu.

Zadrżałam.

- Czy my... jedziemy tam?

Heira nie odpowiedziała, otuliła mnie tylko szczerzej szalem, poprawiła coś w moim stroju troskliwymi dłońmi.

Ennio pomógł mi zejść na ląd, obszerne szale, w które Heira pozawijała mnie przed podróżą, krępowały mi ruchy.

Jego dłoń trzymała mnie pewnie i bezpiecznie, oparłam się o niego i rozkoszowałam się jego dotykiem i bliskością, na jaką ta sytuacja pozwalała.

I znowu ten dziwny uśmieszek Heiry, patrzyła na nas tak, jakby wiedziała wszystko o wszystkich.

- Chyba chcesz zobaczyć dzieła faraonów?

- Taaak... chcę... ale...

Mężczyźni, którzy wiosłowali na naszej łodzi, przygotowali tymczasem lekytki.

Od rzeki do piramid nie było bardzo daleko, tak mi się przynajmniej wydawało. Ale kiedy ruszyliśmy po piasku, szybko zrozumiałam, że w mroku wzrok mnie zwiódł. Kołysaliśmy się na wydmach jak w małym stateczku, miałam dość czasu, by przyjrzeć się z odległości niezwykłym budowiom.

Jakie ogromne!

Jak góry, budowane schodkami aż do nieba.

Patrzyłam i patrzyłam, piasek zgrzytał mi w zębach.

- Tysiące niewolników pracowało przy ich budowie - rzekł Ennio półgłosem.

Zaskoczył mnie tym stwierdzeniem, myślałam, że dla niego miejsce, w którym się znajdujemy, jest w jakimś sensie święte. Dziwiło mnie, że oskarża boga Słońca za niewolnictwo, skoro przecież ludzie wzniesli piramidy ku czci boga.

- Tysiące niewolników zmarło przy budowie. A bardzo wielu zostało pogrzebanych we wnętrzu piramid. Zostali zamurowani...

Słyszałam o tym.

- Ale to chyba był wielki honor?

Ennio skinął głową.

- To zawsze wielki honor umrzeć dla tego, kogo kochamy.

Zadrzałam. Te budowle, mające świadczyć o wielkości faraonów, wyrastały teraz przed nami wprost z piasku. Musiałam mocno odchyłać głowę do tyłu, by spojrzeć na szczyt.

Niesiono nas od jednego do drugiego kolosa. W pewnym miejscu Heira wysiadła, my poszliśmy za jej przykładem. Piasek był jeszcze gorący. Ciepło promieniowało z niego jak z dopiero co zgasłego słońca. Powietrze stawało się coraz chłodniejsze.

Kiedy okrążyliśmy piramidę, zobaczyłam, że pod jedną ścianą została wydrążona głęboka grota. Dziura w piasku, do której wiodła jakby drabinka upleciona z grubych pnaczy. Heira zeszła na dół i otworzyła drzwi znajdujące się pod niewielkim baldachimem.

Dopiero kiedy sama chwyciłam za liny, żeby zejść, zobaczyłam milczących wartowników rozstawionych wzdłuż całej ściany. Czasem mignęły oczy lub zęby któregoś, poza tym jednak żaden się nie poruszył. Heira nie poświęciła im nawet przelotnego spojrzenia.

To nie była największa budowla, ta, do której wnętrza czy może raczej w głąb której teraz wchodziliśmy. Korytarz, którym szliśmy, był ciasny i miał łukowate sklepienia. Lampa oliwna dawała dość światła, mogłam podziwiać piękne malowidła na ścianach, wykonane czymś, co przypominało hennę lub smołę.

Ludzkie postaci w dawnych strojach, ptaki, łodzie i gwiazdy.

Jakiś dziwny zapach zaczął drażnić moje powonienie. Nie kurz, ani pleśń czy zgnilizna.

Tak po prostu pachnie coś bardzo starego.

Nie potrafię opisać drogi, którą szliśmy. Wiem tylko, że jeden korytarz przecinał drugi, a za chwilę jeszcze trzeci i tak w nieskończoność. Że Heira prowadziła nas pewnie to jednym, to drugim. Że tu i ówdzie w gładkich ścianach znajdowały się drzwi. I że przez cały czas Ennio trzymał mnie za rękę.

Oraz że nigdy w życiu sama bym drogi powrotnej nie znalazła.

Może Heira odczytywała wskazówki w dekoracjach, w których kryło się coś w rodzaju mapy? A mo-

że bywała tu tak często, że znała każdy kąt w labiryncie korytarzy, schodów i głębokich szybów?

Mimo wszystko miałam wrażenie, że wciąż wchodzimy w głąb i równocześnie schodzimy coraz niżej.

Czasami jednak schody prowadziły też w górę, w końcu więc nie wiedziałam już, czy znajdujemy się głęboko w podziemiach piramidy, czy może na jej szczycie.

Ennio mówił przyciszonym głosem, opowiadał o tym, jak ludzie z pomocą bogów wzniesli te niewiarygodne grobowce.

- Powiadają, że same gwiazdy wskazywały konstruktorom, jak budować piramidy, jak to wszystko wyliczyć. Mój ojciec powtarzał starą historię o tym, jak jeden z konstruktorów został zabrany do siedziby bogów, gdzie przekazano mu wszelkie obliczenia. W starych pismach przypisuje się to synowi Ozyrysa... nikt jednak do końca nie wie, kto tak naprawdę był budowniczym piramid.

Odgłos naszych kroków stał się teraz wyraźniejszy. Spojrzałam pod nogi i stwierdziłam, że stąpamy po marmurowej podłodze.

Dotarliśmy do celu.

Troje drzwi, jedno większe od pozostałych.

Pomieszczenie takie rozległe, że wszystkie dźwięki się w nim potęgowały.

Weszła Heira z lampą, ale tutaj na ścianach paliły się pochodnie. Mnóstwo pochodni. Całe pomieszczenie skąpane było w złocistym blasku.

Takiego przepychu zgromadzonego w jednym miejscu nigdy jeszcze nie widziałam. Nawet w nowej świątyni w Jerozolimie!

Wszędzie mieniły się drogie kamienie, nawet płytki,

którymi wyłożono ściany, były dekorowane zielonymi i czerwonymi klejnotami.

Posadzka ułożona z różnych rodzajów marmuru i gładzonych kamieni. Nigdy nie widziałam tak niebieskiego kamienia jak ten, z którego tutaj zrobiono próg - miał kolor nieba po letnim deszczu.

Domyśliłam się, że blask płynący ze szczytu olbrzymiego ołtarza pochodzi z prawdziwego, kutego złota. Stała tam duża skrzynia wykonana z najczystszej, szczerego złota!

Miałam ochotę paść na kolana przed tym niezwykłym widokiem.

To musi być grób samego boga Słońca!

Cząstka nieba na piaskach pustyni!

Ennio popchnął mnie delikatnie w stronę tego tronu czy też ołtarza, na którym znajdował się sarkofag.

Serce tłukło mi się bardzo niespokojnie w piersi.

Nie miałam odwagi podejść bliżej.

Heira wysokim, jasnym głosem pozdrowiła zmarłych.

Myślałam, że skonam, kiedy nad naszymi głowami przetoczyły się potężne słowa odpowiedzi.

Łatwo jest teraz, po tylu latach, śmiać się z własnej głupoty. Wtedy myślałam, że znajduję się w samym sercu świętego miejsca faraonów, w najbardziej wyszukany, najdoskonalszym miejscu pochówku, jaki człowiek kiedykolwiek widział.

A tymczasem tam spoczywała tylko nieszczęsna księżniczka, byliśmy w zapomnianym zakątku wielkiej piramidy.

W tamtych czasach nie widziałam jeszcze niczego podobnego, ale teraz wiem więcej. Pamiętam przerażenie i radość, ale najbardziej ze wszystkiego utkwiała

mi w pamięci ceremonia, która miała doprowadzić do tego, by Janna odnalazła Rebekę.

Żebym ja stała się sobą!

Okryta białym szalem leżałam na brzuchu, czołem dotykałam marmurowej podłogi. Heira trzymała dłoń na mojej głowie. Ennio palił kadzidło.

Dwie pozostałe kobiety sypały mi na plecy jakiś proszek i śpiewały. Włożono mi coś do ust, prawie piekło, kiedy to rozgryzłam, ale smak miało słodki.

Potem poprowadzono mnie ku kolejnym drzwiom, szliśmy kolejnym korytarzem.

Tutaj czekały na mnie obrazy.

I gdybym nawet nie wiedziała, czego tutaj szukamy, zrozumiałabym to natychmiast, gdy tylko otworzyła się przede mną grobowa krypta księżniczki.

Pośrodku pomieszczenia znajdował się bardzo wysoki posąg.

Kobieta w pozycji siedzącej, z węzem oplecionym wokół jednego ramienia i z kotem u stóp.

Posąg był pozłacany i malowany w najpiękniejsze kolory - turkusowy, czerwony, połyskliwe złoty, liliowy. Wielkie oczy, głęboko osadzone, roziskrzzone. Szafiry...

Twarz najbardziej ze wszystkiego przypominała maskę; starannie wystylizowana, została odlana z brązu, a może wykuta w kamieniu.

U stóp księżniczki leżały świeże kwiaty. Kot również został przedstawiony w pozycji siedzącej, spiczaste uszy pomalowano mocniej niż futro.

Złota szarfa na głowie.

Srebrny pas.

Księżniczka wznosiła ręce wysoko w górę, trzymała w nich coś, czego teraz tam nie było.

Ennio zdjął worek, który przez cały czas niósł na ramieniu. Dotychczas myślałam, że ma tam zapasowe ubranie lub wino i jedzenie dla nas.

Bardzo się przestraszyłam, widząc, że wyjmuje stamtąd zawiniątko i powoli zaczyna je uwalniać z jedwabnych szarf.

Raz jeszcze światło pochodni rozjarzyło się w czymś lśniącym, złotym.

Puchar.

Puchar Miriam!

Heira zrobiła parę kroków naprzód i pochyliła się nad pucharem.

Kobiety stały w cieniu za nami i nieustannie marmotały modlitwy.

Heira wzięła puchar z rąk Ennio i napełniła go wodą z miseczki. Zapach kadzidła gęstniał wokół nas.

On musiał ukraść puchar Miriam, nie mogłam w to uwierzyć.

W pewnej chwili napotkałam jego wzrok.

- Ona dała to dla ciebie, Janna. Bałem się jednak, że odmówisz. Że jeszcze nie potrafisz zrozumieć.

Nie odpowiedziałam, byłam oszołomiona tym wszystkim, co starało się wedrzeć do mojego mózgu. To musi być sen!

Puchar...

Mały chłopczyk we śnie...

Kręciłam głową niepewnie.

- Nie... puchar jest mój... teraz już wiem.

Heira włożyła mi puchar w ręce. Odchyliła w tył głowę i patrzyła na posąg.

I wtedy pojęłam, o co chodzi.

Puste ręce posągu.

- Bogini-dziewica. Oddaj jej puchar. Tylko ty możesz to zrobić. Potem na wszystkich nas spłynie błogostawieństwo!

Poprowadzono mnie za wysoki posąg z kamienia i złota i zobaczyłam, że stoi tam wąska drabinka.

Trzymając puchar ostrożnie pod pachą, zaczęłam się wspinać, już przy pierwszych krokach kręciło mi się w głowie.

Ennio mówił szeptem, ale w tym wielkim pomieszczeniu słychać było wyraźnie każde słowo.

Tłumaczył mi pieśń śpiewaną przez kobiety.

Był to hymn na cześć bogini-dziewicy, a jej służebnica miała na imię A.

Umieszczenie pucharu na miejscu okazało się łatwiejsze, niż sądziłam. Dość beztrudnie oparłam jedno kolano na ramieniu bogini, a ręką mocno się trzymałam szpilki w jej włosach. Stąd do twardej, marmurowej podłogi musiało być daleko, ale nie bałam się, że spadnę.

Puchar zazgrzytał, gdy dotknął oczka w pierścieniu zdobiącym dłoń posągu, ale bez oporu wsunął się między kształtne metalowe dłonie. Początkowo bałam się, czy się nie wyślizgnie i nie spadnie na podłogę, ale wszystko pasowało jak ulał. Miałam nawet wrażenie, że palce bogini zacisnęły się lekko, kiedy puchar znalazł się między nimi.

Przez chwilę wpatrywałam się w oczy posągu i odkryłam, że szafir w centrum każdego oka okolony jest dodatkowo małymi diamentkami i szmaragdami. Niebieskozielonego, roziskrzonego spojrzenia bogini nie zamazał upływ czasu, tych setek lat, kiedy tu siedziałam, czekając na swój puchar.

Zatrzęsłam się i byłabym upadła dopiero wtedy, kiedy znalazłam się na dole i otoczyły mnie ramiona Ennio. Był spocony i oddychał pospiesznie. Kiedy teraz

spojrzałam znowu w górę, pojęłam, że miał się czego bać. Stąd nie wyglądało to wcale tak bezpiecznie, wspinaaczka po niepewnej drabinie ze sznura i drążków.

Kobiety nadal śpiewały.

Heira opowiedziała mi historię zmarłej księżniczki, córki faraona, oczka w głowie boga Słońca.

Nagle doznałam uczucia, jakby coś w moim sercu wróciło na miejsce.

Zdecydowanym głosem zapytałam Heirę:

- Jak ona miała na imię?

I Heira uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Ennio wziął mnie za rękę i uklęknął przede mną.

- Czy kiedy nadejdzie nowy rok i powódź oczyści brzegi Nilu, i da nowe życie, czy wtedy zgodzisz się zostać moją żoną?

Przestałam liczyć dni i miesiące, wiedziałam jednak, że ten czas nie jest jeszcze blisko.

Heira cofnęła się o krok.

- Taka jest wola bogów. Janna zadowolila boginię-dziewicę. Możesz ją pojąć za żonę, Ennio.

Spojrzałam mu w oczy. Uśmiechał się leciutko, był spocony.

- Wiedziałeś o tym? Wiedziałeś, że musisz tu przyprowadzić dziewicę z pucharem?

Ledwo zauważalnie pokręcił przecząco głową.

- Nie... o niczym nie wiedziałem. A zresztą, może i tak. Ale gdy tylko zobaczyłem puchar u biednych żydowskich uchodźców, zrozumiałem. Puchar został ukradziony wiele, wiele lat temu. Zrobili to słudzy pewnej świątyni. Świątyni wiedzy. Oni nazywają siebie Chaldeczykami. Żyją w głębi egipskiej pustyni i czczą sztukę przepowiedni oraz bogów gwiazd. Poszukują prawdy, której bogowie nam jeszcze nie dali.

W ciągu wielu pokoleń puchar księżniczki przebywał u nich. I nagle rozeszły się pogłoski, że trzej z nich wyruszyli do Jerozolimy, by podarować tę starą świętość nowemu królowi żydowskiemu. Wtedy córki bogini-dziewicy się ocknęły. I Heira zrozumiała, że musi go za wszelką cenę odzyskać.

Heira wróciła do nas.

- My też mamy swoich obserwatorów, choć jest nas niewiele i w porównaniu z potężnymi Chaldeczykami z górskiej świątyni jesteśmy słabe. Ale wiedziałyśmy, że puchar boga Słońca sam powinien odnaleźć drogę.

- Zawsze to czyni - potwierdziła któraś z kobiet.

To proste zdanie nietrudno było zrozumieć, nawet mnie.

Ennio mówił dalej:

- Kiedy zobaczyłem cię tej pierwszej nocy i siedziałś przede mną na koniu, który wiozł nas do domu Mira... wtedy usłyszałem śpiew bogów. Wierzyłem, że to jest stary znak, ten znak bogowie dają mężczyźnie, gdy spotka kobietę, z którą się zwiąże. Ale głosy śpiewały i śpiewały, i nic się nie działo. Ostatecznie pojąłem, jaki cud stał się moim udziałem, kiedy zobaczyłem puchar u tych biednych ludzi.

Kręciło mi się w głowie.

Ennio natomiast był spokojny, Heira znowu pogłaskała go jak syna po włosach. My oboje wciąż jeszcze klęczeliśmy naprzeciwko siebie. Zdawało się, że posąg bogini za naszymi plecami śledzi ruchy, by zaraz potem skierować wzrok w niebo, na puchar, który trzyma w rękach.

- Cudowne, to wszystko jest cudowne - szeptałam z przejęciem. - Moja mama wiele opowiadała o pucharze boga Słońca, ale ja myślałam, że to tylko taka baśń, któ-

ra miała nas uspokoić albo nakłonić, żebyśmy się położyły do łóżka. I spały, jak powtarzała mama, bo tylko wtedy będziemy mogły czerpać sny z pucharu; słodkie sny każdej nocy, dzięki którym będziemy piękne i mądre.

- I tak jest naprawdę.

Uśmiech Heiry jaśniał szczerością.

Przymknęłam oczy.

- Chłopiec...

Zdałam sobie sprawę, że powiedziałam to głośno.

Trzeba to było jednak powiedzieć, żeby nie wiem jak dziwnie brzmiały słowa.

- Ten mały chłopiec... ja myślałam, że to on powinien mieć puchar...

Ennio odetchnął.

Popatrzył na mnie uważnie.

- Czy ty... rozpoznałaś go?

Potrząsnęłam głową, ale zaraz opadły mnie wątpliwości.

Teraz Ennio długo wciągał powietrze do płuc.

Na koniec rzekł:

- Najdroższa. Wiem, co masz na myśli.

Zaległa cisza. Kobiety też milczały. Posyłały Heirze znaczące spojrzenia. Widocznie czekały na tłumaczenie. Wyczuwały, że zostało powiedziane coś niezwykłego. A Ennio cicho, z przymkniętymi oczyma, opowiadał swój sen.

- Bawiliśmy się na trawie. I chłopiec miał puchar. Ty też tam byłaś. Biegłaś do dziecka jak matka. Ale on nie mógł na ciebie czekać. Było tyle ludzi, których musiał kochać.

Sen Ennio, taki sam jak mój. Czy to możliwe? Znowu?

- Ty dostałaś ten puchar - rzekł Ennio. - I dlatego

opowiedziałem o wszystkim Heirze. Wiedziałem, że ona właściwie wytłumaczy mój sen.

- Teraz oboje rozumiecie - zakończyła Heira.

Pochyliła się, wyraźnie usłyszałam trzask w jej krzyżu. Ucałowała Ennio w czoło, potem w oba policzki. Potem mnie tak samo.

Potem wycofała się z pomieszczenia, a obie kobiety poszły za nią.

Ennio obejmował mnie mocno.

Zaczął mnie całować. Długo, słodko, powoli.

Drżałam pod dotykiem jego dłoni, a czasami również pod diamentowym spojrzeniem bogini.

Dwie pochodnie na ścianie zachybotały się, gdy Heira zatrzasnęła drzwi.

Przez moment było zupełnie ciemno, myślałam, że pochodnie zgasły. Przestraszyłam się.

Wiedziałam, że bez światła nigdy nie znajdziemy drogi powrotnej przez te wszystkie korytarze, nawet Heira, która zna je tak dobrze, jest bez szans!

Ale Ennio przytulił mnie znowu, a pochodnie zapłonęły z nową siłą.

Cienie przesuwają się po jego twarzy.

Taki piękny nigdy jeszcze nie był, wprost nie mogłam oddychać, kiedy na niego patrzyłam.

W blasku ognia jego skóra miała złocisty odcień, ciemne brwi przypominały czarne skrzydła. Jęknęłam, on z pewnością bez trudu mógł wyczytać miłość z moich oczu.

- Tak bardzo cię kocham - szepnął.

- Taki krótki czas, a tyle wielkich słów... wprost trudno uwierzyć.

Odpowiedział mi tym samym tonem.

- My przecież zawsze byliśmy razem, kochana, prawda?

Jedna z tych naszych dziecinnych rozmów.

Zaklęcia, marzenia, romantyczne głupstwa. Wiedzieliśmy jednak w głębi naszych serc, że to wszystko prawda.

Ennio głąskał mnie po plecach, muskał piersi, jego wargi kusiły mnie, czułam, że głód szarpie moje wnętrze. I zdawałam sobie sprawę z tego, że Ennio także drży.

- Czy... to już jest nasz czas? - wyrwało mi się na koniec jak wstrzymywany szloch, kiedy on całował mnie i całował, a ja myślałam, że mogłabym żyć nie oddychając, byleby tylko jego usta były przy moich.

- Tak... ja myślę...

- No to chodź - powiedziałam, a mój głos zabrzmiał pod tymi wysokimi sklepieniami dziwnie obco.

Oczy posągu znowu się roziskrzyły, ale ja wiedziałam, że to płomienie pochodni ponownie się zachybotają.

Stałam na posadzce z czarnego marmuru i spokojnie zdejmowałam zapinki utrzymujące moje ubranie. Suknia została wycięta z jednego kawałka kwiecistego materiału jak tunika. Wszystko ze mnie spadło, gdy tylko zdjęłam zapinkę z ramienia.

Twarz Ennio znowu płonęła, mrugał jakoś dziwnie, ale i ja musiałam walczyć z cisnącymi się do oczu łzami. Miałam wrażenie, że jego wzrok dotyka moich piersi.

- Czy właśnie tego chcieli bogowie? Czy teraz to już się może stać?

Musiałam mówić szeptem, bo moje usta znajdowały się tuż przy jego uchu.

- Nie wiem - odparł ochryple. - Ale jesteś taka piękna, Janna. Kocham cię...

Zrobiłam się dziwnie śmiała w tym pomieszczeniu chronionym potężnymi ścianami i niepamięcią wieków.

Uległam mistyce, uroczystej atmosferze tego miej-

sca, moje serce przepełnione było uczuciami, jak to naczyń nad naszymi głowami wodą.

Czułam się odważna i bezpieczna, a kiedy Ennio podszedł do mnie, nawet by mi do głowy nie przyszło ukrywać moją nagość.

Odnalazłam drogę pod jego ubranie, nareszcie mogłam zamknąć oczy i poczuć jego skórę na swojej, zsunęłam mu koszulę z ramion i głaskałam go po piersi, przesuwając dłonie ku wąskim biodrom.

Tym razem on przymknął oczy.

Musiałam je całować, wspierałam się na palce, przysunęłam twarz do jego twarzy.

W końcu poczułam jego ręce na moim nagim ciele. Splótł dłonie na moich plecach, każde jego muśnięcie było jak dotyk przyjaznego ognia.

Jego usta na mojej szyi, jęknęłam i szukałam wargami jego najbardziej wrażliwych miejsc.

Kiedy opadłam na kolana i wchłaniałam w siebie jego czysty, mocny zapach, rozległ się daleki grzmot.

Oboje jęknęliśmy jakby w odpowiedzi, a on mocno trzymał mnie za ramiona. Potem osunął się na ziemię przy mnie, znowu mogłam patrzeć w jego oczy. Słuchaliśmy, oboje zdezorientowani, oboje sądziliśmy, że to może odgłos szalejącej na zewnątrz burzy.

Grzmot rozległ się ponownie.

Jak daleki spiżowy dzwon.

Nie bałam się. Ennio położył mi palec na wargach, jakby chciał mnie uciszyć.

- To bije serce piramidy. Starzy ludzie powiadają, że dzieje się tak zawsze, kiedy *ka* faraona przechodzi przez wargi ludzi...

Wydawało mi się to bardzo niezwykłe, ale nie chciałam odsunąć nagiego ciała od gorącego ciała Ennio.

I nagle jakby ptak spadł z dużej wysokości, przez moment dostrzegłam coś niczym złocisty promień przecinający powietrze.

Dopiero kiedy głuchy dźwięk dotarł do moich uszu, zrozumiałam, że to puchar spadł na ziemię.

Nie uderzył o marmurową posadzkę, trafił na moje ubranie. Mimo to odgłos uderzenia długo jeszcze drgał w powietrzu.

Krzyknęłam i rzuciłam się do pucharu, serce tłukło jak młotem teraz także z obawy, że puchar mógł zostać uszkodzony.

Ennio zbladł, jego oczy stały się jasnoszare.

On też chwycił puchar.

Teraz już nie można było źle zrozumieć dźwięków.

To bicie serca. Wielkiego, ukrytego serca.

Trzy, cztery niskie, dalekie uderzenia.

Patrzyliśmy na siebie przestraszeni.

A potem w górę, żeby sprawdzić, czy sama bogini też nie spadnie.

Ale figura siedziała na swoim tronie, nieśmiertelna, z kotem i wężem równie nieprzemijającymi jak ona.

Zwilżyłam suche wargi językiem i poczułam, że od rąk Ennio płynie do mnie wielkie ciepło. A może to puchar tak gorzał?

Staliśmy, odrętwiali, jakbyśmy czekali na dalsze uderzenia. Długo to trwało, byliśmy obok siebie, trzymaliśmy puchar, nie mając odwagi nawet oddychać.

Jedynym dźwiękiem, jaki wdarł się do krypty, były skrzypiące drzwi, a potem głos Heiry:

- Czas wracać.

Drgnęliśmy oboje.

Heira stała pod pochodniami i patrzyła to na nas,

to na puchar. Pozostałe kobiety, jak cienie, zatrzymały się za jej plecami.

Bałam się, mówiłam przerażona:

- On spadł! Spadł prosto na moje ubranie...

Teraz zrozumiałam, jak bardzo one wszystkie musiały być zaskoczone. Oto stoję ja, całkiem naga, naprzeciwko prawie tak samo nagiego mężczyzny, a złoty puchar bogini znajduje się między nami.

Ciekawe, co sobie pomyślały?

Heira podeszła do nas spokojnie. Zebrała moje ubranie i przewiesiła je sobie przez ramię. Wyciągnęła najpiękniejszy jedwabny szal, którym zasłaniałam twarz przed południem podczas konnej jazdy.

- Owiń puchar w ten szal i włóż go do worka Ennio. Wahałam się.

Jej twarz zmieniała się w maskę, była bardzo poważna.

- Zrób, jak mówię! Zaraz! Musimy stąd wyjść jak najszybciej!

W końcu byliśmy znowu w stanie się poruszać, dysząc ciężko wciągnęłam przez głowę moją obszerną szatę i znowu byłam ubrana.

Ale wstyd palił mi skronie. I niepokój. Coś zrobiliśmy nie tak jak trzeba. Twarz Heiry nie wyrażała niczego.

W lektyce, gdy wracaliśmy do łodzi, starałam się ukryć za ciałem Ennio. Słyszałam, że jego serce też bije mocno, jak przestraszone.

Przez całą drogę wydawało mi się, że woda w rzeczce jest czarna i groźna. Nawet widok ogrodu przy świątyni z wiecznie płonącymi lampami pod kolumnadą mnie nie uspokoił.

Wciąż było we mnie coś jakby wstyd.

Heira nie powiedziała ani słowa, by mi cokolwiek wyjaśnić, pokazała mi tylko pokój, w którym miałam spać.

Ennio miał spać w drugim końcu domu, byłam kompletnie rozbita, gdy Heira z łagodną uprzejmością poprosiła, byśmy powiedzieli sobie dobranoc.

Potem wzięła puchar i podała go mnie.

- Strzeż go. Teraz należy do ciebie.

Zbierało mi się na płacz, chciałam błagać ich oboje, żeby mnie nie zostawiali samej w obcym domu po tych niezrozumiałych wydarzeniach wewnątrz piramidy.

Ennio słyszał moje nieme błagania i chciał pójść ze mną. Ale Heira złapała go stanowczo za ramię.

- Niech ona odpocznie. Sama.

Czułam się tak równie brudna i opuszczona, jak podczas nocy spędzanych w nieczystym pokoju, w domu mojego ojca.

Teraz nie krwawiłam, nie byłam skalana comiesięczną dolegliwością, chociaż odczuwałam bolesne skurcze w dole brzucha. To pewnie ze strachu.

Kompletnie ubrana wślizgnęłam się pod okrycie, puchar mocno przyciskałam do piersi.

Palce miałam sztywne, ale wyczuwałam piękne wzory wyrzeźbione w złocie, głaskałam szlachetne kamienie.

Teraz stwierdziłam, że wnętrze pucharu było tak samo starannie wykonane, jak jego zewnętrzna powierzchnia. Również tam wygrawerowano piękne ornamenty o wyszukanych wzorach.

Czy to jakieś pismo? Czy może stylizowane kwiaty?

Nie wiedziałam. Linie były dla mnie obce, ale niezwykle piękne.

To dziwne, ale bardzo szybko się uspokoiliłam. I czułam nawet, że sen zaraz nadejdzie. Dzień był bardzo długi, ciało miałam ciężkie ze zmęczenia.

Może właśnie dlatego dopadły mnie stare diabły tej pierwszej nocy w domu Heiry? Dręczyły mnie we śnie,

znowu czułam twarde ręce mego ojca, widziałam zakrwawioną twarz siostry, słyszałam świst kamieni, które spadały na jej delikatną skórę i zakatowały ją na śmierć.

Nigdy nie zapomnę koszmarów, które mnie dręczyły tej pierwszej nocy, kiedy spałam z pucharem w objęciach.

Chyba nigdy nie przeżyłam gorszej nocy.

Potem jednak zrozumiałam, że to było potrzebne jako oczyszczenie, że wykrwawiłam z siebie podczas tej nocy wszystko, co było we mnie nieczyste, i pozwoliłam, żeby spłynęło to do pucharu, będącego też naczyniem niepamięci.

Opowiadali mi potem, że minęły trzy doby, zanim doszłam jakoś do siebie. Heira mnie pielęgnowała, nacierała olejkami, poiła mlekiem z szafranem i cynamonem.

Ennio przez cały czas był przy mnie. Budziłam się i znowu zapadałam w sen, ale nieustannie wyczuwałam jego obecność.

Byłam przecież tylko bardzo młodą kobietą i zbyt wiele rzeczy wydarzyło się w moim życiu w bardzo krótkim czasie.

Ale puchar stał na marmurowym stoliczku przy moim łóżku i miałam niejasne wrażenie, że to on wchłania w siebie moje koszmary, a mnie w zamian wzmacnia innymi, zdrowymi snami.

Wszystkie one wiązały się z Ennio.

I z chłopcem.

I z pewną małą dziewczynką, która tańczyła na pokrytej rosą trawie, śpiewając i machając rączkami do ptaków wysoko nad jej głową.

Myślę, że to byłam ja.

Kiedy wyzdrowiałam, Ennio powiedział, że musi odbyć krótką podróż. Kobiety ze świątyni zajmą się

mną, zapewnił, będą mnie w tym czasie uczyć i języki, i egipskich obyczajów.

Obiecał wrócić przed wylewem Nilu.

Nie chciałam się z nim rozłączać, uważałam, że poddam trudom podróży, natomiast nie przeżyję długich dni i nocy bez niego.

A poza tym bałam się, bo gdyby nie wrócił, musiałabym umrzeć.

Heira obejmowała mnie i żartowała sobie, kiedy żegnałam się z nim bliska płaczu. Wzrok Ennio świadczył jednak, że on też cierpi, co mi trochę złagodziło rozstanie - taka dziwna jest miłość.

Pomyśl, że już wiedziałam to wszystko wówczas, na miesiąc przed wielką powodzią, choć przecież byłam jeszcze bardzo młodą dziewczyną, przepełniona różnymi myślami i z ciałem rozpalonym tęsknotą za ukończonym Ennio.

15

Kiedy czas oczekiwania minął i przyszła wielka powódź, moje serce pękało ze szczęścia.

Małe jego kawałki wlatują w niebo niczym okruszki gwiazd, myślałam. Ludzie wokół mnie byli piękni, życzliwi i dobrzy.

Nasze wesele trwało siedem dni.

Sześć pierwszych to przede wszystkim tańce i śpiewy, kobieca troskliwość wobec mnie oraz absolutnie niewiarygodna księżycowa kąpiel w świątyni.

Siódmego dnia zostaliśmy wprowadzeni na dach świątyni i tam zostawiono nas samych, podczas gdy na dole goście nadal hałasowali i radowali się. Tutaj na weselu nie oddzielano kobiet od mężczyzn, tak jak przywykłam uważać, że należy czynić. Nie, tutaj wszyscy tańczyli, mogli się nawzajem dotykać, niektórzy całowali się i pieścili ukradkiem w ogrodzie pod girlandami kwiatów lub pod płaczącymi wierzbami.

Kiedy prowadzono nas ku schodom, kobiety rzucały do naszych stóp płatki kwiatów i dojrzałe kłosa, śpiewały pieśni o tym, jak pięknie zostaną zapłodnione brzegi rzeki, podczas gdy ptaki będą mi śpiewać na niebie.

Ennio nie obrażał się na śmiałe żarty ze strony mężczyzn, we wszystkich głosach brzmiała wesołość i życzliwość, nawet jeśli słowa były niekiedy niezbyt odpowiednie.

- Naczynie dziewicy powinno zostać napełnione,

I. nnio! Nie oszczędzaj się, napełnij je po brzegi, żeby ci przed następną powodzią urodziła silnego syna!

Szliśmy obok siebie po schodach. Moja ślubna suknia była bardzo ciężka, ciągnęłam za sobą na górę czternaście łokci haftowanego jedwabiu.

Teraz jednak nikt nie mógł nam towarzyszyć.

Nikt nie mógł nas zobaczyć przed wschodem słońca następnego dnia.

Rozpięto dla nas coś w rodzaju namiotu. Na posrebrzanych metalowych drążkach zawieszono duże płyty niebieskiego jedwabiu przetykanego srebrem. Wewnątrz ustawiono pojemniki z żarzącymi się węglami i rozłożono miękkie poduszki, okrągły niski stół dosłownie ugiął się od najwspanialszych przysmaków.

Nie jadłam nic poza kilkoma kawałkami owoców, które Ennio podawał mi z ust do ust.

Przypomniałam sobie jego słowa i nalałam wina do dwóch srebrnych pucharków.

Piliśmy trochę, przeważnie jednak siedzieliśmy w milczeniu, patrząc sobie w oczy.

Ale rzeka płynąca w oddali przyciągała do siebie i nasze spojrzenia. Widzieliśmy z góry potężne masy wody, a łoskot bębneków niósł się od brzegu do brzegu.

To niezwykle przeżycie widzieć Nil, jak się z dnia na dzień przekształcił w dudniącą siłę, która pochłania wszystko na swojej drodze. Porównać to można tylko z gwałtowną letnią burzą albo z wiejącym na pustyni huraganem.

Rozgwieżdżone niebo nad On tworzyło dach, a pod nami unosił się gęsty obłok kadzideł.

Od rzeki raz po raz wiało gwałtownie, ale we wszystkich naczyniach ogień płonął nieustannie, więc dym kadzidlany nigdy nie został do końca rozproszony.

Zostaliśmy pobłogosławieni w trzech świątyniach i jednej synagodze.

Myliśmy ręce i nogi w misie z brązu niemal takiej samej, jaka w betlejemskiej synagodze przeznaczona jest dla kobiet.

Kiedy stanęliśmy obok siebie pod baldachimem, czułam się oczyszczona, choć pewnie rabin, który pochylał przed nami głowę, nie miałby wstępu do świątyni w Jerozolimie. Nie odczytał wszystkich tekstów przeznaczonych na ceremonię zaślubin, nie zapytał nawet o ojca oblubienicy ani o świadków.

Mój ojciec nigdy by takiego kapłana nie prosił o radę, raczej nazwałby go odszczepieńcem, sekciarzem, poganinem gorszym niż poganie od urodzenia, porzucił bowiem prawdziwą faryzejską wiarę.

Rabin uściśnął moją dłoń jak wuj albo brat i spojrział mi przyjaźnie w oczy. Nigdy nie spotkałam rabi-
na o takich oczach.

- Idźcie tedy i niech łaska Pana Zastępów będzie z wami.

Na zakończenie przeczytał nam zapisaną na papirusowym zwoju pieśń, w której sam król Salomon sławi Pana oraz miłość.

Wspomniałam Tabithę i jej rozmarzony głos, kiedy siedziałyśmy obok siebie i czytałyśmy słowa.

W tamtych czasach byłam tylko młodą dziewczyną, z rozpalonymi policzkami i niepokojem w ciele.

Teraz wiedziałam już, za czym tak tęskniłam. Bo odczuwałam palącą tęsknotę, wielką i bardzo czystą.

Te wszystkie noce, podczas których o mało nie przekroczyliśmy granicy, stanowiły doświadczenie nie tylko dla mojego ciała. Nie byłam już nieśmiałą dziewczyną, choć stojąc na tym dachu bezimiennej świątyni,

wiedziałam, że nadchodząca noc przyniesie mi nie tylko jeszcze większą tęsknotę i płomienne pożądanie.

Tylekroć już zanurzałam się w oczach Ennio i tonęłam w jego ramionach, że nie bałam się tego, co znajdę na dnie studni.

Gdy głosy ostatnich gości ucichły w ogrodzie na dole i z miasta zaczęły do nas docierać odgłosy obchodów nowego roku, odważyliśmy się nareszcie pocałować.

Tym razem nasze pocałunki były gwałtowne jak modlitwy tonących.

Teraz bowiem nadszedł nowy czas.

Przywarliśmy do siebie niczym gałązki bluszczu, potknęliśmy się o tren mojej sukni i opadliśmy na poduszki, które czekały na nas pod namiotem.

Wnętrze namiotu dzieliła na dwoje cieniutka zasłona.

Tej nocy powodzi towarzyszył lekki deszcz.

Wiedziałam, że musimy zostać w namiocie, dopóki słońce nie pokaże się na niebie. Tak każe obyczaj, małżeństwo będzie dokonane, gdy ogrzeje nas słońce. Przy takiej niepogodzie jak ta może to potrwać wiele dni... dni, w które rzeczywistość dotyczyć będzie tylko nas dwojga.

Zaczęłam się niecierpliwic. Moje ciało pragnęło znowu znaleźć się w jego ramionach. Moja skóra tęskniła. Byłam rozpalona, a olejki, którymi natarły mnie kobiety, łączyły się teraz z zapachem mojego ciała.

Wyciągnęłam rękę do ukochanego.

W twarzy Ennio widziałam to samo szczęście, które rozpalało moje ciało.

Było przed nami całe życie, nieskończony szereg nocy takich jak ta.

Mimo to serce tłukło mi się niecierpliwie w piersi

i jęknęłam, kiedy Ennio odwrócił się na moment, by poszukać czegoś w fałdach swej szaty, zamiast ją natchmiast zdjąć.

Ale oto przyszedł...

Szedł ku mnie dumny i wyprostowany po okrytej dywanem podłodze, huk powodzi brzmiał w jego głosie, gdy powiedział:

- To jest pierścień mego ojca, znak skarabeusza. Teraz ty będziesz go nosić. Teraz pierścień jest twój, tak samo jak ja...

Zawiesił mi klejnot na szyi. Był bowiem taki duży i ciężki, że nie mogłabym go nosić na palcu. Łańcuch zrobiono ze starego, żółtego złota, przesuwałam go między palcami, kiedy Ennio mnie całował.

Potem wsunął mi dłonie pod suknię i umieścił pierścień między moimi piersiami. Miałam wrażenie, że są napięte i obrzmiałe, reagowały na jego dotyk, pragnęły jego pieśczoły.

Ostrożnie zsunął mi suknię z ramion. Jedwabne szarfy rozwiązały się prawie same z siebie, suknia osunęła się na podłogę.

Teraz ja rozwiązałam kolorowe tasiemki jego koszuli pod szyją. Jęknęłam z radości, kiedy stanęliśmy przed sobą nadzy, zapaliłam woskową świecę w wysokim świeczniku. Został wyrzeźbiony z czystego nefrytu i ozdobiony gałązkami bluszczu w tej samej zielonej tonacji.

- Mój kochany, zdaje mi się, że jestem w niebie!

Ennio śmiał się i całował mnie jeszcze gwałtowniej. Bawiliśmy się, zabieraliśmy sobie nawzajem nasze uroczyste stroje, nie myśląc o tym, że delikatny materiał i ogniówka srebrnych łańcuszków mogą się porozrywać.

I nagle, jakby sama bogini na nas spojrzała, ucichli-

.my. Patrzyliśmy sobie nawzajem w oczy i w tej samej chwili poczułam jego rękę na udzie.

Uśmiechałam się. Nie wstydziłam się go już ani trochę, zapraszałam go do siebie. Sama zaczęłam go pieścić, szukałam wrażliwych miejsc.

Pieściliśmy się przecież nawzajem już wielokrotnie, poznawaliśmy własne ciała, jeździliśmy na jednym koniu, ciało przy ciele. Kapaliśmy się w Nilu. Nie było takiego gestu ani takiego zagłębiania w naszych ciałach, którego byśmy nawzajem nie poznali.

Z wyjątkiem tego jednego.

Jakiż pożar wzniecił we mnie Ennio, kiedy dotarł do miejsca, które uważałam za tajemnicę kobiet. Chciałam się bronić, ale zamiast tego przywarłam do niego jeszcze mocniej. Jego usta przy moich. Gorący oddech palił mi twarz, oboje z wysiłkiem łapaliśmy powietrze w naszym chłodnym ślubnym namiocie. Pochylał się nade mną, ja obejmowałam udami jego biodra. Aż poczułam, że się unoszę, płynę, odrywam od ziemi. Oba ciała wyprężyły się i zastygły jak w trudnym do zniesienia cierpieniu.

Jak niektórzy ludzie mogą bez tego żyć? Jak kobiety mogą unikać tego szczęścia? Jaki grzech popełniają tysiące kapłanów, faryzeuszy i innych ludzi, którzy wymagają od świętych sług, by się tego wyrzekali?

Jestem pewna.

Byłam pewna w tej samej chwili, kiedy nasze ciała się połączyły:

Jeśli Bóg istnieje, to na pewno pod postacią Wielkiej Siły Miłości.

- Ennio, jak długo się kochaliśmy?

Odpowiedział tak, jak się spodziewałam:

- Zawsze, Janna. Jeszcze zanim nasi rodzice przyszli na świat.

Uśmiechałam się. Czułam, że Ennio mnie do siebie przygarnia, że jego ramiona zamykają się wokół mnie jak obronna tarcza. Zmęczona oparłam policzek na jego piersi. Bicie jego serca to najpiękniejsza pieśń, jaką znam. Wkrótce dołączył do niego szum deszczu niczym ciche bębnienie na naszą cześć.

Możliwe, że niebo płakało, ale jeśli tak, to wyłącznie ze szczęścia. Tego jestem pewna! Nawet chmury wydawały się wesołe i raczej srebrzyste niż szare.

Kapało i ciekło z kosztownej tkaniny naszego namiotu, ale my byliśmy wilgotni tylko od naszego potu i wina, którym dla zabawy pryskaliśmy na siebie.

Słońce przedarło się przez deszczowe chmury koło południa następnego dnia.

Wtedy mogliśmy się znowu pokazać ludziom na oczy, tym razem już nierozzerwalnie ze sobą związani.

Tak, no i w ten sposób doszło do tego, że twoja mama została poczęta, moja kochana, mała Miro.

A oto teraz ja siedzę przy ostatnim posłaniu twego dziadka, Ennio, i spisuję to wszystko na najlepszym papirusie, jaki udało mi się zdobyć. Wiesz, że pieniędzy mamy dość, nasze kochane, małe słońeczko, i wierzę, że wystarczy ich na to, by te zwoje przechowały się w dobrym stanie do czasu, gdy ty sama będziesz je mogła przekazać swoim dzieciom. Nie chcę spisywać swoich dziejów tak, jak to zrobiła Anafina, rozpuszczalnym w wodzie atramentem na zwojach skóry, bo one już teraz są nieczytelne.

Pamiętaj tylko, że płótno, w które zapakuję te zwoje, trzeba zmiękczać co dziesięć lat balsamem. Dopóki naczynia, w których je złożymy, będą zamknięte za pomocą wosku i szczelne, papirusowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Wówczas historia i wszystkie moje starania będą mogły być przekazane następnym pokoleniom.

Bo to jest ważna historia, moje kochanie, i powinna być opowiedziana. Teraz jesteś jeszcze mała, jeszcze twoje uszy nie dorosły do słuchania niczego innego prócz moich pieśni, ale papirus wszystko dla ciebie przechowawca.

Ja wciąż z tobą rozmawiałam, opowiadałam o wszystkim od czasu, kiedy byłaś maleńka i czuwałam przy to-

bie nocami. Dokładnie tak samo postępowałam, kiedy twoja mama była mała.

Leżała w moich ramionach i ssała pierś, a ja czułam, że przepływa przeze mnie potężny strumień miłości. Ciepły, słodki i życiodajny jak mleko.

Czasami przychodził do nas jej ojciec, Ennio, a kiedy zasypiałyśmy na tarasie, przenosił nas do pięknego pokoju, w którym na początku sypialiśmy wszyscy troje.

Zdarzało się i tak, że on mnie kochał czule, a nasza córeczka spała w moich ramionach.

A potem głaskał jej czarne włoski i szeptał raz po raz nasze imiona. Nikt nie był tak kochany jak my, najmilsza wnuczko. Wiem, że już to rozumiesz, nawet jeśli jeszcze nie pojmujesz znaczenia moich słów.

Twoja mama też powinna to przeczytać, ale myślę, że ona o wszystkim dawno wie.

I że wybaczyła mi już, iż puchar boga Słońca nie do niej będzie należał.

Bo puchar zawsze sam odnajduje własną drogę, pamiętaj o tym!

Nie pozwala, by kierowały nim ręce człowieka, zrozumiałam to nareszcie po tych wszystkich latach.

I ty też tego doświadczysz, kochana Miro.

I ty powoli, ale pewnie odkryjesz tajemnicę pucharu tak jak ja. On da ci siłę i będziesz mogła leczyć rany, osuszać łązy, lecz także kruszyć skały.

On naznaczy twoje życie radością słońca i mądrością nieba, dopóki będziesz pamiętać, że wszystko tak naprawdę pochodzi od boga w twoim sercu.

Od tego, czemu ludzie nadają tak wiele imion, a co ja wolałabym nazywać po prostu miłością.

Teraz będę nareszcie mogła odpocząć.

Przeżyliśmy trudne dni od ostatniego nowiu księżyca. Będiesz się może dziwić, skąd miałam się siedzieć tu i spisywać wszystko na dwunastu zwojach. Zechcesz może kiedyś położyć rękę na pięknych naczyniach, w których zapieczętuję twoje dziedzictwo, i zdziwisz się, że w tak krótkim czasie od śmierci dziadka napisałam aż tyle.

Można sądzić, że byłam jak większość kobiet owdowiałych w wyniku nagiego wypadku, sparaliżowana z nieszczęścia, nie mająca sił na nic prócz bólu.

Ale z drugiej strony...

Ja piję z tego pucharu. I chłopiec, który dostał go w darze, wciąż przychodzi do mnie w snach. On jest teraz dorosłym mężczyzną. Pewnie niezwykłym. Znam tylko jego imię, ale miał oczy, które wiedzą. Może spotkasz go któregoś dnia, a wtedy opowiedz mi tę historię i zapewnij, że kobieta, której niegdyś nadał imię, nigdy go nie zapomniała. Mówią, że on żyje w kraju żydowskim, ale że równie chętnie przemawia do Egipcjan lub Syryjczyków.

Słuchaj, co mówi, jeśli go kiedykolwiek spotkasz!

Nie muszę ci życzyć szczęścia w życiu, ukochana Miro.

Ja wiem, że twoje jeszcze niewyśnione sny znajdują się w tym pucharze.

Poprzez nie będę towarzyszyć twoim dniom.

Teraz jednak pójdę spać. U boku Ennio są jeszcze miękkie poduszki i jedwabna narzuta, która okryje nas oboje. Nawet po śmierci Ennio zachował swój delikatny zapach, a lekarze, którzy przygotowywali jego ciało, chwalili się, że ich przodkowie balsamowali faraonów.

Nie musimy już żyć w tych ciałach, ale stare serce raduje się na myśl, że uśmiech, który towarzyszył nam za życia, nigdy nie zniknie z naszych warg.

Troszcz się o dobre sny, Mira.

To i one zatroszczą się o ciebie.

Dobranoc.

2. nieustającą miłością

twoja babka Rebeka/Janna.